

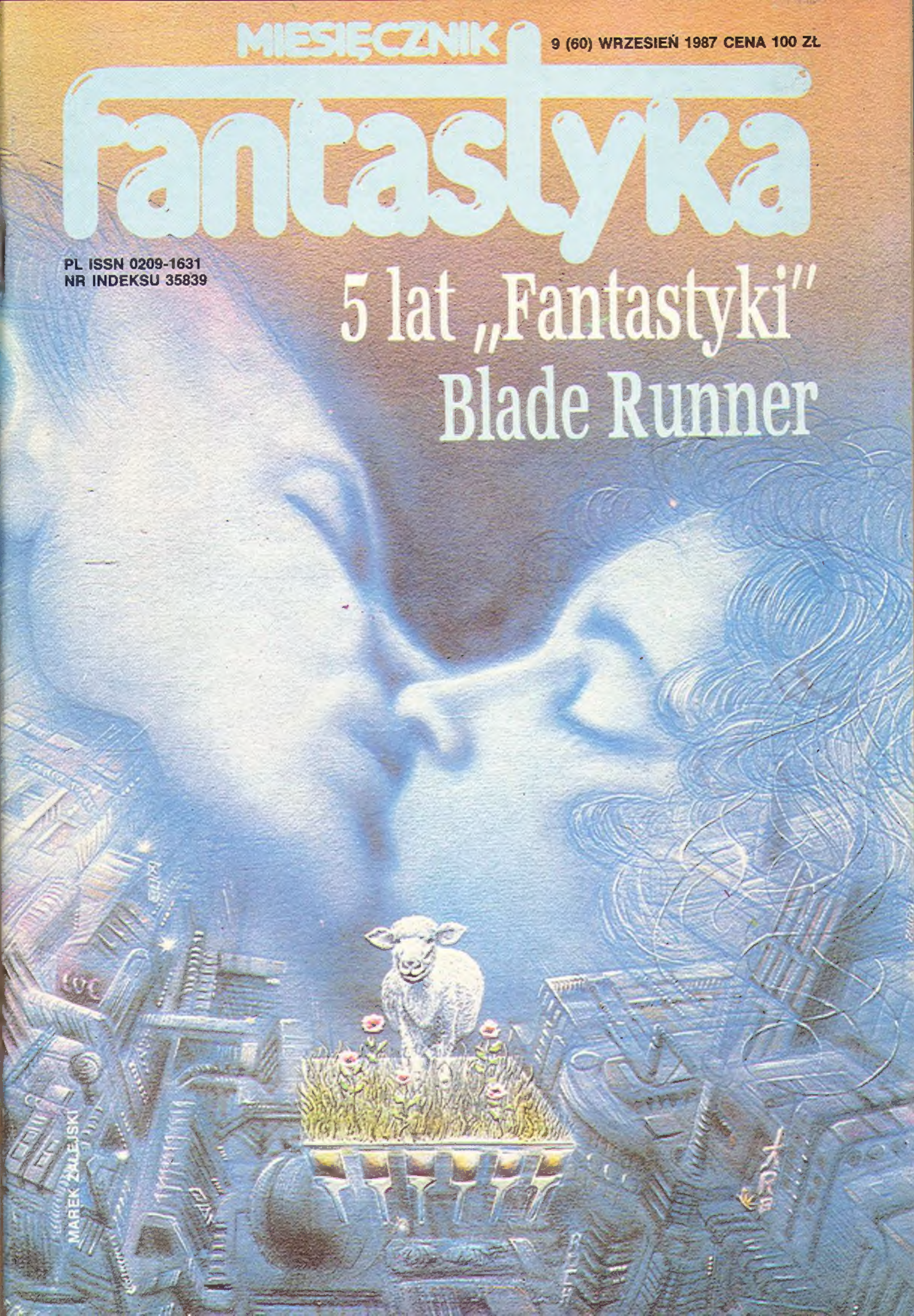
MIESIĘCZNIK

9 (60) WRZESIEŃ 1987 CENA 100 ZŁ

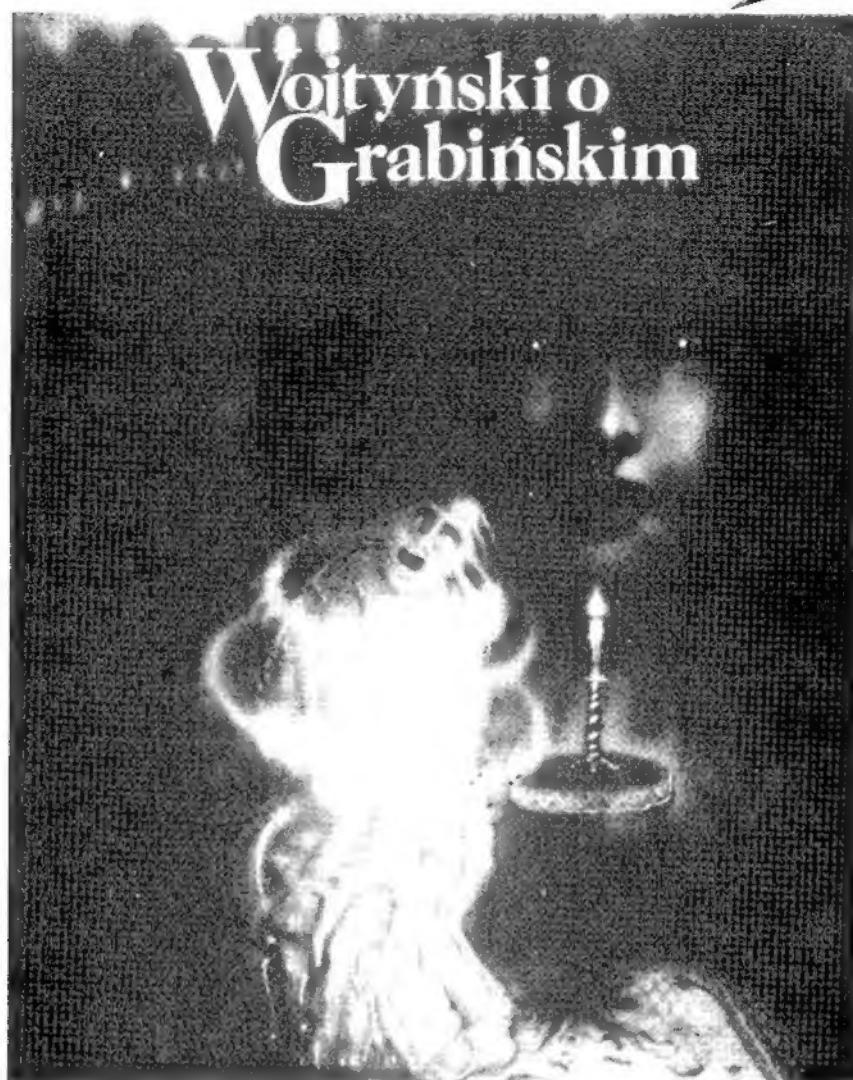
Fantastyka

PL ISSN 0209-1631
NR INDEKSU 35839

5 lat „Fantastyki”
Blade Runner



MAREK ZALEJSKI



Stefan Grabiński (1887–1936), nowelista i powieściopisarz, teoretyk gatunku weird fiction, twórca polskiej fantastyki o wymiarze europejskim. Nowele tego pisarza wytrzymują porównanie z arcydziełami fantastyki światowej, prozą Poe, Meyrinka, Hoffmanna – stwierdzał przed laty Artur Hutnikiewicz. I nie bez racji. Nazwisko Grabińskiego figuruje w europejskich leksykonach fantastyki obok sylwetek Potockiego, Żuławskiego, Słonimskiego, Lema – autorów, o których mówi się, pisze, pamięta. Specyficzny charakter twórczości Grabińskiego pogłębiły tragiczne losy pisarza, który chory na gruźlicę, borykający się z nieustannymi kłopotami finansowymi, stał się obiektem ostrych ataków krytyki. Nie każdy autor potrafi przełamać złą passę, pokonać podobne spiętrzenie trudności. Jakże trudno wtedy wytrwać, uwierzyć, że to co się robi ma jakiś sens.

Pisałem kiedyś w „Słowniku polskich autorów fantastyki”, że na twórczość Grabińskiego wpłynęły przemyślenia Henri’ego Bergsona, Williama Jamesa, że za patronów obrał sobie irracjonalistów, że nie pogardzał studiami z psychologii i psychoanalizy. To wciąż za mało, żeby zrozumieć jego pisarstwo. I choć niekiedy drażni ono patosem, nagromadzeniem niesamowitości, modernistycznym językiem – nie sposób odmówić Grabińskiemu pewnej oryginalności. Tak widział świat, nie mógł pisać inaczej. Fantastyka nie była dla niego literaturą „zamiast”, dydaktyką, popularyzacją, futurologią, nie była „kostiumem” – taką prozę nazywał „fantastyką

zewnetrzną” wskazując na jej baśniowo-romantyczny rodowód. Codzienna rzeczywistość była dla Grabińskiego znakiem innej, ukrytej ludzkiemu oku i racjonalnemu poznaniu. Skoro myśl stwarza świat, istnieje świat inny, niewidzialny, który kieruje naszym zachowaniem, uczuciami, emocjami. Jego zagadkowość jest z istoty swej fantastyczna. Dlatego po dziś dzień pozostaje Grabiński rzadkim typem pisarza, który łączy w swojej twórczości wiele różnych pierwiastków. Fantastyka jest dla niego swoistą filozofią życia, wyrazem oryginalności, twórczego niepokoju, wewnętrznej potrzeby ukazywania enklaw wolnych od przemocy, kłamstwa, krzywdy, istniejących w literackim marzeniu. Może dlatego, mimo pewnej staroświeckości, ma dla nas jakiś dziwny urok, fascynuje nastrojem tajemnicy, niedookreślenia. Twórczość Grabińskiego stawia pytania i wstrzymuje się od odpowiedzi, usuwa grunt spod nóg, kiedy wydaje się, że kroczymy wygodną drogą. To dużo. Może jedno z zadań fantastyki?

Utwory Grabińskiego, wznawiane z dużą regularnością, były ilustrowane przez różnych grafików. W numerze jubileuszowym „Fantastyki” przedstawiamy nową koncepcję ilustracji tej prozy. Jej autorem jest grafik – Ryszard Wojtyński, towarzyszący naszemu piśmu od pierwszych chwil jego istnienia. Obok nastrojowych ilustracji Ryszarda Wojtyńskiego zamieszczamy fragmenty tekstów Stefana Grabińskiego. (an)



4

Drugi Literacki Konkurs „Fantastyki” rozstrzygnięty! (Nareszcie... – weselnie wielu, a zwłaszcza uczestnicy rywalizacji.) Spośród nagrodzonych i wyróżnionych prac nasi Czytelnicy znają już siedem – prosimy sięgnąć do numerów 6, 8, 10 i 12 z roku ubiegłego oraz 1, 7 i 8 z bieżącego. W tym oto urodzinowym numerze – „Fantastyka” kończy właśnie 5 lat – drukujemy natomiast opowiadanie, za które Marek S. Huberath zdobył I nagrodę. Tekst ostatniego z dziewiątki laureatów przedstawimy w najbliższym czasie.

Z polskiej fantastyki

Marek S. Huberath
Wróćcieś Sneogg, wiedziaam...
I nagroda w konkursie „Fantastyki”

4

„Piecky to już dawno odkrył – powiedziała Moosy – on uważnie analizuje wszystko co mówią w wizorach. Wybiorą z nas tylko kilkoro najłepiej... najpoprawniej zbudowanych, a resztę na przemiat...”

Opowiadania i nowele

Robert Sheckley
Nie kończący się western
Robert Sheckley
Cena

19

„...to coś, czego nigdy nie oglądacie: powrót słynnego rewolwerowca z szumnego Los Angeles w roku 2031 na Stary Zachód w połowie wieku dziewiętnastego...”

41

„...sądzę, że załatwimy to zwyczajowo. Pod zastaw zarobków pańskiego syna za pierwsze trzydzieści lat jego dorosłego życia możemy bez trudu uzyskać dla pana dalszy kredyt...”

Powieść

Jonathan Carroll
Kraina Chichów (3)

25

„...Nie wano pytać, co się działo w mojej głowie, bo i tak nie byłbym w stanie tego opisać. Siedziałem goły w łóżku Anny France i rozmawiałem z bulltenerem, który oświadczył, że od dziś przestaje być bulltenerem...”

Film i fantastyka

Blade Runner

44

„Blade Runner” – słynny film SF (1981, reż. Ridley Scott) znany w Polsce z licznych projekcji video, został oparty na powieści Philipa K. Dicka „Czy androidy marzą o elektrycznych owcach?” (1968). Przedstawiamy dwa pierwsze rozdziały pierwowzoru literackiego ilustrowane fotosami z realizacji filmu (omówienie ekranizacji – str. 53).

Krytyka

Stanisława Lema
podróż do kresu fabuły
Dni Fantastyki 1986

54

„...Streścimy w paru zdaniach postulaty twórcy „Solaris”, spróbujemy następnie zastanowić się nad ich praktycznymi konsekwencjami, a zatem nad tym, jak program wpłynął na kształt fantastyki samego Lema...” – esej Jerzego Jarzębskiego przygotowany na seminarium krytyczne, które odbyło się na Uniwersytecie Warszawskim w listopadzie ubiegłego roku.

Słownik polskich
autorów fantastyki

56

Cyprian Kamil Norwid (1821–1883). Na „pożońdych kartkach” wiersz „Źródło” pochodzący ze zbioru liryków „Vade-mecum”.

Recenzje

59

Prezentujemy: Marek Oramus „Człowieka Plus”, powieść Frederika Pohla; Wawrzyniec Sawicki „Trzecią bramę”, tom opowiadań nagrodzonych w naszym I konkursie; Maciej Parowski „Balladę o Narayamie”, zbiór japońskich opowieści niesamowitych.

Podbój kosmosu

Największe przygody
– największe dramaty

62

Od pierwszego lotu człowieka wokół Ziemi minęło już ponad ćwierć wieku (12 kwietnia 1961 r.). Przypomnijmy tych, którzy oddali życie za rozwój kosmonautyki...

Pięć lat wydawania pisma toż to bardzo krótki okres, gdzieś nam do obchodzenia jakichś jubileuszy? Przecież każda próba rozwodzenia się na ten temat mogłaby uchodzić za przejaw samochwalstwa, za megalomanię, utopiliby nas w tyżce wody zawistnicy, nieudacznicy, złośliwcy. Któż jest prorokiem we własnym kraju, kto się odważy?

Ale rozpatrzmy przez chwilę obiektywnie fakty i zastanówmy się nad prostotą drogi, jaką dotychczas przebyliśmy. Dobre pomysły zawsze są nader proste, oczywiste. Każdy uważa, że może je mieć, choć... niewiele przychodzi do głowy. Tak niewiele. Przed pięciu latami zebrała się grupa pisarzy – fantastów i wówczas to zapadło postanowienie o próbach wydania jakiegoś magazynu science fiction, wybrano nawet naczelnego, któremu powierzono misję zorganizowania takiej gazety, choć Bogiem a prawdą nikt wtedy bardzo nie wierzył w jakiegokolwiek szanse urzeczywistnienia wspólnych edytorskich marzeń, a najmniej wierzył ten, od którego starań miało zależeć ewentualne powodzenie imprezy, mimo to jednak zabrał się jak potrafił do roboty.

Powstał więc zespół, grupa ludzi pełnych zapału, a ponieważ w naszym kraju miłośników fantastyki co niemiara, o zielone światło nie trzeba było długo zabiegać. Droga została nagle otwarta. Teraz dopiero zaczęła się prawdziwa próba ogniowa: kto wytrzyma, kto odejdzie, kto sprosta, a kto nie; modelu takiego pisma nie buduje się bowiem (jak zresztą niczego) od razu, żeby był taki jak trzeba, żeby chwycił, podobał się, zdobył wydawniczy sukces.

A działo się to stawianie „Fantastyki” i jej zespołu w czasie, gdy wiele zespołów prasowych przeżywało kryzysy, gdy sytuacja w kraju była społecznie i gospodarczo trudna, gdy zmieniały się gusty i gwałtownie starzało się wiele dawnych modeli gazet i magazynów. Mimo że miłośnicy fantastyki stanowią szczególnie trudną publiczność literacką, że są grymaśni, wymagający, że kochają bardzo różne typy science fiction i pod tym względem można ich oceniać jako najbardziej skłóconą wewnętrznie grupę czytelników – pismo poszło w naród. Najpierw czytano je podejrzliwie, przyjmowano z nutą przekory. Oferowało przecież nie jakąś płaczką rozrywkę, nie drugorzędne kryminałki, lecz teksty często trudne, szar-



Pięć lat „Fantastyki”

piące wyobraźnię i sumienia. Nie gładkie, cukierkowane, lecz drażniące, zaczepne.

Nie ulega wątpliwości trafienie w dziesiątkę: akurat takiej literatury potrzebowało... Gdy proza współczesna unikała dramatycznych pytań, gdy uciekała od rozrządzania ważnych aspektów przyszłości w wymiarze nie tylko jednostki, ale i całych społeczności, fantastyka, operująca obrazem i językiem bardzo współczesnym, starała się chociażby w części zaspokoić głód romantycznych aspiracji i postaw. Nie ulegają bowiem wątpliwości romantycznej przyczyny powodzenia literatury typu science fiction, jest to fala romantyzmu obejmującego te grupy społeczne, które dopiero do romantycznych postaw dojrzewają czy dojrzały. W każdym razie ci, co uważają jeszcze ciągle, żyjąc jak gdyby w XIX stuleciu, u jego schyłku, że pozytywizm jest dla nas najważniejszy, myślą się mocno – przecież hasła „pracy od podstaw” liczyły się w tamtej epoce z niedojrzałością społeczną szerokich rzesz, z ich niedokształceniem. Miłośnicy fantastyki są dobrze wykształceni i wiedzą czego chcą.

Ciekawe, że w tym samym czasie, kiedy „Fantastyka” u nas nabierała rozpędu i zdobywała najszerszą publiczność, w wielu krajach, np. w RFN, Francji czy we Włoszech, upadały całe wydawnictwa science fiction, nie tylko pisma. W takiej sytuacji międzynarodowe nagrody (trzykrotnie)

przypadały naszemu zespołowi. Trudno więc uwierzyć, aby udało się zebrać w naszym kraju zespół bardziej kompetentny od tego, który redaguje od 5 lat „Fantastykę”, po prostu – gdyby była u nas taka grupa, na pewno znalazłaby odpowiednią siłę przebicia i zostałaby ujawniona. Zresztą adekwatnym wyrazem uznania dla zespołu stała się ostatnio, w maju tego roku, Nagroda I stopnia Prezesa RSW „Prasa-Książka-Ruch” za sukces wydawniczy formuły pisma, czyli za ten nieszażonowy profil, który uzyskał aprobatę czytelników.

Nie oznacza to jednak wcale, że literatura science fiction uzyskała u nas akceptację gremiów krytycznych, które uważają się za najbardziej kompetentne „czynniki opiniotwórcze”. Istnieje mianowicie pewien rodzaj prawdziwej biurokracji w orzekaniu o tym co winno, a co nie powinno się podobać w literaturze, w sztuce w ogóle. I choć zmieniają się w tej epoce nie tylko idole popartu – jakże często, choć dochodzi także i do wyraźnego zmięczenia wielu prominentów sztuki (w tym literatury) tzw. głównego nurtu (co to znaczy?), biurokracja literacka zdaje się nie dostrzegać tych zjawisk i w ogóle nie dostrzegać literatury innej niż ta, którą tylko ona wychwala. Wbrew faktom i sukcesom czytelniczym.

Sprawa ta wybiega zresztą daleko poza nasze granice, a jeden z czołowych amerykańskich pisarzy fantastów Theodore Sturgeon napisał, że *nigdy dotąd w historii literatury nie było gatunku tak bezwzględnie ocenianego według... jego najgorszych utworów, jak fantastyka*.

Literatura SF budzi niechęć wśród zawodowych pisarzy z powodu swej dużej poczytności, z czym oczywiście często (choć u nas to nie jest prawda) wiąże się wysokie zarobki. Drażni ona także, jak wszelkie romantyczne ruchy, wybujałym dydaktyzmem i kokieteryą besserwisserstwa, opartego na zdobyczach nauki, z jakich stara się korzystać.

Nie ulega wątpliwości, że bardzo złych utworów tej literatury powstaje na świecie nazbyt wiele i to rzutuje na negatywne ocena całości. Tak jak wszystkie uogólnienia niesprawiedliwe!

A więc wkraczamy w nową pięciolatkę orbitowań i zobaczmy co z nich wyniknie.
10-9-8-7-6-5-4-3-2-1

Adam Hollanek

MIĘDZYNARODOWY LITERACKI
Fantastyka

Adres redakcji:
00-640 WARSZAWA,
ul. Mokotowska 5/6

Telefony: 25-34-75 (red. nacz., sekretariat, działy: techn., graf., literatury polskiej), 25-50-51 (z-ca red. nacz., sekretariat, działy: zagr., krytyki).

Redaktor naczelny: Adam Hollanek

Zespół redakcyjny: Andrzej Brzezicki (kier. działu graf.), Leszek Bugajski, Anna Gładka, Lech Jęczyński (kier. działu zagr.), Sławomir Kędziński (z-ca sekr. red.), Zbigniew Latala (fotoreporter), Maciej Makowski (kier. działu techn.), Dorota Małinowska, Andrzej Niewiadowski (z-ca red. nacz.), Maciej Parowski, (kier. działu literatury polskiej), Jacek Rodek (z-ca red. nacz.), Krzysztof Szolginia (sekr. red.), Dariusław J. Toruń, Marek K. Zalejski, Rafał A. Ziemkiewicz.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych, w publikowanych tekstach zastrzega sobie prawo dokonywania skrótów.

Wydawca: Krajowe Wydawnictwo Czasopism RSW „Prasa-Książka-Ruch”, ul. Noakowskiego 14, 00-666 Warszawa, tel. centr. 25-72-91 do 83. Ogłoszenia przyjmuje Biuro Reklam i Propagandy tel. 25-35-26. Słabo: Zakłady Wydawnicze RSW „Prasa-Książka-Ruch”, Warszawa, ul. Okopowa 68/72.

Druk i oprawa: Prasowa Zakłady Graficzne RSW „Prasa-Książka-Ruch”, Łódź, ul. Armii Czerwonej 28. Zam. 2869/87 K-12. Nakład 150 000 egz.

Czytelnicy i „Fantastyka” Lądowanie LV

W dzisiejszym „Lądowaniu” znajdziecie Państwo także oferty do rubryki „komu”, ale nie tylko. Wiele problemów wymaga dyskusji lub po prostu wyjaśnień. Na co mogę – odpowiem. Zaczynamy więc.

Chciałbym uzyskać...

„Jednoznaczna odpowiedź na pytanie czy przewidujecie druk okładek do powieści zamieszczanych w pierwszych numerach „Fantastyki”, konkretnie do numeru 1/82, do 11 z 1984 roku, w którym zakończyliście druk „Księżniczki Marsa” O. Okładki, które ukazały się później, idealnie pasują do stron środka numeru i tworzą w sumie estetyczny tom. Oprawiam całość w intrygującym. Ostatecznie chodzi jedynie o 14 tytułów, czyli zaledwie o 7 plakatów. Zróbcie to zresztą kosztem posterów, które zniknęły ostatnio z kiosków.

Zbigniew Świątkiewicz z Radomia

Brakuje w kraju papieru, także i kredowego, na którym drukowaliśmy okładki. Jeśli go w końcu dostaniemy, to spróbujemy robić z niego okładki do dodatku „Komiks-Fantastyka” (kwartalnego). Na razie okładki do najnowszych naszych utworów powiesciowych ukazują się na ostatniej stronie – błyszczącej, kredowej okładce. Gdyby udało się dodrukować okładki od „Pieśni dla Lyanny” do „Księżniczki Marsa” na osobnych posterach, oczywiście o tym powiadomimy. Odpowiedź więc niestety jednoznaczna.

Komu, komu...

W związku ze zmianą zainteresowań, pragnę pozbyć się części swego księgozbioru. Ponieważ jest to lista obejmująca ponad 100 pozycji i nikt jej nie wydrukuję w całości, proszę, o ile to możliwe, o zamieszczenie informacji, że odstąpię bogaty zbiór literatury SF, w tym wiele wydawnictw klubowych i fanzinów. Zainteresowanym prześlę pełny wykaz oferowanych tytułów.

Marek W. Stępień
86-120 PRUSZCZ POMORSKI
POBox13

Twórczość Tolkiena...

...i podobnych jemu autorów to naprawdę porządna sprawa i warto by o nią zadbać. Czymś o takim charakterze zajął się Śląski Klub Fantastyki, lecz żałuję, że Boże, mamie im to wyszło. Słownik Tolkienistyki jest całkiem, całkiem, ale plany bi-tów z „Władcy Pierścieni” to kupa szmelcu, czyli jeden wielki brak. Zapraszam to, pokryte plamami farby i jeszcze po angielsku. Obraz nędzy i rozpaczy. Sami miesięcznik „Fikcje”, w którym się to

ukazuje też jest do niczego (...), za takie kicze powinno się iść pod sąd (...). Moglibyście machnąć kilka eleganckich mapek do „Władcy”, a zwolennicy fantasy byłiby Wam dożywotnie wdzięczni.

P. Jabłoński z Potoczyna Zdroju

Zastanowimy się nad tymi mapkami, ale zamieścimy je dopiero wówczas, gdy będziemy dawać coś o Tolkienie lub jakiś utwór tego tak popularnego autora.

Komu, komu...

Chętnie odstąpię następujące numery „Fantastyki” z powieściami – 1/82, 12/84, 3/85, 6/85, 7/85, 9/85, 10/85, 11/85, 12/85, 1/86, 2/86, 5/86.

Maciej Jachym
Chopina 9/5
48-200 PRUDNIK

Sprawa jest nieco odległa...

...bo dotyczy miniopowiadania zamieszczonego w „Fantastyce” 3/18/84. Chodzi o „Koniec Wszechświata”, napisany przez Waldemara Kamińskiego (III Nagroda w konkursie). Otóż ostatnio dotarłem do antologii, wydanej przez Dell Book – the Years Best SF pod redakcją Judith Merril, jest to 11 edycja z 1967 roku. Jest tam takie opowiadanie napisane przez Boba Ottuma, a zatytułowane „Ado about nothing”. Krótkie, jedynie trzy strony druku. Ale bardzo interesujące jest jego początek. Dla zobrazowania podam pierwszych kilka linijek: „today we reached the end of the universe. It was a big sign with red letters all lit up. This is the end of the universe – do not proceed beyond this point. We pulled the ship in close and cut all the power. Frank hollered over the intercom: What in the hell is this?”. Wyczuwam, że opowiadanie p. Kamińskiego zostało nagrodzone za oryginalność pomysłu, nie zaś za jego walory literackie. W „Fantastyce” pojęcie „piątku” jest trochę „złagodzone”, bowiem często na jednym pomysłu zerują potem już pokolenia pisarzy; uważam jednak, że pan Kamiński powinien zostać nagrodzony jedynie za znajomość języka angielskiego...

Pirx –
miłośnik fantastyki
i „Fantastyki”
z Krakowa

Ma Pan rację z tym „złagodzeniem” pojęcia „piątku” w „Fantastyce”. Pomysł zresztą powtarzają się nie tylko w niej, ale i w utworach tzw. głównego nurtu literatury. Tylko że pomysł fantastycz-

ROBOTNICA SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA
„PRASA • KSIĄŻKA • RUCH”

PRZYZNAJE NAGRODĘ
I STOPNIA

ZESPOŁOWI REDAKCYJNEMU
MIESIĘCZNIKA „FANTASTYKA”

ZA NACZES WADZĄCĄ
FORMUŁY PRASY

Prasa
Władca Redaktor

WARSZAWA, MAJ 1987 ROK

ny jest już większą częścią, najważniejszą powieścią, działbym w ogóle sprawą utworów gatunku SF, on (ten gatunek) na tym stoi, bazuje. Tym bardziej powinno się podawać przynajmniej źródła „natchnienia”, czego łwa większość autorów SF unika jak ognia. Nawet niektórzy znani i już wzięci pisarze, także i nasi, zapytani skąd czerpali pomysły do swojego dzieła odpowiadają, że nic podobnego nigdy nie czytali, a w książce jest prawie dosłownie to, co gdzie indziej. My nie jesteśmy w stanie znać i sprawdzać wszystkiego na świecie, proszę wybaczyć. A jeśli chodzi o p. Kamińskiego niech ma za swoje. Proszę, niech się odezwie, obroni!

Poezja i fantastyka

Pogasić gwiazdy
Zapomnieć Księżyca
I serc bicia
Stożka nie zostawić
Ni ćwierci
To właśnie jest śmierć

I tym poetyckim akcentem, (co prawda niezbyt optymistycznym) w wykonaniu naszego 17-letniego czytelnika, Jarosława Wysa z Radomia kończymy skromny jubileusz pięciolecia „Fantastyki” – jak zwykle „na roboczo”.

Redaktor



UWAGA CZYTELNICY!

Przypominamy o mijającym niedługo terminie prenumeraty „Fantastyki” na rok 1988!

Warunki prenumeraty: ● Dla zakładów pracy i instytucji i zakłady pracy zlokalizowane w miastach wojewódzkich i miastach, w których znajdują się siedziby oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch” zamawiają prenumeratę w tych oddziałach i instytucjach i zakładach pracy zlokalizowane w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u listonoszy. ● Dla prenumeratorów indywidualnych – osoby zamieszkałe na wsi i w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch” opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u listonoszy; osoby zamieszkałe w miastach-siedzibach oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch” opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratora przy użyciu „blankietu wpłaty” na rachunek bankowy miejscowego oddziału RSW „Prasa-Książka-Ruch”. ● Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch”, Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie Nr 1153-201045-139-11. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę pocztą zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50% dla zleceniodawców indywidualnych i 100% dla zleceniodawców instytucji i zakładów pracy.

Terminy przyjmowania prenumeraty: do dnia 10 listopada na I kwartał, I półrocze roku następnego oraz cały rok następny; do dnia 1 każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego.

Cena prenumeraty: kwartalnej 300 zł, półrocznej 600 zł, rocznej 1200 zł.

Przypominamy, że wioskach „Ruchu” są przyjmowane zlecenia na oddkadanie prasy do teczek. ■

FINAŁ

Drugiego Literackiego Konkursu „Fantastyki” na opowiadanie SF

Wszystko dobre co się dobrze kończy! W tym wypadku, jak Państwo zobaczycie, nawet lepiej niż dobrze. Olbrzymia liczba stron nadesłanych na II Konkurs „Fantastyki” została wreszcie przeczytana i oceniona. Trwało to bardzo długo, mimo że w pierwszej eliminacji tekstów brała udział większość zespołu, a dopiero decyzję ostateczną podjęto węższe jury w podanym niżej składzie.

Krótką charakterystyką Drugiego Konkursu: Ogłoszony w numerze 3/85 zamknięty został 31 grudnia 1985 roku. Uczestniczyło w II Konkursie 1148 zestawów prac o łącznej objętości kilkunastu tysięcy stron maszynopisu. Lektorzy, a potem jurorzy wybrali z tego dziewięć opowiadań, nagrodzonych bądź wyróżnionych, z których większość prezentowaliśmy już na łamach piśmi. Łączna objętość wyłonionych w Konkursie opowiadań – około 10 arkuszy wydawniczych. Książka pokonkursowa będzie więc nieco cieńsza od „Trzeciej bramy” (recenzja na str. 60), za to teksty, które do niej trafią wyglądają na bardziej określone gatunkowo, dojrzalsze; budzą ponadto mniej zastrzeżeń profesjonalnych. Po prostu w II Konkursie wystartowała, czy może raczej przebiła się do finału, ekipa nieco starsza i bardziej doświadczona niż w pierwszym. Stąd odmiana.

Szczegółowe oceny, opinie, porównania – za miesiąc. W numerze październikowym przedstawimy obszerną wypowiedź przewodniczącego jury na temat Konkursu, a także krótkie refleksje jurorów i lektorów. Całość – ułożoną, przemyślaną, opatrzoną wstępem i krytycznym posłowiem – prześlemy, podobnie jak płon pierwszego konkursu, do Wydawnictwa Literackiego z prośbą o redakcyjny i poligraficzny pośpiech.

Drugi Literacki Konkurs „Fantastyki” ogłaszamy za rozstrzygnięty.

Redakcja

LAUREACI

Po zapoznaniu się z pracami nadesłanymi na II Konkurs „Fantastyki” jury w składzie: Adam Holanek (przewodniczący), Maciej Parowski (sekretarz) oraz Lech Jęczyński, Andrzej Niewiadomski i Jacek Rodek (członkowie jury), na posiedzeniu w dniu 9 czerwca 1987 r. postanowiło co następuje:

I miejsce w konkursie zajmuje

MAREK S. HUBERATH, autor opowiadania „Wrocławskie Sneogg, wiedziałam” i otrzymuje nagrodę w wysokości 25 tys. zł – za szczególne walory humanistyczne i literackie.

II miejsce w konkursie zajmuje

JAN MASZCZYŹYŃ autor opowiadania „Ciemie”, i otrzymuje nagrodę w wysokości 20 tys. zł – za oryginalność autorskiej wizji.

III miejsce w konkursie zajmują wspólnie

ALEKSANDER BUKOWIECKI autor opowiadania „Sensorita i Ferty”

MAREK DYSZLEWSKI, autor opowiadania „Zasięg”

ANDRZEJ SĄPKOWSKI, autor opowiadania „Wiedźmin”

i otrzymują nagrody po 10 tys. zł – za sprawność warsztatową i walory stylistyczne

★ ★ ★

Oprócz prac nagrodzonych, jury dostrzegło w konkursie kilka opowiadań wyróżniających się interesującymi pomysłami i ciekawą realizacją. Autorom tych prac jury przyznaje roczne prenumeraty „Fantastyki”. Otrzymują je (w kolejności alfabetycznej):

PIOTR GOCIEK – „Wielka ucieczka”

TADEUSZ MESZKO – „Pozeracz szarości”

ANDRZEJ PODGÓRSKI – „Ten wojewoda najwyraźniej trzęsie portkami. Sam chciał w to wleźć Jego sprawą”

JAN SULIGA – „XXI Rozdział Księgi FU”

★ ★ ★

Jury serdecznie gratuluje wszystkim nagrodzonym i wyróżnionym, dziękując jednocześnie Autorom pozostałych 1139 zestawów prac, ze zechcień wziąć udział w naszym konkursie.

Nic straconego – wobec powodzenia dwu już podobnych inicjatyw jury proponuje Krajowemu Wydawnictwu Czasopism i Wydawnictwu Literackiemu objęcie patronatu nad trzecim konkursem „Fantastyki”.

UWAGA! Nagrody w II Konkursie zostały ufundowane przez Krajowe Wydawnictwo Czasopism i Wydawnictwo Literackie

I Na podłodze widniał rząd jasnych plam. Snorg lubił obserwować, jak powoli wędrowały po matowej wykładzinie. Już dawno odkrył, że światło wpada przez niewielkie okna pod sufitem. Lubiał leżeć na podłodze tak, żeby ogrzewały go ciepłe promienie. Spróbował poruszyć rękoma, ale tylko zsunął się bezwładnie z posłania.

– Dags... – wysyczał przez zaciśnięte zęby. Nie pannał nad zdrewniałymi szczękami.

– Daaags...

Jeden z Dagsów odwrócił głowę od ekranu wizora. Za-reagował raczej na łomot spadającego ciała, niż na głos Snorga. Moosy cały czas nuciła swoją melodie, zastępując słowa cichym bełkotem. Dags kilkoma szybkimi susami doczłapał się do Snorga. Wymierzył mu silny policzek. Oba Dagsy miały bardzo silne ręce, zaś z niedorozwiniętych nóg nie korzystały prawie wcale.

– Wle... wle... – wybełkotał Dags i wykonał kilka rytmicznych ruchów ramionami, co oznaczało zapewne, że Snorg będzie mógł poruszać rękoma. Drugi Dags również się przyczłapał i z całej siły pociągnął Snorga za włosy. Bolało okropnie, ale właśnie to cieszyło najbardziej.

Głowa... głowa... – stukło się Snorgowi pod czaszką – dobrze... jest dobrze.

Dags drugi zaczął mu wypychać palce do oczu. Snorg szarpnął głową i ryknął z bólu. Pierwszy z Dagsów uderzył drugiego z całej siły, aż tamten spadł i potoczył się. Z oczu Snorga ciekły łzy i dlatego nie widział, czy Dags wkłui mu w mięśnie wszystkie przewody i czy należy się przykleić wszystkie elektrody. Ufał jednak, że jak zwykle, Dags robi to dobrze. Mógł sobie tylko wyobrazić, jak Dags sprawdza zamocowanie instalacji. Oba Dagsy miały oczy osadzone bardzo daleko od siebie i dlatego musiały przechylać komicznie głowy.

– Tavegner!... opowiedzieć ci bajkę?... – rozległ się donośny głos Pieckigo. Snorg zawsze podziwiał jego wymowę. Teraz też słyszał wyraźnie każde słowo, chociaż brak małżowin usznych ograniczał możliwości jego słuchu.

Pieckimu odpowiedział głośny bulgot. Tavegner stał leżał bez ruchu i tylko bulgocząc dawał znać o sobie. Ale gdyby Tavegner wstał, byłby z pewnością najwyższy, wyższy od Tib i od Aspe. Tib ciągle stała i tylko dlatego była najwyższa.

Może i ja byłbym większy od niej, gdybym stanął – pomyślał Snorg. Cieszyła go myśl, że posiada dzisiaj pełne czucie w całej głowie. Zawdzięczał je małej przysłodze wyświadczanej mu co dzień przed Dagsy.

– Piecky, zamknij się! – krzyknęła Moosy – potem mu bedziesz opowiadał... teraz ja śpiewam...

Dłonie były nieczułe, jak kłoc drewna, ale poruszały się zgodnie z jego wolą. Pozrywał całą płataninę przewodów i rurek. Uszczypnął się silnie w ramie. Było bez znaczenia.

Przynajmniej się porusza – pomyślał. Obejrzał rany i otarcia na ciele. Większość goiła się już. Ale przybyły też dwa nowe skaleczenia: to wtedy, gdy zsunął się z posłania. Obrażenia były zmorą Snorga. Chwila nieuwagi, niezręcznie potrącony mebel i nie wiedząc nawet o tym, rozrywał sobie skórę. Zawsze obawiał się, że nie zauważy w porę rany i wywiąże się zakażenie. Doczłapał się do wizora. Obok nieruchomo stała Tib, a jeden z Dagsów starał się od dołu ściągnąć z niej koszulę.

– Któż ją ubiera?... – pomyślał. Codziennie Dagsy robiły to samo i co dzień z rana znów była ubrana. W końcu szara koszula zsunęła się z Tib na podłogę i Dags zaczął wspinąć się po jej nodze do góry.

Snorg przypatrywał się co nastąpi. Stało się to, co zwykle: mały nic nie wskórał. Gdy był już bardzo wysoko Tib po prostu założyła nogę na nogę. Dags zrezygnowany wpatrywał się w ekran wizora. Tib była już kobietą – Snorg uświadomił sobie to właśnie teraz. Wyglądała do-

kładnie tak, jak pokazywał ekran wizora na którejs z kolejnych lekcji.

Ma chyba za wąskie biodra i jest za wysoka, poza tym wszystko się zgadza... Dotąd patrzył na nią jak na mebel, nieruchomą dekorację Pokoju. Wydawała mu się zawsze bardzo duża, rosła jeszcze z perspektywy podłogi. Bardzo chciał kiedyś porozmawiać z Tib. Była jedyną osobą w Pokoju, z którą nie udawało się nawiązać kontaktu. Nawet Tavegner, który leżał nieruchomo jak bryła miesa i nie potrafił wypowiedzieć ani słowa, miał dużo ciekawych rzeczy do przekazania. Trzeba było tylko umiejętnie z nim rozmawiać: „tak” – pojedynczy bulgot, „nie” – podwójny. Tavegner wypełniał sobą prawie pół Pokoju i

Snorg wyciągnął ze ściany przewód do usuwania wydalin, podpiął Pieckymu i odsunął się. Wizor pokazywał drzewka, wiele drzew. Były piękne i kolorowe, poruszały się rytmicznie. Snorg nigdy nie widział prawdziwego drzewa i zawsze marzył, żeby na nim leżeć. Wyobrażał sobie jak gałęzie układają się wokół niego w miękkie, ciepłe posłanie. Wizor zawsze pokazywał rzeczy piękne: rozległe krajobrazy, ludzi zbudowanych prawidłowo; wizor uczył też różnych pożytecznych rzeczy. Snorg czuł żal i winę. Żałował, że nie jest piękny, jak ludzie na ekranie, wykonujący różne, skomplikowane czynności. Z perspektywy podłogi wydawali się niemal doskonałymi. Był przekonany, że to jego wina, że jest taki, jaki jest, a

I nagroda w konkursie „Fantastyki”

Wróćcieś Sneogg, wiedziaam...

Marek S. Huberath

długo wszyscy myśleli, że jest taki, jak Tib. Dopiero Piecky wpadł na pomysł jak się z nim dogadać. Najpierw Dagsy odkryły, że reaguje na szturchanie, bo bardzo lubił przesiadywać na jego rozległym, ciepłym i miękkim ciecie. Piecky w ogóle był bardzo mądry i wymyślił, żeby Tavegner bulgotał „tak” na właściwą literę alfabetu, a kiedy chce skończyć słowo, to jeszcze dwa razy na dodatek. Wszyscy się zgromadzili wtedy wokół niego. Nawet Snorg przyniósł pudełko z Pieckym, a Dagsy przywlokły także Moosy. Wspólnie składali litere po literze.

„Jestem Tavegner” – powiedział wtedy Tavegner. Potem jeszcze powiedział bardzo wiele innych rzeczy. Mówił, że lubi Dagsy, dziękował Pieckymu i prosił, żeby go trochę przesuneli, bo słabo widzi ekrany. Ostatnio jednak Tavegner się rozleniwiał: woli, żeby mu zadawać pytania, a on tylko potakuje lub zaprzecza. Snorg podsunął się do Pieckiego.

– Ty, Piecky, jesteś mężczyzną, czy kobietą? – zapytał i zaczął rozwijać przescieradelko.

– Odczep się Snorg... odwal się do jasnej cholery... Ja jestem po prostu Piecky... – małe ciało Pieckiego wyrwało się gwałtownie. Snorg odwinął go w końcu do reszty i zaraz z powrotem zaczął zawijać.

– Ty rzeczywiście jesteś Piecky – powiedział.

– Mówię ci to, durniu, już od dłuższego czasu. – Piecky wykrzywił pogardliwie wargi. – Dagsy dawno by już odkryły, gdyby było inaczej. – Piecky miał wspaniałą głowę, nawet większą od głowy Snorga i ukształtowaną niezwykle prawidłowo, znacznie lepiej nawet niż głowy tych, których oglądał na ekranach.

– Masz wspaniałą głowę, Piecky – powiedział Snorg, żeby go trochę udobruchać. Piecky aż pokraśniał.

– Wiem o tym, a ty masz dość paskudną gebę, chociaż też całkiem prawidłową, gdyby nie te uszy... – odparł. – Jestem dużo mądrzejszy – kontynuował – i będę jeszcze długo istniał, gdy was już skasują...

– Co mówisz? – spytał Snorg.

– Nic... podaj mi ssawkę.

nie taki jak ludzie z pięknych obrazów ekranu. Ale nie wiedział, dlaczego to jego wina. Patrząc na nich zapomniał o wszystkim. Oczywiście chłonał widoki i wiedzę; dzięki wizorowi widział i znał wiele rzeczy, których nigdy w Pokoju nie było. Na ekranie ukazała się kobieta. Stała nieruchomo, na jej przykładzie demonstrowano, jakie proporcje ciała powinna mieć poprawnie zbudowana kobieta. Obok ekranu tkwiła Tib i patrzyła przed siebie szklanym wzrokiem. Porównywał jej budowę z tamtą z ekranu. Tib była tysa, całkowicie tysa, nie miała ani jednego włosa na ciecie i przez to jej głowa różniła się bardzo od głowy tamtej kobiety, ale Snorg spróbował wyobrazić sobie włosy na jej głowie i wtedy nie było źle. Miała delikatne małżowiny uszne, lekko odstające i pod światło nieco przeświecające. Tych uszu Snorg zazdrościł jej szczególnie. Na ekranie pojawiły się linie zaznaczające poprawne proporcje ciała i Snorg podczołgał się do Tib, aby zmierzyć jej proporcje sznurkiem. Nie dość, że jej obie ręce miały równą długość, podobnie jak i nogi, że ręce miała krótsze od nóg, to i w najdrobniejszych szczegółach jej budowa zgadzała się ze wzorcem. Aby jeszcze porównać rozmiary jej głowy z resztą ciała, przyklepnął i wyciągnął ręce do góry. Wszystko się zgadzało – spojrzał na nią z podziwem.

Ciało ma w pełni poprawne – pomyślał i uświadomił sobie, że udało mu się ukleknąć na bezwładnych nogach. Natychmiast upadł.

Czuł długi, przeciągły szum w uszach. A więc upadek był połączony z utratą przytomności. Potem usłyszał jeszcze jak Piecky głośno krzyczy do Moosy.

– Daj spokój! Nie broń się... skończy i sobie pójdzie – mówił Piecky.

Moosy głośno szlochała. – Nie znoś tego... to ohydne zwierze... przestań! Zostaw mnie wreszcie!

Snorg podniósł głowę: to jeden z Dagsów wdrapał się do skrzynki z Moosy.

To się robi powoli niezdolne – pomyślał – nie można się im sprzeciwić... nie można sobie z nimi poradzić.

Dags przestał głośno sapać i zeskoczył na podłogę.

I Piecky miał opowiadać bajkę. Dagsy przymocowały mu rękę, którą mógł wykonywać bardzo ograniczone ruchy. Nieustannie drapał się nią po twarzy.

- To znakomite... to świetne... - powtarzał - nie umiesz posługiwać się swoimi ciałami...

Kilka uderzeń wymierzonych przez Dagsy doprowadziło go do porządku. Zaczął opowiadać:

- To był piękny sen... - Piecky przymknął oczy - unosilem się w powietrzu... było cudownie... miałem takie czarne, płaskie skrzydła po bokach, jak pokazują czasem w wizorze... Powietrze poruszało się wraz ze mną... było cudownie chłodno... - mówił coraz ciszej, jakby do swoich myśli - obok leciała Moosy... jej skrzydła były jaskrawozielone... miała cztery skrzydła i trzepotała nimi tak, że żałowałem, że jestem tylko Piecky...

Z kąta rozległ się donośny bulgot.

- Tavegner prosi, żebyś opowiadał głośniejsze - powiedział Snorg, a następny głuchy bulgot to potwierdził.

- Dobrze... będę mówił głośniejsze - Piecky jakby się otrząsał. - Pokój był coraz mniejszy i mniejszy - kontynuował... i wszystko stawało się coraz bardziej zielone. A w dole leciały oba Dagsy, leciały też tam gdzie my... i było cudownie, bo niebo, ku któremu leciałem, było wielkim ekranem wizora i widać było coraz wyraźniej ziarenka ekranu. Mogłem poruszać się we wszystkich kierunkach...

Z kąta, gdzie stała skrzynka z Moosy, rozległ się cichy szloch. Snorg przyczłopał się w jej stronę.

- Potrzebujesz czegoś?

- Chciałam cię zawołać, bo gdyby przyszedł któryś z Dagsów, to znowu zrobiłby to, czego nienawidzę... Ułóż mnie obok Pieckego, dobrze?

- Wzruszyłaś się jego opowieścią? - zapytał Snorg, przypatrując się Moosy. W odróżnieniu od Pieckego miała wszystkie kończyny, choć niedorozwinięte i zmarniałe.

- To nie Piecky, to Tavegner - powiedziała przez istry. - Gdy Piecky opowiadał, Tavegner prosił, żeby go tłumaczyć po literze... i wiesz, powiedział...

Snorg pokiwał głową.

- Powiedział, że chce iść na przemiał zamiast Pieckego...

- Na przemiał? - nie zrozumiał Snorg.

- Piecky to już dawno odkrył - powiedziała Moosy - on uważnie analizuje wszystko, co mówią w wizorach. Wybiorą z nas tylko kilkoro najlepiej... najpoprawniej zbudowanych, a reszta na przemiał.

- Tak jak pokazują na ekranach i mówią, że to wojna? - upewnił się.

Skinęła głową.

- Połóż mnie obok Pieckego... - powiedziała Moosy - on zawsze, gdy skończy opowiadać swój piękny sen, jest zupełnie załamany.

Z wielkim wysiłkiem wyciągnął Moosy z pudła i przetaszczył do kojca, w którym leżał Piecky i natychmiast musiał znowu ześlizgnąć się z powrotem na podłogę, gdyż Tib zaczęła się zanieczyszczać. Podsunął jej ssawę. Gdy skończyła, z całej siły uchwycił ją za biodra i uniósł się na kolana.

- Nie rób tego tak, dobrze?... - powiedział, patrząc na nią. Tib pochyliła głowę i spojrzała na jego twarz, wykrzywioną z wysiłku. Jej małżowiny uszne mocno odstawały i właśnie przeświecał je promień światła. Wydały mu się niezwykle piękne. Zaciśnął odretwiące szczęki i uchwycił Tib za ramiona. Wyczuł, że ona mu w tym pomaga, nie odsuwa się do tyłu, lecz z całej siły stara się utrzymać prosto, jako jego oparcie. Nadal patrzyła na jego twarz. W jej uchylonych ustach widać było zęby. Snorg poczuł się wielki, gigantyczny... stanął, pierwszy raz stanął na swych sparaliżowanych nogach. Patrzył teraz na nią nawet nieco z góry... na wysoką aż pod niebo Tib.

Inni przerwali rozmowy. Postanowił zrobić krok. Czując swoją moc... nagle ujrzał, jak jedna ze stóp wysuwa się w jego kierunku...

- Tib!... Idę... - to miał być krzyk, a wyszło chrapnięcie czy szloch. I nagle wszystko zakolysało się, Snorg runął jak długi na plecy.

III Pokój miał jeszcze dwóch innych, stałych mieszkańców, z którymi Snorg w zasadzie się nie stykał, gdyż oboje wykorzystywali tę samą aparaturę co on. W czasie gdy on był aktywny, oni spali. Byli to Aspe i Dulf. Aspe kształtem przypominała Tavegnera, chociaż mu nie dorównywała rozmiarami. Piecky mówił, że jest bardzo inteligentna i złośliwa. Nie zdejmowała nigdy sztucznych rąk i robiła nimi dziwne psikusy Pieckemu albo Tavegnerowi. Snorg bardzo chciał porozmawiać z nią albo z Dulfem, który leżał nieruchomo skrecony w embrión, a jego niezwykle pomarszczona skóra przywodziła na myśl zgrzybiałą starość, chociaż był w wieku ich wszystkich, to znaczy zaraz po okresie dojrzewania.

Tib przestała zanieczyszczać Pokój, nauczyła się podchodzić do Snorga, gdy tylko czuła potrzebę. Snorg widząc to zwykle był w stanie zdążyć ze ssawą. Tib zaczęła na niego reagować: zdarzało się, że przechodziła w tę stronę Pokoju, gdzie właśnie leżał i stała w pobliżu, patrząc na niego. Była znacznie bardziej aktywna niż dotąd.

- Nie doceniałem cię Snorg - powiedział kiedyś Piecky - jesteś fajny facet... potrafisz nawiązać kontakt z tą chudą... - nigdy nie mówił o Tib inaczej jak „ta chuda”... - Mnie się nie udało, chociaż starałem się bardzo... Ty się zmieniłeś Snorg - mówił dalej - dawniej przypominałeś okrwawione nieustannie zwierzę... teraz widać myśl na twojej twarzy.

Zwierzę oznaczało coś brutalnego, bezmyślnego i potwornie silnego... Snorga cieszyła opinia Pieckego i wiedział też dlaczego Piecky tak uważa. Od tamtego dnia Snorg ćwiczył upór i siłę woli. Od momentu, gdy siłą woli zmusił bezwładne nogi do zrobienia pierwszego kroku, wołała się dla niego sprawą najważniejszą. Teraz potrafił już zrobić wiele kroków, chociaż kończyło się to często ryzykownym upadkiem. Wstawał wspierając się o ciało Tib, ale stapał już samodzielnie, a ona tylko przytrzymywała go ręką. Po obudzeniu potrafił nawet czasem bez pomocy Dagsów i instalacji odzyskać władzę w rękach.

- Widać wolę na mojej twarzy - odpowiedział Pieckemu.

Piecky leżał z uniesioną głową i patrzył na niego.

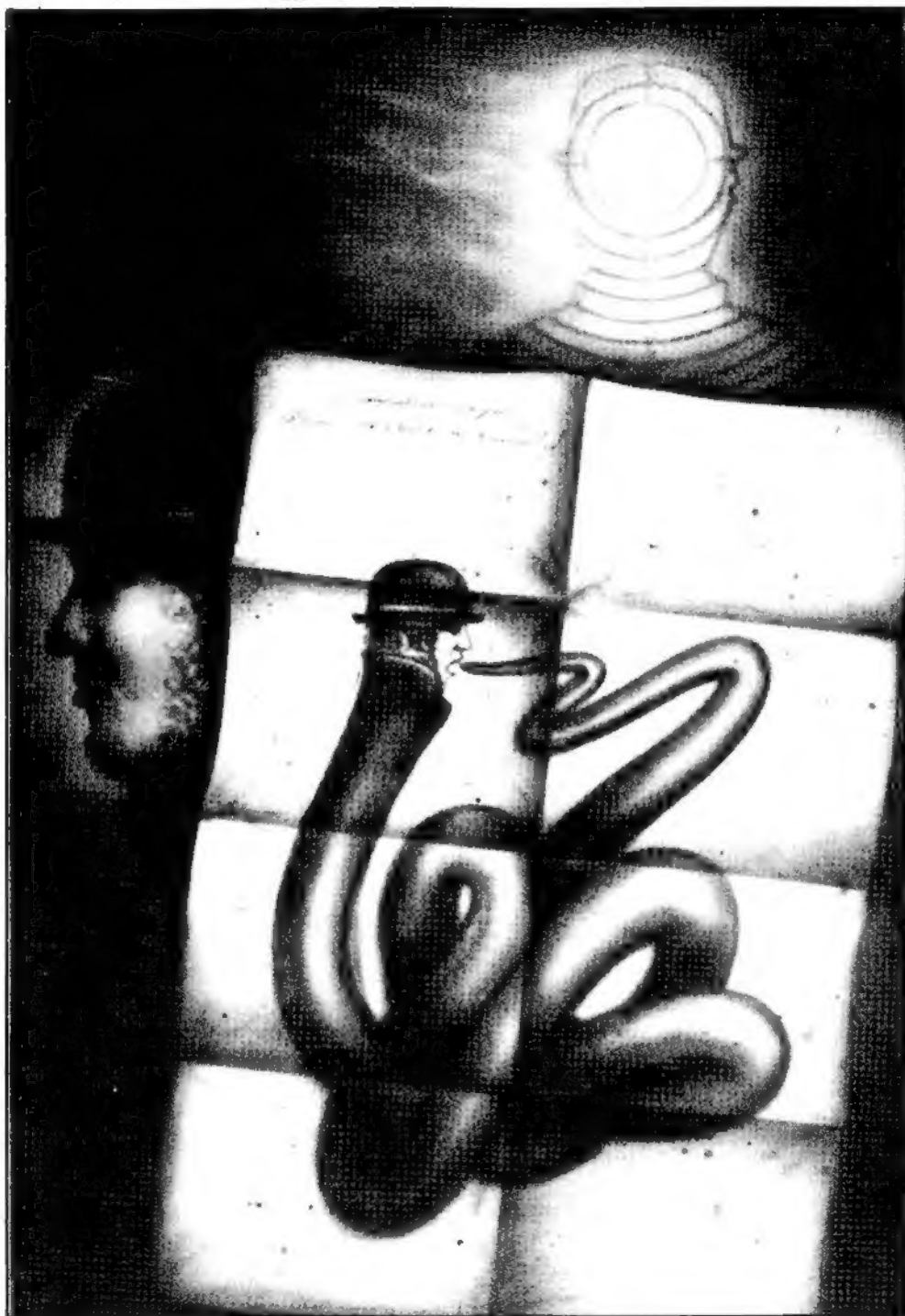
- To prawda - powiedział - rysy twarzy ci stwardniały, kąciki ust obniżyły się... Musisz się spieszyć Snorg... czuje, że już niedługo będziemy tu razem.

Piecky stawiał na wiedzę i intelekt. Godzinami tkwił przed klawiaturą jednego z wizorów i jeśli tylko któryś z Dagsów nie odmontował mu dla kawału sztucznej ręki, nieustannie pisał na monitorze. Zdobywanie wiedzy i kontakt z maszyną były jego pasją. Snorg był przekonany, że aby uszczęśliwić Pieckego, wystarczy zanieść go przed klawiaturę i ułożyć tak, aby mógł trwać w swojej pozycji przez kilka godzin.

IV Snorg postanowił nauczyć Tib mówić. Piecky poradził mu, żeby dał jej wyczuć vibracje strun głosowych na swojej krtani. W tym celu uchwycił ją za biodra, aby powstać. Zrobił to jednak zbyt gwałtownie i Tib upadła. Po raz pierwszy widział ją leżącą. Jeden z Dagsów korzystając z okazji błyskawicznie wcisnął się pomiędzy jej rozrzucone bezwładnie nogi. Snorg zamachnął się z całej siły i mały, trafiony na odlew, potoczył się po podłodze zalany krwią.

- Snorg!... - krzyknął Piecky. - Przestań!... Zrobisz mu krzywdę.

Wojtyński o Grabińskim



Po stycznej

...Wychodząc z systemu planetarnego przedstawiał sobie graficznie bieg życia rozmaitych jednostek i zdarzeń jako wydłużone elipsy, po których dany osobnik krążył na sposób punktu. Elipsy te jak na stosunki ludzkie musiały się oczywiście wzajemnie krzyżować, oddziaływając na się odpowiednio. Wśród tej całej sieci spostrzegł jednak Wrzecki, że krzywizny mogą się tak ustawić, że da się przez nie przeprowadzić linia prosta. Będzie nią styczna do elips łącząca ich krzywizny poza obrebem pól...

Dotąd Wrzecki pozostawał ciągle w sferze teorii: rozumiał. Nie natknął się jeszcze na swą styczną, w rzeczywistości życie jego wirowało ciągle po normalnej elipsie... niemniej był gotów w każdej chwili, za najmniejszym potrąceniem z zewnątrz, wypaść z toru i podążyć z fatalną szybkością po zablakanej koleinie.

Gdzie miała zaprowadzić przypuszczalna droga nie wiedział. Ciemna siła wytrącała go powoli z przypisanego obiegu i pchała prosto przed siebie. Koniec stycznej ginał w nieprzejrzanym obszarze perspektywy...

- To moja krew - powiedział Snorg, oglądając dłoń - rozwalilem sobie reke o niego.

Tib pozbierała się już i usiadła. Dagsy nie zbliżały się do niej, bacznie obserwując Snorga.

Swoją drogą dobrze, że mu przyłożyłeś - powiedział Piecky - dostał też jakby ode mnie, za Moosy... Robią obaj z moją Moosy co chcą... i kiedy chcą.

Snorg ujął Tib za reke i położył jej dłoń na swojej krtani.

- Tib - powiedział, wskazując palcem na nią.

Nadal patrzyła na niego w milczeniu.

- Tib - powtórzył.

Wyglądała na przestraszoną.

Przesunął dłonią po jej twarzy, dotknął różowego uszka i zdumiał się: Tib była pozbawiona otworu usznego.

- Piecky! - krzyknął, w pełni panując nad szczekami. - Jesteś genialny!... Ona jest zupełnie głucha... tylko przez dotyk... miałaś rację...

Z nowymi siłami zaczął powtarzać jej imię. Za któryś razem jej wargi poruszyły się i wydała dźwięk: grhb... stłumiony i głuchy. Wstała i kilka razy powtórzyła: - gyrdb... ghdb... - mówiła coraz głośniej, chodząc po Pokoju.

- Obudzi Dulfę - powiedział Piecky.

Snorg przywołał ją gestem. Usiadła. Znowu zaczął powtarzać jej imię.

- Wiesz, widziałam dzisiaj z rana, jak Dagsy robią to ze sobą - powiedziała Moosy. Rano oznaczało porę, gdy na podłodze pojawiały się promienie słońca wpadające przez okienka pod sufitem. - Najpierw jeden to robił na drugim, a potem się zmieniły... - dokończyła.

- To się nigdy nie zdarza w ciągu dnia - zauważył Piecky.

- Może się nas wstydzą?

- Dagsy?!... - Roześmiał się. - Z takimi niskimi czołami?... To muszą być kretyni...

V Tib uczyła się szybko. Wkrótce umiała wymówić swoje imię, imiona Snorga i Pieckego oraz kilka innych słów. Piecky uważał, że ona ma częściowo upośledzony również wzrok i większość informacji dociera do niej przez dotyk. Przyznawał jednak, że nie jest wcale pewien, czy jest to fizjologiczny niedorozwój, czy też mózg Tib nie potrafi należycie opracowywać danych dopływających przez oczy.

Coraz częściej zaczął budzić się Dulf. Nie zmieniał nigdy swojej pozycji na podłodze, chociaż poruszał powiekami i nawet mówił. Jego wymowa była zabawna: jąkał się i miał kłopoty z doborem słów. Snorg chciał dowiedzieć się, jak Dulf potrafi radzić sobie bez pomocy aparatury, ale Dulf nie rozumiał znaczenia słowa „wola” i na razie nie było o czym z nim dyskutować. Dagsy próbowały kiedyś rozprostować Dulfę na podłodze, ale okazało się, że jest zrosnięty w kablak. Piecky stwierdził, że jest to niemożliwe i że jedynym rozwiązaniem może być tylko to, że Dulf jest parą zrosniętych bliźniąt i ma małego braciszka przyrośniętego w rejonie brzucha.

- Swoją drogą, Snorg... - powiedział Piecky, unosząc do góry swoją jedyną, sztuczną kończynę znad klawiatury - ...zauważyłeś, jak nasze życie ulega szybkim zmianom?... Dotąd myślałem, że rządzi się ono ustalonymi prawami: ty czołgałeś się po ziemi, Tib stała jak kłoc, Dulf mówił tylko wtedy, gdy ty byłeś nieruchomy, a teraz?... -

- Do czego zmierzasz, Piecky?

- Oczekują nas poważne zmiany... bardzo poważne... Pamiętasz, jak było dawniej, tak całkiem dawno?... - mówił Piecky chaotycznie.

Snorg kiwnął głową.

- Dawniej każdy z nas miał przed nosem ekran, który uczył każdego z nas wszystkiego i pokazywał, jaki jest świat i jaki powinien być... Każdego z nas oplatała pajeczyna przewodów, które pobudzały nasze mięśnie do

działania, nasze organy, cały organizm... wszystko, żeby nas utrzymać przy życiu...

- Pamiętam jak przez mgłę, że tak było... - przerwał Snorg.

- Właśnie!... - Piecky ożywił się. - Rąbią w nas narkotyki, czy inne prochy... zapominamy... Chociaż może oni chcą, żeby ta wiedza lądowała gdzieś głębiej w nas... w podświadomości.

Snorg zauważył, że Piecky wygląda bardzo źle: na jego wspaniałej twarzy widać było zmęczenie, pod oczyma miał ciemne sińce, był bardzo blady.

- Zbyt dużo czasu spędzasz przed ekranem. Wyglądasz coraz gorzej... - powiedział Snorg.

Natychmiast zainteresował się Pieckym jeden z Dagsów. Wyraźnie chciał przenieść go w inne miejsce, chociaż na razie tylko lekko gładził go po twarzy i ciągnął za włosy.

Piecky spojrzał porozumiewawczo na Snorga.

- Widzisz... - powiedział - one jednak rozumieją wiele. Sam się niedawno przekonałem... Nie rozumiem dlaczego obaj chcą uchodzić za kretynów.

Dags wymierzył Pieckemu policzek i gniewnie odbiegł w inną część Pokoju. Piecky uśmiechnął się.

- Ty, Snorg, myślisz, że ja się bawię... że wystarczy posadzić Pieckego przed ekranem i przymocować mu jego sztuczną reke i będzie zadowolony, co?

Snorg miał niewyraźną minę.

- Snoegg - powiedziała Tib. Umiała wyciągać ssawy ze ścian i nie zanieczyszczała już Pokoju, ale jeszcze nie potrafiła poradzić sobie z chowaniem przewodu. Snorg pomógł jej i zaraz wrócił do Pieckego.

- Dzięki wizorowi dowiedziałem się już wielu rzeczy... Wiesz Snorg, że takich pokoi, jak nasz, jest bardzo wiele?

... Żyją w nich tacy sami, jak my... Jedni bardziej, inni mniej upośledzeni... Można te pokoje oglądać, bo wszędzie są nie tylko ekrany, ale i kamery... my też jesteśmy nieustannie podglądani... Wydaje mi się, że ich obiektywy są gdzieś w pobliżu sufitu, ale bardzo trudno je wypatrzyć... Wiesz, w jednym z tych pokoi, takim ciemnoniebieskim, żyje taki sam Piecky, jak ja... ma na imię Scorp. Porozumieliśmy się: on mnie oglądał na ekranie, a ja jego... też ma sztuczną reke...

- Może my nie zasługujemy, żeby tak żyć, jak ci poprawnie zbudowani, których pokazują na ekranach?... - powiedział Snorg.

Piecky aż fuknął ze złości.

- Przestań!... Już cie zgnolił... masz poczucie winy... - od gwałtownych poruszeń rozluźniły się paski przytrzymujące jego sztuczną kończynę. Snorg poprawił jej umocowanie.

Przenikliwie oczy Pieckego nadal rzucały błyskawice.

- To oni wytwarzają w nas poczucie winy... - wyrzucił z siebie - jeszcze nie wiem, po co oni to robią... ale dotrę do tego... tak, jak wyciągnąłem z tych cholernych ekranów znacznie więcej, niż miałem wiedzieć...

Snorg był zdumiony mocą, która bila od Pieckego. Dotąd uważałem, że wola jest moją specjalnością... - pomyślał. Widocznie jego twarz wyrażała zdziwienie, które Piecky odczytał jako niewiarę, gdyż przekonywał go dalej.

- Zwróć uwagę, Snorg... każdy program, każda informacja... jaki człowiek być powinien, rece... takie i takie... nogi... takie i takie, tak jest dobrze... a my?... a ja?... strzępek człowieka?... to moja wina?... rozumiesz?... Po co oni nam to stale powtarzają?

Snorg milczał. Stwierdził, że Piecky jest niezwykle mądry, można od niego nauczyć się patrzeć inaczej i widzieć więcej, niż dotąd. Ale obok usiadła Tib i zaczęła tulić twarz do jego twarzy. To delikatne dotknięcie było rzeczą, którą Snorg lubił najbardziej.

- Boję się, że nie zdążę już dowiedzieć się wszystkiego

go... już chyba zbyt mało czasu... - dokończył Piecky ciszzej, widząc, że Snorg już go nie słucha.

VI - Pieckyy! - zawołała Moosy.
- Przestań... on śpi - powiedział Snorg.
- To podejdź tu i popatrz na Aspe - powiedziała - ona nie oddycha.

Powstanie o własnych siłach kosztowało Snorga kilka sekund strasznego napięcia. Wydawało się, że Aspe leży jak zwykle: nieco zgięta, ze zmarniałymi rękami podwiniętymi pod wielką, płaską twarz. Snorg przyjrzał się jej.

- Ona śpi, jak zwykle...
- Mylisz się, Snorg. Przyjrzyj się jej uważnie.

Odwroćcie Aspe twarz do góry było ponad jego siły. Na szczęście w pobliżu pojawiły się wścibskie Dagsy. Wspólnymi siłami udało się ją ruszyć. Ciało było zimne i już sztywniało.

- Cholera... miałaś rację... to nastąpiło dość niedawno - powiedział głucho - nawet nie zamieniłem z nią jedno słowa... zawsze spała... obudzić Pieckiego?

- Nie... i tak się dowie... - odrzekła. - Nie rozumiem jej śmierci. To się nie zgadza z tym, co mówi Piecky - dodała.

Snorg siedział z twarzą w rękach. Usłyszał za sobą cichy, bełkotliwy dzwiek i odwrócił się. Tavegner płakał. Łzy, jedna za drugą, ściekały po jego czerwonych, zwisających policzkach.

- Odwróć mnie na plecy. Skóra na brzuchu pali mnie tak, że chyba dostałam już odleżyn - poprosiła Moosy.

- Leżąc na brzuchu, jesteś jakoś zabezpieczona przed Dagsami - zauważył.

- Dla nich to żaden problem odwrócić mnie na plecy, kiedy im przyjdzie ochota - odpowiedziała.

Ciało Aspe zniknęło, gdy wszyscy spali i nikt nie był w stanie powiedzieć, jak to zostało wykonane.

Widząc, że Piecky siedzi zmęczony przed klawiaturą, Snorg postanowił nawiązać do rozmowy z Moosy. Ułożył Pieckiego wygodniej i przysiadł się.

- Śmierć Aspe nie przeczy moim spostrzeżeniom - odpowiedział Piecky - prawa, które nami rządzą, działają statystycznie... po prostu: najpierw nas wszechstronnie badali i wybrali zdolnych do przeżycia... a może po prostu inni zmarli... potem odrzucili niezdolnych do nauki, takich zupełnych kretynów, i uczyli nas intensywnie na różne sposoby...

Snorg spojrzał na harujące Dagsy, a potem na Pieckiego, który odpowiedział mu uśmiechem.

- O to chodzi - ciągnął Piecky - Aspe umarła, bo ich badania nie są dość precyzyjne... a może po prostu własne przeżycie jest testem...

- Co dalej? - zapytał Snorg.

Piecky wyrażał całym sobą kompletną bezradność.

- Jestem przekonany, że nic dobrego... w każdym razie sobie nie wróżę nic dobrego... powiedział z wahaniem. - Widzisz Snorg, udało mi się wejść do systemu centrum informacyjnego, które nas obsługuje... widziałem różne pokoje... W każdym z nich są ludzie... - mówiąc słowo „ludzie” rzucił szybkie spojrzenie na Snorga - ludzie w naszym wieku lub niewiele młodszy od nas... gdy bardzo młodzi, to siedzą przed ekranami i ładuje się w nich wiedzę, gdy w naszym wieku, to robią to, co my teraz robimy: żyją... obserwują... komunikują się... ale jeszcze nie znalazłem pokoju z ludźmi dużo starszymi... Jest jakaś bariera informacyjna... na bezpośrednie pytania system odpowiada milczeniem... ale to wszystko się już wkrótce wyjaśni... czuje to, Snorg.

VII W oczy Snorga uderzył silny blask. Przez chwilę nie był w stanie zogniskować wzroku. Uświadomił sobie, że opuścił Pokój. Leżał na czymś twardym w pomieszczeniu, które wyglądało na olbrzymie. Odczuwał osamotnienie, gdyż nie było tu nikogo spośród jego współmieszkańców. W



drugim końcu siedział nieznajomy mężczyzna. Wydał mu się niezwykle stary, choć po prostu był starszy od tych, wśród których Snorg się dołąć ohracał. Mężczyzna zauważył przebudzenie Snorga i podszedł, wyciągając rękę.

- Nazywam się Bablyoyannis Knoboblou - powiedział.

Snorg powoli, z wysiłkiem woli gramolił się z posłania.

- Gratuluje, Snorg. Z dniem dzisiejszym stał się pan człowiekiem. Był pan najlepszy... Snorg zdążył uściskać prawicę tamtego. Bardzo chciał wiedzieć, jaka ta reka była w dotyku.

- Mam tu świadectwo centrum informacyjnego - mężczyzna podniósł z pulpitu kilka kartek - oraz pozytywną decyzję komisji złożonej z ludzi... Otrzyma pan dowód tożsamości i może wybrać sobie nazwę.

Cco?... - wybąkał w koncu Snorg.

Tamten sprawiał wrażenie życzliwego urzędnika, który załatwia dość miłą, lecz rutynową sprawę.

- Przeglądałem pańskie wyniki... - Bablyoyannis nadal wpatrywał się w trzymane papiery - 132 punkty... niezłe... ja w swoim teście, kiedyś, miałem 154... - pochwalił się. - Ten Piecky niebezpiecznie zbliżył się do pana, miał 126 punktów... ale brak konczyn... narządów rozrodczych... to bardzo trudno nadrobić własną inteligencją... swoją drogą to lepiej, że ktoś zbudowany jak pan, został wytypowany, a nie jakiś tam kadłubek...

Chciałbym ci rozbic pysk, gnojku - pomyślał Snorg.

- Piecky jest moim przyjacielem - powiedział, czując znajome odrętwienie szczęk.

Lepiej nie mieć przyjaciół, zanim nie zostanie się człowiekiem... - zauważył Bablyoyannis. - Chce pan znać wyniki?... - Snorg milczał, więc Bablyoyannis odpowiedział na swoje pytanie. - Moosy 84, Tib 72, Dulf 30... reszta prawie zero: Dagsy po 18, i ten wór, Tavegner 12...

Wojtyński o Grabińskim

GALERIA



W willi nad morzem

...Był zupełnie podobny do matki, którą znałem tylko z portretu zawieszonego w salonie. Szczególnie fascynująco musiałły działać jej duże, czarne oczy, pełne niewysłowionej słodyczy i głębi wyrazu. Podobnie w kraju, zanim wyszła za mąż, budziła wszędzie podziw i zazdrość, była przedmiotem pragnień wielu i powodem kilku gorących afer. Mówiono nawet, że ową tajemniczą nieznajomą, której wdzięki opiewał tak wytwornie w swych sonetach Stanisław Prandota, nie był nikt inny tylko Róża z Wrockich. Adas miał te same, namietne, palące oczy i białą, jak alabaster cerę twarzy, tak bardzo podnoszącą ich wyraz...

- Mama już nie wróci - Adas potrząsnął smutno głową.
- Coś panu pokaże...

Ujawszy mnie za rękę pociągnął mnie w ogród. Przeszedłszy szpaler tui, staneliśmy przed altaną.

To co ujrzałem wtedy wryło się w mej duszy na zawsze ponurym obrazem.

W wąskim przesmyku między tylną ścianą altany a murem ogrodowym ujrzałem świeżo usypany nieudolną dłonią grób z małym, z gałązek złożonym krzyżykiem w środku...

- To ty? Kiedy? Po co?
- Tatuś kazał...
- Tatuś?

- Tak, w nocy, we śnie, wiele lat temu. Śniło mi się, że podszedł do mojego łóżka, wziął za rękę i zaprowadził tutaj. Potem usiadł w altance na ławce, dał mi moją łopatkę i kazał sypać z tej strony grób...

W tej chwili usłyszeliśmy za sobą lekki szelest.

Za nami, ciężko oparty o róg chodnika, stał bladej jak płótno, dziko uśmiechnięty Norski...

Snorg słyszał pogardę w jego głosie i czuł narastającą nienawiść do tego człowieka. Wydawało mu się, że byłby nawet w stanie go zabić.

- Co teraz będzie ze mną? - zapytał. Skurcz szczęk nie ustępował.

- Jako człowiek ma pan możliwość wyboru... wkracza pan w normalne życie w społeczeństwie... krótkie przeszkolenie... a potem może pan nadal się kształcić lub podjąć pracę... Od dzisiaj uzyskuje pan także kredyt finansowy w wysokości 400 pieniędzy, przysługujący każdemu, kto staje się człowiekiem. Ale osobiście odradzam panu robienie operacji kosmetycznych przed uzyskaniem stałego źródła dochodów. Ostatecznie małżowiny uszne nie są aż tak ważne - posłał Snorgowi porozumiewawcze spojrzanie - później też znajdzie pan coś ekstra... - zawsze jest duży wybór.

Snorg poczuł zimny dreszcz spływający po karku: przed oczyma stanęła mu Tib.

- Co będzie teraz z innymi?... - wydusił w końcu.

- A tak... to też ma pan prawo wiedzieć. - Bablyoyannis był zniecierpliwiony. - Zawsze rodzi się znacznie więcej osobników, niż potem zostaje ludźmi... Oni pójdą na materiał na przeszczepy. Można przecież z nich wybrać niezłe uszy... oczy... wątroby... Chociaż z niektórych nawet tego nie będzie. Taki Tavegner nadaje się chyba wyłącznie jako materiał do kultur tkankowych.

- To nieludzkie! - wyrwało się ze ściśniętych ust Snorga.

- Co nieludzkie?! - Bablyoyannis poczerwieniał - nieludzkim było rozpoczęcie wojny... Teraz sto procent populacji rodzi się upośledzone fizycznie, a trzy czwarte psychicznie... i to z reguły rodzi się przez sztuczne zapłodnienie. Pretensje może pan mieć tylko do naszych pradziadów.

Snorg nie wyglądał na przekonanego, więc Bablyoyannis wyjaśniał dalej.

- Liczba narodzin zwiększa się do maksimum, żeby zwiększyć prawdopodobieństwo powstania osobników zbliżonych do normalnych... - popatrzył badawczo na Snorga - a inni... to najtańszy sposób wytwarzania materiału... przecież ci wybrani też nie są zupełnie normalni, prawda Snorg?

Ale Snorg nie przytaknął.

- Pracuję w tej branży już siedem lat... - mówił dalej Bablyoyannis - i jestem przekonany, że właśnie ta droga jest jedynie słuszną...

- Pan też nie jest całkowicie poprawny... powłóczy pan lewą nogą i pańska twarz jest chyba częściowo sparaliżowana - zauważył Snorg.

- Wiem, że to widac - tamten był przygotowany na tę uwagę - ale solidnie pracuję i odłożyłem pieniądze prawie na całą reke... na przeszczep.

VIII Tibsnorg Pieckymoosy rozpoczął pracę w centralnym archiwum materiału biologicznego. Jednocześnie nadal się uczył. Zarobki, jakie otrzymywał były dość wysokie, jednak po potrąceniu raty za dotychczasową opiekę zostawiało z nich niewiele. Oplata za wyżywienie oraz mały, ciemny pokój pochłaniał resztę poborów tak dokładnie, że pozostawiała mu kwota symboliczna. Żywił się syntetycznym pożywieniem w zbiorowej stołówce. Lepsze to niż dotychczasowa kropiółka. W stołówce spotykał ciągle tych samych ludzi i było to nudne, ale stwierdził, że na razie nie stać go na droższą jadłodajnię, gdzie można było przychodzić o różnych porach. Ze spotykającymi w stołówce ludźmi prawie nie rozmawiał. Wszyscy oni byli starsi od niego. Kilku przyjeżdżało na posiłki na wózkach, lecz większość przychodziła o własnych siłach. Obserwował ich uważnie i nie spotkał nikogo, kto byłby zbudowany w pełni poprawnie - u każdego wykrywał defekty.

Tibsnorg miał sporo szczęścia; gdyby osiągnął w testach poniżej 120 punktów, nie mógłby się dalej kształcić.

Zależało mu jednak, żeby pracować, ponieważ obawiał się wspomnień, które niósłby z sobą wolny czas. Teraz za wszystkie zabiegi musiałby płacić, a pamiętał jeszcze, dzięki komu potrafił wstać o własnych siłach i przezwyciężyć paraliż ciała. Jako człowiek, miał prawo do prawdy i oprócz pięknych obrazów z syntezy przedstawiających krajobrazy, ludzi zbudowanych poprawnie, czy istniejące kiedyś zwierzęta, oprócz obrazów przedstawiających świat takim, jak miał wyglądać, czy może, jak kiedyś wyglądał, miał także prawo wiedzieć, jak wygląda teraz. Co pięć dni, po zakończonej pracy mógł wyjść na powierzchnię i z wysokiej wieży widokowej oglądać odcienie. Była to szarobrunatna pustynia, po której nieustannie krążyły szare, masywne pojazdy wożące urobek z licznych kopalń. Wiedział, że pojazdami tymi kierują ludzie, którzy nie mogą mieć potomstwa, gdyż to promieniowanie na pustyni było zbyt duże. Do stołówki przychodził jeden taki kierowca. Wyglądał w pełni poprawnie i zarobki miał trzykrotnie wyższe, a jednak Tibsnorg nie zamieniłby się z nim.

Badania, które Tibsnorg chciał wykonać na sobie za pierwsze zaoszczędzone pieniądze, pokazały, że jest zdolny do rozmnażania, chociaż prawdopodobnie tylko pasywnie, to znaczy przez pobranie nasienia. Wkrótce opanował zasady pracy z komputerem i nieznacznie awansował. Jego nowe zajęcie polegało na kontrolowaniu decyzji wydzielonego oddziału centrum informacyjnego, dotyczących wyboru odpowiedniego materiału do przeszczepów spośród przechowywanych egzemplarzy. Decyzje centrum były jasne, przejrzyste i logiczne i nie wymagały na ogół poprawek. Za wyszukanie usterek była wyznaczona dodatkowa nagroda i Tibsnorg pracował bardzo uważnie. Materiał pobierano zarówno dla szpitali powszechnej służby medycznej, jak i dla osób, które na własny koszt chciały zmniejszyć swoje upośledzenie. Pracy było dużo: codzienne kilkadziesiąt zapotrzebowan i związanych z tym decyzji, z którymi należało się zapoznać i je przemyśleć. Wkrótce wpadł w rutynę i zaczął mieć sporo czasu, który wykorzystywał na porozumiewanie się z maszyną i uzyskiwanie różnych informacji.

Pamiętał słowa Pieckygo, który mówił, że ponieważ informacja jest przywilejem, zatem należy z niego korzystać w miarę możliwości. Dowiedział się, że o tym, czy ktoś zostanie człowiekiem, czy też nie, decyduje zwykle zsumowanie punktów przyznanych przez system na podstawie badań i szacunków. Oznaczało to dość duży margines błędu. Dowiedział się też, że to, iż został człowiekiem, zawdzięcza osobiście Bablyoyannisowi, który zmienił decyzję centrum przyznającą ciemnowidom Pieckymu. W rzeczywistości, liczba punktów uzyskanych przez Pieckygo za zdolności intelektualne przewyższała to, co Snorg uzyskiwał w sumie za sprawność fizyczną, poprawność budowy i intelekt. Gdy ujrzał na ekranie, że za zdolności Tib otrzymała dokładnie zero punktów, zaklął szpetnie. Zawsze intrygowało go światło dnia wpadające do Pokoju, teraz wiedział już, że była to tylko lampa świecąca widzialnie i także nieco w ultrafiolecie, zapalana i gaszona periodycznie. Pokój znajdował się głęboko pod ziemią. Na powierzchni ujrzał słońce tylko raz: jasnoszarą tarczę przeświecającą przez gęstą mgłę. Teraz było i tak lepiej, gdyż dawniej, kiedy ziemia stała pokrywała śniegi, słońce nigdy nie przeświecało przez chmury.

IX Tibsnorg Pieckymoosy coraz dokładniej poznawał pracę systemu ewidencji materiału biologicznego. Tib, Piecky i inni otrzymali oznaczenia porządkowe AT0 44567743 do AT0 445667749 i nie posiadali już imion. Wkrótce też od numeru 44567746, czyli od Moosy pobrano oko, nos wraz z jedną z nerek do przeszczepu kosmetycznego. Tibsnorg wprawdzie wypowiedział się przeciwko wyznaczeniu numeru AT0 44567746 do tej operacji, ale jego opinia została pomi-

nieta, ponieważ inni rzeczoznawcy głosowali inaczej. Przeżył to boleśnie, nadal bowiem czuł więź z Moosy i innymi. Następny był Dags z numerem 44567748. Operacja była letalna: pobrano Dagsowi przelyk z żołądkiem, wątrobę, jelita, obie dłonie oraz zewnętrzne narządy rozrodcze, bez gruczołów. To, co pozostało, nie było zdolne od życia i dlatego jedynie skórę oraz mięśnie i kości rąk zachowano w magazynie kultur tkankowych, zaś numer 44567748 został zdjęty z ewidencji.

Koszt każdego z narządów obliczano na podstawie dotychczasowych kosztów utrzymania osobnika. Najprostsze były pobrania wywołujące zdjęcie numeru z ewidencji, gdyż wówczas po prostu dzielono koszty dotychczasowego utrzymania materiału, z odpowiednimi przelicznikami, między wszystkich biorców organów. Przy innych typach przeszczepów stosowano bardzo złożone i niejasne sposoby obliczeń i Tibsnorg podejrzewał, że tylko system orientuje się w nich dokładnie.

Ciekawe, który numer bym dostał, gdyby nie Bablyoyannis?... – zastanawiał się. – Może chociaż obok Tib?

W stołówce nie siadywał już sam. Nawiązał kontakt z kierowcą, który pracował na maszynach przywożących urobek z kopalni metali. Tamten nazywał się Abraham Dringenboom i był wysokim, zwalistym człowiekiem, bardzo dumnym ze swojej nazwy, wyszperanej gdzieś w bibliotece historycznej. Dringenboom miał niski, tubalny głos i mówił bardzo głośno, co peszyło Tibsnorga, gdyż w stołówce zwykle panowała cisza. Wydawało mu się, że wszyscy patrzą na nich, chociaż było to zupełnie bez sensu, ponieważ nie wzbudzali niczyjego zainteresowania, a ponadto wielu spośród obecnych miało słuch upośledzony w większym lub mniejszym stopniu.

– Tibsnorg Pieckymoosy? – zadudnił Dringenboom. – Dziwnie imiona... dlaczego wybrałeś właśnie takie?...

– Jest we mnie wielu – powiedział cicho Snorg.

– Hmm... – mruknął Dringenboom – tak sobie wymyśliłeś? Nie jest dobrze wiązać się zbyttnio ze współmieszkańcami Pokoju. – Nagle zmienił temat. – Wiesz, że dzisiaj średnia długość życia człowieka osiągnęła już 24 lata... Nie chce mi się w to wierzyć... to zbyt piękne... myślę, że oni jednak trochę wygładzają dane medyczne, żeby nie psuć naszych humorów...

– Jak oni to obliczają?... – zaciekał się Tibsnorg. – Dla wszystkich osobników, które się rodzą, czy tylko dla ludzi?

– Zgłupiałeś?... Dla ludzi, oczywiście że dla ludzi, przecież żywy rodzi się ledwie co dziesiąty...

Tibsnorg przypatrywał się Dringenboomowi z uwagą. Tamten wyglądał niemal zupełnie poprawnie. Wprawdzie był ubrany w szarą kurtkę i spodnie i ciało nie było widoczne, ale oprócz zoperowanej zajęcej wargi, ukrytej zresztą pod siwiejącym zarostem, nic nie wskazywało na odchylenia do normy.

Jakby śledząc jego myśli, Dringenboom poruszył się.

– Miałem całą skórę na tułowiu pokrytą brodawkami na wstretnych, długich szypułkach... to już mi zoperowali... Ale największa różnica jest w gaciach – Dringenboom skrzywił się – nie martw się, Tibsnorg... kupię sobie takiego... że mi starczy na piecioro żywych dzieci... mam już uskładane 1620 pieniędzy... – dodał wyczuwając niewiarę Tibsnorga.

1620 pieniędzy było niewyobrażalnie wielką kwotą: Tibsnorg był w stanie oszczędzić 22, 24 pieniądze ze swoich dziesięciodniowych zarobków. To były pieniądze, za które można by chyba było wykupić całą Tib na własność, oczywiście jako materiał biologiczny. Coraz częściej przed oczyma stała mu jej smukła, zgrabna sylwetka, okolona burzą kolorowych włosów. Jego sny nieodmiennie wiązały się z Pokojem. Przewijały się w nich postaci jego bliskich. Zaś Tib występowała w nich stale.

Tibsnorg wynajął nieco lepszy lokal z widokiem na

zewnątrz. Lokale znajdujące się na powierzchni należały do rzadkości. Był zaskoczony, gdyż nowy pokój wprawdzie nieco mniejszy niż poprzedni i tylko z dwoma wizorami, a nie trzema, to jednak kosztował tylko osiem pieniędzy drożej. Zrozumiał dopiero, gdy dowiedział się, ile wynosiło promieniowanie w lokalach znajdujących się na powierzchni. Okno jednak rekompensowało wiele. Spędzał godziny wpatrując się w nieprzeniknione, ołowiane chmury nad szarobrunatnymi, pustymi wzgórzami. Chwędź lądolodu nie była widoczna z okna, ponieważ znajdowało się zbyt nisko ponad powierzchnią terenu. Widać ją było jedynie z wieży widokowej w bardzo jasne dni oraz przez dobrą lunetę. Krajobraz, chociaż nie tak piękny, jak zsyntetyzowany, ciągnął z nieprzepartą siłą. I chyba dlatego Tibsnorg zgłosił się do pracy, jako kierowca transportu zewnętrznego. Nie bez znaczenia były też wysokie zarobki umożliwiające stosunkowo szybkie oszczędzenie wyższej kwoty.

W biurze transportu przyjął go urzędnik w fotelu inwalidzkim. Niknął prawie za biurkiem, jednak w jego wzroku było coś takiego, co skłaniało do ostrożności. Gdy Tibsnorg osobiście wyłożył swoją propozycję, tamten spojrzał badawczo.

– Pan jest neutralny, czy płciowy?

– Neutralny... – skłamał Tibsnorg, wiedząc że to warunek konieczny do zatrudnienia. Urzędnik uprzejmie pokiwał głową i nieproporcjonalnie drobną dłonią napisał coś na klawiaturze. Spojrzał na ekran i rysy jego stwardniały. Zanim otworzył usta, wiadomo było, że rozmowa jest skończona.

– Nie można tak szafować swoimi możliwościami, to jest naprawdę wyniszczająca praca... – Urzędnik odwrócił tyłem fotel, kończąc rozmowę.

Dringenboom o mało nie uderzył Tibsnorga, gdy się o tym dowiedział. Wyszarpnął ze złością z kieszeni kombinezonu swój wskaźnik: mały, różowy kawałek tworzywa.

– Patrz głupcze!... – Wskazał masywnym paluchem na płytkę. Gdy Dringenboom się denerwował, nie był w stanie powstrzymać silnego drżenia rąk. Jego palec skakał we wszystkie strony wokół różowego prostokąta. – Jak się zrobi czerwony, to strzeżę w kalendarz... – Jasne oczy Dringenbooma błyszczały na tle jego opalonej twarzy, która teraz była zupełnie czerwona. Zarabiał tak dużo, że mógł sobie pozwolić na opalanie skóry.

– Gdzie się pchasz?... Do piachu?! – dodał rozzłoszczony.

– Stać cię na naświetlanie sztucznym słońcem... – powiedział cicho Tibsnorg.

– No to co, durniu!?... Co to warte? Ty możesz mieć bab na peczki... nawet jeśli ci brakuje w gaciach wszystkiego oprócz gruczołów. Gruczoły są najdroższe... cała reszta... całe mięso nie kosztuje więcej niż 600, 800 pieniędzy.

– Fizycznie jestem w porządku – wybałał Tibsnorg – to jest jakiś niedorozwój nerwów obwodowych.

– To jeszcze taniej... nie opędzisz się od bab... rozerwą cię na kawałki... żyć, nie umierać!... chłopie...

Tibsnorg chwilę zastanawiał się, czy mu powiedzieć o Tib, ale zrezygnował i na tym rozmowa się urwała.

Ab Dringenboom był jedynym człowiekiem, z którym Tibsnorg utrzymywał stałe kontakty, jeśli nie liczyć zdawkowych słów zamienianych z przypadkowymi towarzyszami przy stole. W porównaniu z Pokojem, prowadził teraz niemal samotniczy tryb życia. Nie szukał kontaktów z innymi ludźmi, żyjąc wspomnieniami. Inne kobiety, spotykane w stołówce lub na korytarzach, nie mogły się z nią równać: były brzydkie lub ich ułomność zanadto rzuciła się w oczy. Zaczął wprawdzie, zgodnie z przepisami, nosić czerwoną naszywkę oznaczającą, że nie jest neutralny, ale nie zmieniło to w najmniejszym stopniu jego zachowania. Stał się może tylko nieco bardziej szorstki dla kobiet, które teraz go nieco natarczywiej nagabywały. Może rzeczywiście, gdyby nosił dwie

naszywki oznaczające pełne możliwości, działałoby się to, o czym mówi Dringenboom, ale tak raczej miał spokój.

Kilka dni później Ab przyniósł ponurą nowinę.

- Mam raka - powiedział głucho, patrząc w talerz z zupą, niesmaczną, śluzowatą, ale posiadającą pełny zestaw witamin i mikroelementów.

- No i co... połowa ludności ma raka. Tibsnorg wzruszył ramionami.

- Jest już w fazie C - dorzucił Dringenboom.

- Masz przecież 1620 pieniędzy... to wyjdiesz z tego... - Snorg nie wydawał się być zbyt przejęty.

- 1648 pieniędzy - poprawił go Dringenboom - ale to i tak gówno, za mało... Mam takiego, co się cholernie szybko sieje. Na leczenie pójdzie przynajmniej półtora tysiąca... i nigdy sobie nie sprawię kutasa...

Tibsnorg drażniła jego wulgarność.

- Dlaczego dopuścili do fazy C? To jest już bardzo zaawansowany. Możesz zaskarżyć dział medyczny.

- To moja wina... - powiedział Dringenboom - nie robiłem sobie badań, bo kosztują, a chciałem szybciej zebrać pieniądze, zanim mój wskaźnik zdąży zupełnie zczernieć.

- Przysługuje ci przecież bezpłatna, podstawowa opieka medyczna, jak każdemu człowiekowi...

- Dziękuję... - oczy Dringenbooma były matowe i przygasłe, w jego głosie wyczuwało się wyraźnie wade wymowy, wywołaną złe zoperowaną zajęczą wargą - zostawia mi mózg, oczy i część systemu nerwowego, a resztę usuną i spalą, bo powiedzą, że jest zbyt narażona na przetrzuty. Potem zrobią ze mnie jednostkę sterującą koparką w kopalni albo taśmą produkcyjną...

- Myślę, że umiem leczyć go inaczej, niż tylko przez wymienianie chorych organów... ale nie ogłaszają tego ze względów ekonomicznych... za bardzo spadłoby wtedy zapotrzebowanie na przeszczepy. - Powiedziawszy to Tibsnorg zaczął się zastanawiać: 1648 pieniędzy to prawie wartość całego ciała Tib. A przecież Ab i tak niedługo skończy... znaczek ma już bardzo ciemny... Ile organów sobie kupi? dwanaście?... czternaście?... w końcu i tak utraci ciało - myślał - a to dla niego gorsze niż śmierć. Jak zdobyć te pieniądze?

Dringenboom przypatrywał mu się bez słowa.

X Od tego czasu Dringenboom zmienił się. Stał się bardziej skryty i mniej pewny siebie. Gdy Tibsnorg powiedział mu o Tib, przyjął to z niechęcią, ale spokojnie. Uważał, że nie ma to najmniejszego sensu i że Tibsnorg powinien raczej rozglądać się za kobietami spośród ludzi, a nie szukać ich wśród materiału biologicznego. Ostatecznie wartość całej Tib była tak wysoka, że trzeba by oszczędzać na nią chyba przez całe życie, a wcześniej i tak inni wykupią różne części jej ciała.

Zgodził się natomiast zabrać Tibsnorga na przejażdżkę. Ab był kierowcą jednej z wielkich ciężarówek przewożących urobek z pobliskiej kopalni odkrywkowej.

Wóz pokonywał stosunkowo długi dystans zapyłoną drogą wiodącą pośród wzgórz pokrytych szarym pyłem, unoszonym przez wiatr.

- Wystarczy kilkanaście wdechów tego pyłu... - Dringenboom wyszczerzył zęby zza niesymetrycznych warg.

Tibsnorg spojrzał na niego z przestрахem.

- Do środka leci przez niezły filtr, tak, że starczy na kilkaset tysięcy wdechów... - roześmiał się Dringenboom.

Kopalnia odkrywkowa była ruinami dawnego miasta, z których odzyskiwano metale. Gigantyczna koparka wciniała się w pogiętą żelbetową konstrukcję dawnego budynku lub fabryki Dringenboom czekał w kolejce na urobek. Wreszcie kilka pozycji żelbetowych konstrukcji, pyłu i gruzu znalazło się na jego pojeździe.

- Dziennie wykonuje cztery, pięć kursów... zawsze podają mi z centrum informacyjnego optymalną trasę

przejazdu, na której jest najniższy poziom promieniowania... To się lubi często zmieniać... jak wieje wiatr, albo jak pada deszcz lub śnieg.

Dringenboom wskazał palcem na ekranik.

- Aktualny poziom ła mierzony jest również na bieżąco. Dzisiaj jest niski, ale czasem dzwoni, aż strach jechać... W takie dni płacą nam dwa albo trzy pieniądze premii dodatkowo.

W drodze powrotnej pozwolił Tibsnorgowi trochę poprowadzić ciężarówkę. Sprowadzało się to tylko do wydawania poleceń, gdyż pojazdem sterował bezpośrednio procesor.

- W razie czego komputer i tak doprowadzi ciężarówkę z powrotem... - powiedział Dringenboom - gdybyś zasłabł, albo nagle zmarł... urobek nie może się zmarnować...

Na jednym ze wzgórz wznosił się osamotniony budynek do połowy przysypany pyłem. Zachował się cały, nawet z dachem, drzwiami i szkłem w oknach.

- Chciałbym mieszkać w tym domku... - powiedział Ab - nie w mieście...

- Na powierzchni?

- Twój pokój jest też na powierzchni, Tibsnorg... wiadać da się żyć za odpowiednią osłoną...

XI Nadszedł w końcu dzień, który musiał kiedyś nadejść. Dzień, który Tibsnorg wyobrażał sobie w wielu różnych wariantach, jednak nigdy nie myślał, że ten dzień zastanie go tak nie przygotowanym. Pracował jak co dzień przed ekranem wizora. Jego oszczędności wynosiły 48 pieniędzy oraz 320 pieniędzy odłożonego kredytu. Ekran przyniósł kolejną sprawę do decyzji. Rządek zgrabnych, zielonych liter i cyfr informował precyzyjnie: od numeru AT0 44567744 zamierzano pobrać ręce, nogi i tułów wraz z szyją dla jednego biorcy, zaś głowę dla innego. Mózg przeznaczono do kassacji, zaś numer miał oczywiście zostać zdjęty z ewidencji.

Musiała długi czas ciężko pracować na takie ciało... - pomyślał z ironią. - A tej drugiej zasłużonej spodobała się pewnie w katalogu szczupła twarz i niebieskie oczy... i to bardzo, skoro zdecydowała się na głuchotę... a może dorobiła się już tyle, że i uszy sobie zafunduje od kogoś...

- Gnojki... cholerne gnojki... - powtarzał, gryząc palce. Wiedział od dawna, że to nastąpi, a teraz zwlekał z decyzją. Wydawało mu się, że do tej chwili zdąży zebrać więcej pieniędzy. Należało podjąć szybką decyzję w sytuacji, która nastąpiła, a nie którą sobie wymarzył.

- Gnojki... cholerne gnojki... - mruczał.

Poprosił system o czas do namysłu, gdyż rozważa możliwość nabycia całego egzemplarza AT0 44567744 przez jednego biorcę, z uwagi na większą opłacalność takiego postępowania. Wytoczył kamery, wstał od pulpitu i wyszedł. Chodził już sprawnie i dość szybko. Napiecie woli przed każdym krokiem od dawna stało się nawykiem. Do magazynu materiału biologicznego nie było daleko. Już wcześniej dowiedział się od systemu, w którym pomieszczeniu jest przechowywana. System podał mu również wszystkie hasła umożliwiające wejście. Ospały wartownik przed masywnymi, metalowymi drzwiami nie stawiał przeszkód. Tibsnorg pocił się ze zdenerwowania. Winda jechała przeraźliwie powoli. W końcu właściwy poziom. Korytarz z dziesiątkami identycznych drzwi ciągnął się w nieskończoność. Nieustannie czuł wątpliwości czy robi właściwie. To, co zamierzał, było rzeczą niesłychaną. Nareszcie drzwi z numerem AT0 44567. Otworzyły się samoczynnie. Następny korytarz, wzdłuż ścian którego stały stanowiska przechowujące materiał biologiczny: dziesiątki osobników różnego wzrostu i o różnym stopniu zniekształcenia. Wszyscy bez odzieży, wszyscy w płataninie przewodów, elektrod. Z początku nerwowo odliczał po kolei, potem zauważył numerację naniesioną na każdym ze stanowisk. Długo

trwało, zanim do niej dotarł. Stała z otwartymi oczyma. Ich wzrok się spotkał. Poznała go. Odpiecie przewodów trwało parę chwil, dłużej odpiecie pasów krepujących jej ręce i nogi.

Natychmiast przywarła do niego, przytulając twarz.

- Wróciłeś Sneegg, wiedziałam... - powiedziała cicho

- Szybko Tib... szybko... - pociągnął ją za rękę.

Wiedział, że jej mięśnie są w bardzo dobrej kondycji w wyniku systematycznej stymulacji - nikt przecież nie kupiłby atroficznych kończyn.

- Piecky... - pokazała na drobny kształt owinięty klebem przewodów

Wspólnie oswobodzili Pieckego, który natychmiast się zbudził.

- Daj spokój, Snorg... to nie ma sensu... - powiedział.

Snorg niósł go na rękę i ciągnął Tib drugą ręką. Odetchnął dopiero w windzie.

- I co teraz zrobisz?... - zapytał Piecky.

Tib cały czas tuliła swą twarz do Snorga.

- Znam wszystkie hasła systemu... - powiedział Snorg - liczę na zaskoczenie, mamy pięć procent szans...

Na wartowni strażnik spojrzał na nich niedbale. Przez myśl mu nie przeszło, że dwoje z wychodzących są po prostu materiałem. Wprowadził do systemu hasło podane przez Snorga, spojrzał na ekran i skinął głową, żeby przechodzili.

Na zewnątrz magazynu prawie biegli. Snorg zatrzymał mały, automatyczny wózek transportowy i wszyscy wsiedli. Do pokoju Dringenbooma było bardzo daleko, nawet pojazdem. Cały czas na korytarzu panowała zło-wieszczą cisza.

Zastali go w pokoju: spał jeszcze.

Jedno uderzenie i kamera smętnie zwisnęła na kablu. Mocne szarpnięcie zerwało przewód do reszty.

- Ab! Wstawaj!... - Snorg szarpnął go za ramię. - Jestem z Tib. Idziesz z nami?...

Dringenboom tarł dłonią zaspane oczy. Spojrzał na nich.

- Nie cierpie tego Ab... jestem Abraham... - powiedział. - Ona jest naprawdę śliczna - dodał, patrząc na Tib. - Nie, nie idę z wami... weź kartę mojej ciężarówki i daj mi coś po głowie - mówił dalej - najlepiej tą książką... ale tak, żeby mnie nieco pokrwawić... i uciekajcie z miasta, jak najdalej. To jedyna szansa.

- Na dodatek cie zwiążę... Bedzie lepiej wyglądało.

Trwało to dość długo, gdyż Snorg obawiał się, żeby nie zrobić mu większej krzywdy. W końcu Abraham Dringenboom leżał nieprzytomny i związany na swojej kanapie, a z rozcięcia skóry na czole wyciekło mu nawet nieco krwi.

Dojeżdżali już do hali maszyn transportowych, gdy cały korytarz wypełniło wycie syren. Zaczęło się. Co kilka metrów błyskało czerwone światło. Kamery rozmieszczone w korytarzu kreciły się wokół. Zdażyli wjechać do hali, zanim drzwi zostały zablokowane. Snorg rozpoznał ciężarówkę Dringenbooma. Wcisnął fiszke w szczelinę przy wejściu i automat zareagował. Wszyscy troje wsiedli na platformę windy i po chwili byli już w kabinie sterowniczej. Snorg wyprowadził wóz z hali. Dzień był mroczny, a warstwa chmur szczególnie gruba. Urucho-mił wizor. Właśnie podawano serwis informacyjny.

...Zdumiewająca kradzież materiału biologicznego o sumarycznej wartości ponad 4500 pieniędzy! Rzecz niesłychana od niepamiętnych czasów! Trwają intensywne poszukiwania sprawcy, którym jest urzędnik szczebla DG Archiwum Materiału Biologicznego o nazwie Tib-snorg Pieckymoosy. Do akcji włączona została grupa operacyjna sił samooobrony. Jej użycie gwarantuje odzyskanie skradzionego mienia bez żadnego uszczerbku, a także skuteczne ujęcie sprawcy.

Ekran wypełniały zdjęcia filmowe z kamer stacjonarnych przedstawiające Snorga niosącego Pieckego oraz Tib idącą obok.

Snorg gwizdnął przez zęby:

- Ta grupa operacyjna to kilkuset piekielnie sprawnych fizycznie facetów, takich wysportowanych zwojów mięśni... - powiedział.

Piecky oderwał wzrok od ekranu.

- Myślę, że nie mamy żadnych szans - powiedział - ale wdzięczny ci jestem, że mogłem to zobaczyć... - wskazał oczyma na okno. - Straciłem już rachubę czasu, stojąc ciągle w tych kablach... zastrzyk na spanie... zastrzyk pobudzający na wstanie... i tak w kołko.

Tib też wpatrywała się bez słowa w okno od chwili, gdy wyjechali z hali ciężarówek.

- Na szczęście naprzeciwko był facet mojego wzrostu i mogliśmy sobie pogadać - mówił dalej Piecky - tamten rozmawiał też z Tib, żeby zupełnie nie zgłupiała... [ja nie mogłem do niej mówić, bo nie widziała moich ust, a nie słyszy. I wiesz, ona podobno jest coraz bystrzejsza... przynajmniej tamten tak mówił.

Snorg podprowadził ciężarówkę pod koparkę.

Piecky z uwagą patrzył, jak potężny chwytak nabiera fragmenty ruin, które kiedyś były katedrą.

- W tym kiedyś mieszkali ludzie? - zapytał.

Snorg skinął głową.

Kolejne fragmenty konstrukcji lądowały w ładowni pojazdu.

- Wiec tak mieszkali ludzie przed wojną... - powiedział do siebie - musieli chyba czuć się bardzo samotnie w takich rozproszonych zabudowaniach...

Cieżarówka została załadowana i Snorg ruszył z powrotem.

- Wracamy?... - zapytał zaniepokojony Piecky.

Snorg skinął głową.

- Mam plan... - powiedział.

Pojazd pedził z maksymalną prędkością.

- Tib, załóż sobie i Pieckemu maske... - powiedział i skinął głową w kierunku skrytki. Ona jednak nie zareagowała, mówił bowiem patrząc w kierunku wizora i nie widziała ruchu jego warg. Powtórzył jeszcze raz, patrząc na nią. Tib wyjęła maski i kombinezony i włożyła na siebie i Pieckego. Zrobiła to szybko i sprawnie, z nieoczekiwaną wprawą. Snorg sam założył maskę. Zbliżali się do wzgórza, na którym stał samotny, zachowany budynek. Snorg zatrzymał ciężarówkę i winda zwoziła ich na poziom gruntu. Licznik niesiony przez Snorga terkotał. Tib niosła Pieckego na rękę, jak dziecko. Wszyscy mieli na sobie ochronne odzienie wykonane z przezroczystego tworzywa. Piecky był zbyt krótki i Tib zawięła go kilkakrotnie w zbywające zwoje tworzywa. Musieli przejść dystans daleko większy niż odległości pokonywane dotąd na nogach. I do tego w pyłe sięgającym do pół tydki. Przez pewien czas patrzyli nieruchomo na malejący, masywny kształt ciężarówki, która oddalała się, sterowana automatycznie. Wkrótce zniknęła za horyzontem. Wyruszyli w drogę. Szli wolno, mozolnie grzeznąć w syrkim piachu. Długo trwało, zanim w końcu złani potem dotarli do ruin. Nieco mniej zmęczona była Tib, której mięśnie stymulowane elektrycznie w magazynie, były w dobrej kondycji.

W ruinach dało się przebywać. Zachowała się bramka i solidne, drewniane drzwi wiodące do budynku. Snorg nadal wierzył, że się uda, choć Piecky uważał, że opuszczenie ciężarówki było zasadniczym błędem. Twierdził, że trzeba było gnać ją jak najdalej od miasta i jego grupy operacyjnej. Może zrezygnowaliby z pogoni, gdyby udało się odjechać bardzo daleko. Jednakże Snorg nie był w stanie zdecydować się na tak kompletne zerwanie wieży z miastem i przyjął inny plan. Nawet teraz czuł się osamotniony.

Żadne z nich trojga nie zdjęło stroju ochronnego, ponieważ wszędzie było pełno pyłu i nie można go było usunąć. Tib usiadła i spojrzała na Snorga.

- Byłam pewna, że wóciysz po mnie... - powiedziała powoli.

Wojtyński o Grabińskim

GALERIA



Maszynista Grot

...Grot szalał z upojenia. Wyszedłszy z labiryntu szyn, wpadł na główny, mknący prosto przed siebie jak strzała tor i runął w przestrzeń!

Rozpoczął się wichrowy pęd, nie krepowany niczym, nie przerywany przystankami, nudą postojów... Nie widział nic, nie myślał o niczym - upajał się tylko pędem, żył tylko ruchem. Zatracił rachubę czasu, nie wiedział jak długo trwa już piekielna jazda, czy dzień, czy dwa, czy tydzień...

Maszyna rozpetala się. Oblakane chyżością koła wykonywały nieuchwytne, fantastycznie szybkie obroty, uznożone tłoki cofały się, to znów parły naprzód, tłukły się opetańczo zziąjane kolby. Wskazówka na manometrze szła wciąż w górę - rozżarzony do czerwoności kocioł zionął skwarem, przepalał skórę, parzył dłonie. Nic to! Jeszcze! Dalej! Prędzej! W cwał! W cwał!

Nowy dorzut węgla zniknął w czeluści pieca i prysnął snopem krwawych iskier - nowa falanga pary wstrzyknęła ognisty war w topniejące rury...

Uśmiechnął się niewyraźnie.

- To był sen... we śnie opuściłam Pokój. Tyle światła... i ci obcy wokół, tylu ich było... oni mnie potem Tam ustawili obok Pieckogo... dobrze, że znów jesteś... - mówiła, obserwując cały czas jego usta.

- Jakąś zawsze ma najwięcej do powiedzenia - przerwał jej brutalnie Piecky - zaraz pewnie powie o zastrzykach... rzeczywiście... z boku wysuwała się strzykawka z igłą, ciach i spaleś... ciach i wraca jawa... To było zupełnie jak wyłącznik. I tylko te wózki krążące codziennie wzdłuż rzędu... trójpoziomowe wózki... Zawsze ciągneli wózek ci sami ludzie w szarych, jednakowych strojach. I zawsze wieźli kogoś na takim wózku... wywozili... Rzadko ktos tam wracał... ale zawsze w bandażach... z dołu mało co widać. To był zawsze jeden z nas. Trudno się było porozumiewać, bo co drugi w szeregu spał, a krzyczeń też się nie dało, bo zaraz szedł zastrzyk... Ale mimo to przekazywaliśmy sobie... tak łańcuszkiem... takim głosem, żeby usłyszeć, a żeby jeszcze z boku nie wyszła strzykawka... najgorzej, jak był głuchy po drodze... Potem im zdejmowali bandażę ci sami w szarych strojach... i oni nie mieli rąk... nóg... albo różnie... Najgorzej było, jak wózek zwalniał przed tobą... człowiek myślał, że się zatrzyma... To nie byli sadyści... ci w szarych strojach, tylko te wózki miały takie słabe kółka... oni starali się prowadzić te wózki jak najrównomierniej. Wiedzieli przecież, co czujemy... ale czasem kółko się zacierało i wózek zwalniał... ale ja nie chciałem, żeby mnie przywieźli z powrotem w razie czego... przecież i tak brakuje mi prawie wszystkiego...

- Na tych wózkach wywozili zawsze trzech ludzi - przerwała mu Tib, która od dłuższego czasu patrzyła na twarz Pieckogo. - Z powrotem waćkało zwykle dwóch, czasem jeen... - Tib, gdy była wzbudzona, zaczynała się jękać - pamiętam Moosy, jak wracała... tylko jedno oko błyszczało spod bandaża... ale to była ona... Colfi mówił, że to ona wóciła... i opowiadał, jak jej potem zdjeli te bandażę...

Przestał - znowu przerwał jej Piecky - nie chcę tego znowu słuchać, wiem, jak wyglądała wtedy... potem i tak ją wzięli drugi raz... i nie wróciła.

- Moosy?... - zdziwił się Snorg. - Tak... oczywiście... to mogło być na innej zmianie - mówił teraz do siebie - cholera, to było ryzyko... ją też mogli... ale na szczęście to zdarzyło się na mojej zmianie... takie szczęście...

Jakie szczęście?... - zapytała chrapiawie.

Że jesteś tu ze mną... nie brałem wcześniej pod uwagę wielu możliwości...

- Ja nie mogłam tak stać... tylko te dreszcze mięśni, po których byłam tak zmęczona... i rozmowy z Colfim, bo ust Pieckogo na byłąm w stanie zobaczyć... a reszta: musiała się kiedyś skończyć obłędem... Nie zdążyłam zwariować, ale gdyby tak dłużej, to na pewno...

Oboje z Pieckym mówili, przerywając sobie nawzajem. Piecky bezceremonialnie wchodził w słowa Tib, a ona dopiero po chwili orientowała się, że on mówi i milczała. Potem znów ona przerywała Pieckemu i snuła opowieść chrapiawym, załamującym się głosem. Trudno było przecież streścić tyle dni w ciągu kilku godzin. Potem Piecky wyłączył się i patrzył na ciężkie, brunatne chmury sunące nisko nad głową. Patrzył w skupieniu, a na jego obliczu rysowało się coś, chyba jak zachwyt, co z pewnością zdumiałoby Snorga, gdyby choć raz spojrział na Pieckogo.

Przestańcie szeleścić tym plastykiem - powiedział w końcu Piecky. Oboje spojrzeli na niego.

- Słuchaj Snorg... mówię do ciebie, bo ta chuda i tak stale gapi się w twoją zarozumiałą gebę... - kontynuował, a jego dawny ton zabrzmiał tak mile, że Snorg się uśmiechnął.

- Czuje to... wiem, że kiedyś pofrune wśród tych chmur... wysoko nad ziemią na skrzydłach... i to będzie najlepsza część mojego życia...

- Może zrobią z ciebie jednostkę sterującą maszyną... bo ciało masz do kitu, ale mózg całkiem, całkiem... ale najpierw muszą nas złapać, a to nie takie łatwe... żadna kamera nie widziała, gdzie wysiedliśmy...

- Co by się stało, gdyby nas złapano, a o czym jestem niestety przekonany? - Pieckemu nie wystarczyły poprzednie wyjaśnienia.

- Stul się Pietzky!... - Snorg pierwszy raz słyszał Tib mówiącą tym tonem - chyba marzysz o tych zastrzykach, Tam...

- Mówię co myślę...

- Warto się nad tym zastanowić - powiedział Snorg po chwili zastanowienia. - Myślę, że nie grozi nam zbyt wiele, gdyż jest to sprawa bez precedensu... każde z nas by przeżyło, chociaż z różnych powodów... Mnie nic by się nie stało, ponieważ prawo do zachowania życia jest fundamentalne dla każdego człowieka. Wydaje mi się nawet więcej... Jedynie słuszne prawo stanowi też, że jeśli już ktoś raz został mianowany człowiekiem, to już nie przestaje nim być, więc z pracownika Archiwum Materiału Biologicznego nie stałbym się jednym z magazynowanych egzemplarzy... Piecky też miałby się nieźle... spełniłby jego marzenia: patrzyłby z wysoka i sterował pracą koparki - takie należyte wykorzystanie byłoby konieczne, aby uzasadnić w pełni celowość wielkiego nakładu sił użytego, aby nas schwycić...

- A ja, Sneogg? - zapytała Tib wpatrując się w jego wargi.

- Ciebie, tylko ciebie - zwrócił się twarzą wprost do niej - czekałby tragiczny los... ciała zapragnęła jedna... głowę i twarz inna, bogata i pewnie zasłużona kobieta... Ale wolałbym umrzeć niż dopuścić, by miało się tak stać.

Piecky wysłuchał tego w milczeniu i przestał się wtrącać. Gapił się w niebo, w przemieszczające się szybko obłoki. Gdy szary półmrok dnia ustąpił mroкови nocy, zasnęli przytuleni do siebie, głodni i zmarznięci.

XII

Zbudzili się o szarym i chłodnym świcie. Tib była nadal rozmowna, jak nigdy dotąd. Zaskakiwała go. W jego wyobrażeniach była piękna, lecz niezbyt rozgarnięta. Stwierdził, że oni wszyscy stale rozwijali się umysłowo, nie tylko on sam: mianowany na człowieka zwanego Tibsnorg Pieckymoosy.

Możne oni wszyscy, gdyby tylko dać im więcej czasu?... - pomyślał.

Cały czas oczekiwali na przybycie Dringenbooma. Snorg liczył, że Ab przybędzie swą gigantyczną ciężarówką, dostarczy im pożywienie i wspólnie postanowią, co robić dalej. Był ich jedyną szansą. Czekali długo, obserwując sznur przejeżdżających w oddali pojazdów, wiozących urobek do miasta. Głód dokuczał coraz bardziej. Około południa przez chmury przejrzało żółte słońce. Zrobiło się jasno i świetliście. Tib i Snorg stali obok siebie w promieniu światła i patrzyli na cienie, które rzucali. Tak czyste słońce widzieli po raz pierwszy w życiu.

- Czy gdyby zrobili ze mnie układ sterujący maszyną, to mógłbym widzieć to częściej?... - zapytał Piecky, zerkając w okno.

- Nie wiem... może też zostawiliby ci oczy... - powiedział Snorg z wahaniem - nie zostałeś mianowany człowiekiem, więc traktowałiby twój mózg jako materiał... prawo do pozostawienia oczu mają jedynie ludzie, którzy utracili ciało na skutek nieuleczalnej choroby, ale niewykluczone, że zainstalowałiby cię do takiej wielkiej koparki... a tam zostawiają oczy... z twoim intelektem... kto wie?...

Przerwał mu donośny huk silników, który z pewnością nie pochodził od przejeżdżających ciężarówek. Snorg zbladł, zrozumiał, że Dringenboom nie przywiezie im nigdy jedzenia. Ryk narastał, dało się wyczuć vibracje gruntu. Wokół budynku zaczęły lądować wielowirnikowe, ciężkie maszyny latające grupy operacyjnej.

- Jeden... dwa... trzy - Snorg liczył, czując, jak dretwieją mu szczęki. Tib z całej siły przywarła do niego.

- Oni jednak wracają... jednak to wszystko nie miało sensu... - wyszeptała, patrząc na lądujące, opancerzone maszyny.

Wokół nich pojawiły się drobne sylwetki w szarych mundurach, hełmach i czarnych kamizelkach kuloodpornych. Sprawnie wyskakiwali z maszyn i czołgali się ku budynkowi. Zauważył, że uzbrojeni są w broń automatyczną, a kilku nawet niesie lasery.

- Te wszystkie armaty, to na mnie?... - pomyślał z ironią. - Czy oni chcą burzyć cały dom?...

Nie starał się nawet liczyć komandosów. Było ich przynajmniej kilkudziesięciu. Błyskawicznie rozlokowywali się wokół.

- Tibsnorg Pieckymoosy!... - rozległo się nagle bardzo głośne wołanie. - Nie masz żadnych szans. Poddaj się. Wydaj skradziony materiał biologiczny. Zostanie to po-

wicznie wskoczyło do wnętrza i przypadło do podłogi, mierząc do Snorga.

- Mają niezłe ćwiczenia... zdążył pomyśleć.

Byli uderzająco sprawni. W ułamku sekundy, w dyminiącym jeszcze otworze pojawił się trzeci, z kolorowym, skrzydlatym potworem namalowanym na kuloodpornej kamizelce sięgającej poniżej bioder. Stał nieruchomo na rozkraczonych, muskularnych nogach, mierząc do Snorga z rewolweru o długiej lufie, trzymanego w obu wyciągniętych rękach. Zamiast nosa miał pojedynczą, czarną jamę, uwstecznione wargi odsłaniały zęby, co w połączeniu z brakiem powiek nadawało jego twarzy trupi wyraz.

- Byłeś pierwszy, gnojku... - pomyślał Snorg - za to kupisz sobie nową twarz... chyba, że zaliczą pierwszeństwo tym leżącym... - Snorg spuścił wzrok na leżących komandosów. Tamten spojrzał za jego wzrokiem. Kolej-



traktowane jako okoliczność łagodząca. Twój wspólnik Abraham Dringenboom został ujęty...

Tib patrzyła na niego natarczywie, widocznie wyczula zmianę.

Powtórzył jej to, co powiedział głośnik, ale tak, aby widziała jego usta.

- Tibsnorg Pieckymoosy!... - ponawiał głośnik poprzednie wezwanie.

Piecky milczał, w jego oczach widać było przerażenie.

- Gnojki... cholerne gnojki... - powtarzał Snorg, stojąc nieruchomo na środku pokoju i tuląc Tib.

- Przecież my chcemy tylko żyć... - wyszeptała, patrząc na niego.

- ... to potraktowane... - rozległo się z głośnika, gdy za drzwiami dał się słyszeć ruch. Nagle potężna eksplozja rozbiła drzwi w drzazgi. Dwoch komandosów błyska-

ni komandosi wskakiwali przez rozbite drzwi do pokoju, natychmiast przypadając do podłogi. Tamten jakby rozumiejąc myśli Snorga ponownie omiotł wzrokiem leżących żołnierzy. Nagle znieruchomiał i jeszcze przez chwilę, zza przezroczystej, plastikowej przyłbicy mierzzył Snorga spojrzeniem pozbawionych powiek, jakby wylupionych oczu.

I chociaż żadne z nich trojga nie poruszyło się ani na milimetr, rozległ się huk wystrzału, a ciało Tib, która w ostatniej chwili zasłoniła Snorga sobą, zwisło mu bezwładnie na rękach. Poczuł, że coś dławi mu gardło. Drugiego strzału Snorg już nie usłyszał. Żółty rozbłysk przed jego oczyma zmienił się w rząd jasnych plam i zgasł.

Kraków, październik 1984

Marek S. Huberath

Wojtyński o Grabińskim



Po stycznej

...w blaskach zachodu wlewającego się strugami w pokój stał młody człowiek z lufą rewolweru skierowaną ku czole; widocznie w chwili wejścia Wrzeckiego usiłował strzelić, lecz broń odmówiła posłuszeństwa.

Wrzecki wyrwał mu z ręki rewolwer.

- No, dość tego! To nie dla pana zabawa! Kochany pan się pomylił. Ale to nie szkodzi. Inaczej nie mógłbyś pan spełnić swojej woli. Co? Powie mi pan o zawiedzionej miłości lub długu honorowym? Fraszki, młodzieńcze, fraszki! Miałeś być tylko obrazem, symbolem dla kogo innego!

Obejrzał magazyn.

Aha! Starczy jeszcze na jeden strzał! Świetnie! Ale! Pan może mieć nieprzyjemności... zawsze to w Pańskim mieszkaniu... Wie pan co... powiesz im, że przyczyną była stylizacja przypadku... a pan byłeś jej ostatnim, szczytowym punktem... Spojrzał na zegarek, równocześnie odwodząc kurek. - Szosta. A jednak ja sam wychodząc dziś o trzeciej z domu, nie byłbym nigdy przypuszczał, że za trzy godziny...

- Co?

- Ot, co! Błyskawicznym ruchem przyłożył sobie lufę do skroni i pocisnął. Tym razem broń nie zawiodła: runął martwy w słoneczny ekran posadzki.

opowiadania i nowele

Robert Sheckley, prezentowany dotychczas tylko w czasopiśmie (i wieki temu w „Krokach w nieznane”) jest w Polsce ceniony i lubiany, dlatego sądzimy, że Czytelników zainteresuje list, jaki nadesłał do naszej redakcji. B. Traven był niezwykle popularnym pisarzem, który ukrywał swoją tożsamość, nawet jego imię pozostało nieznane. Sheckley wypiera się podobieństwa, ale na list wysłany na hiszpańskie Baleary (Ibiza) odpowiedź nadeszła z Oregonu.

Rozbawiło mnie porównanie z B. Travenem. W odróżnieniu od niego nie ukrywam się i nie unikam kontaktów ze światem, tylko dużo podróżuje. Urodziłem się w Brooklynie, w Nowym Jorku, a dorastałem w Maplewood, miasteczku w stanie New Jersey niedaleko Nowego Jorku. Służyłem jako szeregowy w wojsku podczas okupacji Korei w latach 1946-1948. Potem uczęszczałem na Uniwersytet Nowojorski, gdzie ukończyłem wydział sztuk pięknych. Wkrótce sprzedałem pierwsze opowiadania, mieszkając i pracując w Nowym Jorku. Od początku lat sześćdziesiątych spędzałem dużo czasu w Europie i w końcu zamieszkałem na hiszpańskiej wyspie Ibiza, gdzie spędziłem sześć lat. Potem mieszkalem w Londynie i w Paryżu. Po powrocie do Stanów w roku 1980 przyjąłem posadę redaktora działu literackiego w miesięczniku „Omni”, żeby po niespełna dwóch latach wrócić wyłącznie do pracy pisarskiej. Potem znów przenosiłem się z miejsca na miejsce. Przez jakiś czas mieszkalem w namiocie na terenie parku narodowego Everglades na Florydzie. Wróciłem do Paryża dla pracy nad filmem. Wreszcie przeniosłem się do Portland w stanie Oregon. Jak i dlaczego to Inna historia (...).

Moja najnowsza powieść nosi tytuł „Victim Prime”. Jest to pierwsza część trylogii, druga będzie przedrukiem wcześniejszej powieści „The Tenth Victim” (Dziesiąta ofiara). Trzecia – „Hunter-Victim” – jest na ukończeniu. Pracuję teraz z grupą moich nowojorskich przyjaciół nad filmem krótkometrażowym i planuję trzyczęściowy kryminał.

Byłem czterokrotnie żonaty i mam czwórkę dzieci, które widuję, kiedy tylko mogę. Wszystkie mieszkają na wschodnim wybrzeżu USA. Obecnie mieszkam tylko z moim białym kotem Fuji, ale kto wie, co przyniesie jutro?

Pochodzę z polskich Żydów. Moi dziadkowie ze strony ojca przybyli do Ameryki z małego miasteczka pod Warszawą. Dziadkowie ze strony matki pochodzą z Kowna na Litwie. Nasze nazwisko brzmiało Tschaikovsky, nie jestem pewien, jak to się pisało. Nie mieliśmy nic wspólnego ze słynnym kompozytorem. Ojciec zmienił nazwisko na Sheckley, kiedy otworzył tu interes.

Z najlepszymi życzeniami ROBERT SHECKLEY



Nie kończący się western

Robert Sheckley

(The Neverending Western)

Nazywam się Washburn: dla przyjaciół po prostu Washburn, pan Washburn dla wrogów i obcych. Mówiąc to powiedziałem wszystko, bo oglądaliście mnie tysiąc razy, na wielkich ekranach w pobliskim kinie i na małych ekranach u siebie w domu, widzieliście, jak jadę wśród kaktusów i niskiej trawy, w słynnym kapeluszu naciągniętym na oczy, ze słynnym Coltem 44 o długiej lufie przymocowanym do prawego uda. Teraz jednak jadę wielkim klimatyzowanym Cadillacem, siedząc między moim agentem – menadżerem Gordonem Simmsiem a moją żoną, Consuelą. Zjechalismy z autostrady stanowej 101 i podskakujemy na terenowej drodze, która prowadzi do stacji dyliżansów Wells Fargo, stanowiącej jedno z wejść na Plan. Simms mówi pośpiesznie i masuje mi kark, jakby był bokserem szykującym się do wejścia na ring, co z grubsza odpowiada

prawdzie. Consuela milczy. Nie jest jeszcze zbyt mocna w angielskim. Jest najpiękniejszą małą istotką, jaką sobie można wyobrazić, moją żoną od niecałych dwóch miesięcy, była Miss Chile, była aktorką w różnych awanturniczych filmach kręconych w Buenos Aires i Montevideo. Cała ta scena nie jest filmowana, to coś, czego nigdy nie oglądacie: powrót słynnego rewolwerowca z szumnego Los Angeles w roku 2031 na Stary Zachód w połowie wieku dziewiętnastego.

Simms trąkocze o jakiejś inwestycji, której jego zdaniem – powinienem dokonać, o jakimś nowym projekcie eksploatacji dna morskiego – najnowszym pomysłem Simmsa na szybkie wzbogacenie się. Simms już jest bardzo bogatym człowiekiem i trudno, żeby nie był przy trzydziestoprocentowym udziale w moich zarobkach przez dziesięć najlepszych lat mojego gwiazdorstwa.

Simms jest również moim przyjacielem, ale nie mogę myśleć o inwestycjach, kiedy podjeżdżamy do Planu.

Consuela, która siedzi po mojej prawej, zadrżała na widok nadgryzionej zębem czasu starej stacji. Moja żona nigdy tak naprawdę nie rozumiała Nie kończącego się westernu. W Południowej Ameryce nadal kręci się filmy w staromodny sposób: wszystko wyreżyserowane, wszystko na niby i strzela się wyłącznie ślepyimi nabojami. Nie rozumie, dlaczego słynny amerykański Film musi być rozgrywany naprawdę, kiedy można by wszystko zaaranżować i unikać trupów. Usiłowałem jej to wyjaśnić, ale po hiszpańsku brzmiało to idiotycznie.

Oczywiście dla mnie tym razem to coś zupełnie innego: jestem na emeryturze i wracam, żeby zagrać epizodyczną rolę. Mam kontrakt wykluczający zabójstwo – słynny ongiś rewolwerowiec w komediowym kawalku ze Starym Jeffem Manglesem i Natchezem Parkerem. Scenariusza, oczywiście, nie ma, w Filmie nigdy nie ma scenariusza. Będziemy improwizować wokół każdej sytuacji, jaka powstanie – aktorzy commedia dell'arte ze Starego Zachodu. Consuela nic z tego nie rozumie. Słyszała o kontraktach śmiertelnych, ale kontrakt wykluczający zabójstwo to dla niej coś ważnego.

Wreszcie przyjechaliśmy. Samochód zatrzymuje się przed niskim budynkiem z nie malowanego drewna. Wszystko po tej stronie to Ameryka dwudziestego pierwszego wieku w całej swej chwale z odzysku i surowców wtórnych. Po drugiej stronie rozciąga się milion akrów prairii, gór i pustyni z tysiącami ukrytych kamer i mikrofonów, czyli Plan Nie kończącego się westernu.

Jestem już w kostiumie: dzinsy, koszula w granatowo-białą kratę, wysokie buty, kapelusz, skórzana kurtka i rewolwer. Koń czeka przywiązany do słupka po drugiej stronie stacji, z całą resztą mojego sprzętu w schludnie zrolowanym kocu. Asystent reżysera ogląda mnie i akceptuje, nie mam na ręku zegarka ani innych anachronizmów, które kamera mogłaby wylapać.

– W porządku, panie Washburn – mówi – może pan wejść, kiedy będzie pan gotów.

Simms roci mi na pożegnanie masaż pleców. Podniecony przesłupuje z pięć na palce, zazdrości mi, że to nie on pojedzie na pustynię, wysoki mężczyzna, powolny w ruchach i uprzejmy, z nagłą śmiercią zawsze w pobliżu jego prawej ręki. Ale Simms jest niski, gruby, prawie łysy i nie nadaje się do roli bohatera-rewolwerowca, przeżywa ją więc za moim pośrednictwem. Ja jestem jego meskością i razem przebyliśmy po wielokroć niebezpieczny szlak, a nasze wierne czterdziestki czwórki zlikwidowały wszystkich oponentów, aż zostaliśmy niekwestionowanym mistrzem, bezwzględnie najlepszym rewolwerowcem Zachodu, który w końcu przeszedł w stan spoczynku, kiedy wszyscy jego przeciwnicy byli martwi albo schodzili mu z drogi... Biedny Simms, zawsze marzył, że zagramy tę wielką ostatnią scenę, to ostatnie nmarowe spotkanie na jakiejś piaszczystej Ulicy Głównej. Chciał, żebyśmy zagrali to wspaniale i pięknie, nie dla pieniędzy – tych mieliśmy już i tak aż nadto – ale dla sławy, odchodząc z Filmu w huku wystrzałów, w szczytowej formie. Mnie też by to odpowiadało, ale oponenti stali się diabło ostrożni i Washburn spędził swój ostatni rok w Filmie jeżdżąc idiotycznie z miejsca na miejsce z sześciostrażalcem w pogotowiu i nie znajdując nikogo, kto by chciał się z nim zmierzyć. A teraz ta epizodyczna rolka... dla Simmsa to są kpiny ze wszystkiego czym byliśmy, myślę zresztą, że dla mnie też. (Trudno się zorientować, gdzie zaczynam się ja, a gdzie kończy się Simms, trudno oddzielić to, czego chce ja od niego, czego chce on, trudno nam obu pogodzić się z końcem naszej wspaniałej kariery w Filmie).

Simms potrząsnął moją ręką, drugą ściska mnie mocno za ramię i nie mówiąc nic, w zgodzie z tym męskim westernowym stylem, jakiego nabrał przez lata współpracy ze mną, więcej, bycia mną. Consuela obejmuje

mnie, ma łzy w oczach, całuje mnie, mówi, żebym szybko do niej wracał. Ach, te niewiarygodne pierwsze miesiące z nową żoną! Sam urok, zanim nie da o sobie znać szara rzeczywistość. Consuela jest moją żoną numer cztery. Jeździłem w swoim życiu różnymi szlakami, większość z nich była taka sama i teraz reżyser sprawdza, czyniemamśladowshminki, kiwa głową, odwracam się do Consueli i Simmsa posyłając im pozdrowienie dwoma palcami, z którego jestem sławny, wkraczam na skrzypiącą podłogę biura Wells Fargo i wychodzę z drugiej strony na oślepiające słońce, w świat Nie kończącego się westernu.

Kamera ukazuje z oddali samotnego jeźdźcę, pełnącego jak mrowka między bajecznie kolorowymi ścianami kanionu. Widzimy go w kolejnych ujęciach w tle rozwijającej się panoramy pustyni. Wieczorem, czarna sylwetka na tle nieba w płomieniach, kapelusz zsunięty na tył głowy, gotuje coś na małym ognisku. Teraz śpi zawinięty w koc, żar ogniska rozsypuje się w popiół. Przed świtem jeździec jest znów na nogach, zaparza kawę, szykuje się do całodziennnej jazdy. Wschód zastaje go w drodze, jeździec osłania oczy przed słońcem, odchylony w siodle pozwala koniowi wybierać drogę po skalnych zboczach.

Jestem zarówno widownią, oglądającą mnie jako aktora, jak aktorem oglądającym siebie jako widownię. Jest to spełnienie dziecięcego marzenia: grać rolę i jednocześnie obserwować siebie grającego. Teraz już wiem, że nigdy nie przestajemy grać i nigdy nie przestajemy obserwować siebie jak gramy. To tylko ironia losu sprawia, że bohaterkie sceny, które ja widzę, są zbieżne z tym, co wy widzicie siedząc przed waszymi małymi ekranami.

Teraz Jeździec wspiął się na wysoką przełęcz między dwiema górami. Jest tam zimno, wieje górski wiatr, jeździec postawił kołnierz kurtki, kapelusz przywiązał pod brodą wełnianym kolorowym szalikiem. Zaglądając jeźdźcowi przez ramię daleko w dół widzimy osadę, małą i zagubioną w beznamiętnym krajobrazie. Towarzyszymy jeźdźcowi, który cmoka na swojego zmęczonego wierzchowca i zaczyna zjeżdżać w kierunku osady.

Następnie jeździec prowadzi konia przez osiedle Comanche. Ma ono tylko jedną ulicę – Ulicę Główną – z saloonem, hotelikiem, stajnią z końmi do wynajęcia, kuźnią, jedynym sklepem, wszystko surowe i malownicze jak w dagerotypie z czasów Wojny Domowej. W miasteczku wieje nieustannie wiatr z pustyni i wszystko jest pokryte drobnym pyłem.

Jeźdźca rozpoznają. Gapię przed sklepem mówią „Hej, to Washburn!”

Zsiadam sztywno przed stajnią – wysoki, strudzony długą jazdą mężczyzna z rewolwerem przypiętym bardzo nisko na udzie, zniszczona, kościana kolba pod ręką i na widoku. Odwracam się i ocieram twarz – stynną, długą, smutną twarz z wyraźną blizną przekreślającą jeden policzek, z wąskimi, nie mrugającymi szarymi oczami. Jest to twarz człowieka twardego, niebezpiecznego, nieobliczalnego, a jednak sympatycznego. To ja, obserwujący was, jak mnie oglądacie.

Wychodzę ze stajni i na spotkanie wychodzi mi szeryf Ben Watson, stary przyjaciel ze spaloną słońcem twarzą i dużymi wąsami, z blaszaną gwiazdą na wełnianej kamizelce.

– Słyszałem, że możesz tędy przejeżdżać – mówi Watson. – Słyszałem, że byłeś przez jakiś czas w Kalifornii.

Kalifornia oznacza w naszym języku emeryturę.

– To prawda – mówię. A jak sprawy tutaj?

– Jako tako – odpowiada mi Watson. – Pewnie nic nie wiesz o Starym Jeffie Menglesie?

Czekam. Szeryf mówi:

– To było wczoraj. Koń rzucił Starego Jeffa na pustyni. Myślmy, że przestraszył się grzechotnika – Bóg mi świadkiem, mówiłem mu, żeby sprzedał to wielkie, płochliwe, zezowate bydlę. Ale znasz Starego Jeffa...

- Co się z nim stało? pytam.
- Jak mówiłem, kon go zrzucił i pociągnął. Nie żył już, kiedy go Jimmy Connors znalazł.

Długa cisza. Zsuwam kapelusz na tył głowy. Wreszcie mówię:

- Dobrze, Ben. Co jeszcze chcesz mi powiedzieć?

Szeryf jest wyraźnie zakłopotany. Kręci się, przestępuje z nogi na nogę. Czekam. Jeff Mangles nie żyje; nie będzie sceny, którą miałem zagrać. Co teraz?

- Pewnie jesteś spragniony - mówi Watson. - Może byśmy tak napili się piwa?

- Najpierw powiedz mi, co się jeszcze zdarzyło.

- Hm, słyszałeś o kowboju z Teksasu nazwiskiem Mały Joe Potter?

Potrząsam głową.

- Zawędrował tutaj jakiś czas temu, przynosząc ze sobą reputację szybkiego strzelca. Nie słyszałeś o strzelaninie w Twin Peaks?

Teraz przypominam sobie, że coś o tym słyszałem. Ale byłem wtedy w Kalifornii, zajęty czymś innym i strzelaniny nie bardzo mnie interesowały.

- Ten Mały Joe Potter - ciągnął Watson - wystąpił przeciwko czterem opryszkom w sporze o pewną damę. Mówią, że to była nie byle jaka walka. W rezultacie Mały Joe posłał tych czterech do piekła i w związku z tym zyskał niebiałą sławę.

- I co z tego? - pytam.

- Otóż w jakiś czas potem Mały Joe grał w pokera z jakimiś chłopakami z Gila Bend... - Watson milknie zażenowany. - Może lepiej niech ci to opowie Charlie Gibbs, bo on rozmawiał z człowiekiem, który był świadkiem tej gry. Charlie ci to lepiej opowie. To na razie, Washburn.

Szeryf odchodzi, posłuszny dewizie Filmu, która zaleca skracanie scen dialogowych do minimum, żeby pozwolić ludziom nacieszyć się akcją.

Ide w stronę saloonu. Ktoś idzie za mną, chłopak, osiemnasto-, najwyżej dziewiętnastoletni, palykował, z zadartym nosem, piegowaty smarkacz w za krótkich spodniach i dziurawych butach. Ma rewolwer. Czego on może chcieć? Pewnie tego, co wszyscy. Wchodzę do środka, ostrogi brzęczą na drewnianej podłodze. Charlie Gibbs popija przy barze, tłusty, niechlujny facet cały w uśmiechu i zmarszczkach, bez broni, bo Charlie jest postacią komiczną, nie zabija i jego nie zabijają. Charlie jest również naszym lokalnym delegatem Związku Aktorów Filmowych.

Stawiam mu whisky i pytam o słynnego pokera Małego Joe Pottera.

- Słyszałem to od Jima Claire'a z Teksasu. Pamiętasz chyba Jima Claire'a, Washburn? Poczciwe chłopisko pracuje jako koniuch u Donaldsona. Otóż Jim grał w pokera w Gila Bend. W pewnym momencie zaczęło się robić gorąco. Na stole była kupa forsy i Doc Dailey postawił tysiąc dolarów meksykańskich. Małemu Joe podobały się karty, które dostał, ale nie miał dość forsy, żeby wejść do gry. Doc powiedział, że gotów jest wziąć coś w naturze, jeżeli Mały Joe coś proponuje. Mały Joe pomyślał przez chwilę, a potem mówi: „Ile byś dał za kapelusz pana Washburna?” Zapanowała cisza, bo wiadomo, że nie można ot, tak sobie, zabrać panu Washburnowi kapelusza, że trzeba najpierw zastrzelić człowieka pod tym kapeluszem. Z drugiej strony wiadomo, że Mały Joe nie jest samochwałą i spisał się całkiem niezle w zająciu z tamtymi czterema opryszkami. Więc Doc też zastanowił się przez chwilę i mówi: „Zgoda, Joe, tysiąc dolarów za kapelusz Washburna i chętnie zapłać drugi tysiąc za miejsce w pierwszym rzędzie, kiedy będziesz mu go odbierać”. „Miejsce masz ode mnie za darmo - mówi Mały Joe - jeżeli przegram tę grę, na co się nie zanoszi”. Zakład stanął i sprawdzili. Mały Joe miał karete osemek, a Doc karete waletów. Mały Joe wstaje, przeciąga się i mówi: „No, coż, Doc, wygląda, że wygrałeś to miejsce w pierwszym rzędzie”.

Charlie kończy swoją whisky i spogląda na mnie jasnymi, złośliwymi oczkami. Kiwam mu głową, dopijam swoją whisky i idę tylnymi drzwiami do wychodka.

Wychodek znajduje się poza zasięgiem kamer. Używamy go do rozmów koniecznych, a nie mieszczących się w kontekście Filmu.

Charlie Gibbs przychodzi po paru minutach. Włącza ukrytą klimatyzację, znajduje na belce paczkę papierosów, zapala i rozsiada się wygodnie. Jako delegat Związku Charlie spędza tu sporo czasu wysłuchując skarg i żalów. Jest to jego biuro i postarał się urządzić je możliwe przytulnie.

- Pewnie chcesz wiedzieć, co jest grane? - pyta Charlie.

- Jasne, cholera, że chcę. Co to za pierduły o tym, że Joe Potter ma mi odbierać kapelusz?

- Nie denerwuj się - mówi Charlie - wszystko jest w porządku. Potter jest nową wschodzącą gwiazdą. Po śmierci Jeffa Manglesa twoje spotkanie z Potterem stało się czymś naturalnym. Potter się zgodził. Wczoraj zwrócono się do twojego agenta, który zmienił umowę. Dostaniecie cholerną premię za udział w tym pojedynku.

- Simms zmienił moją umowę? Nie pytając mnie o zgodę?

- Byłeś wtedy nieuchwytny. Simms powiedział, że na pewno się zgodzisz. Złożył do prasy oświadczenie, że ty i on omawialiście to wielokrotnie i że zawsze było twoim pragnieniem zakończyć karierę w wielkim stylu, w szczytowej formie, jednym ostatnim pojedynkiem. Powiedział, że nie musi tego z tobą uzgadniać, bo jesteście sobie bliscy jak bracia i rozmawialiście na ten temat nieraz. Powiedział, że cieszy się z tej okazji i wie, że ty też się ucieszysz.

- Jezu, co ja mam z tym baranem!

- Czy Simms chciał cię załatwić? - pyta Charlie.

- Nie o to chodzi. Rzeczywiście często rozmawialiśmy na temat końcowego pojedynku. Mówiłem mu, że chciałbym skończyć w wielkim stylu...

- Ale to były tylko rozmówki - podsuwa Charlie.

- Niezupełnie. - Ale co innego mówić o pojedynku, kiedy się jest na emeryturze i siedzi się bezpiecznie w Los Angeles, a co innego zostać nagle zmuszonym do walki bez przygotowania. - Simms nie chciał mnie załatwić, ale wrobił mnie w coś, o czym wolałbym sam decydować.

- Więc sytuacja wygląda tak - mówi Charlie - że ty byłeś głupi opowiadając, jak to chciałbyś rozegrać ostatni pojedynek, a twój agent był głupi biorąc cię na serio.

- Tak to wygląda.

- I co chcesz robić z tym pasztetem?

- Powiem ci, ale jako mojemu staremu kumpłowi Charlie'emu, a nie jako delegatowi związkowemu Gibbsovi.

- Wał - mówi Charlie.

- Zmyję się stąd - mówię. - Mam trzydzieści siedem lat, nie ćwiczylem z bronią od roku, mam nową żonę...

- Nie musisz się tłumaczyć - mówi Gibbs. - Życie jest piękne, to wyjaśnia wszystko. Jako przyjaciel popieram twoją decyzję. Ale jako delegat muszę cię ostrzec, że Związek nie poprze cie, jeżeli złamiesz prawomocny kontrakt podpisany przez twojego upoważnionego przedstawiciela. Jeżeli Wytwórnia cię zaskarży, liczy tylko na siebie.

- Lepiej być żywym i samotnym, niż mieć towarzysztwo w grobie - mówię mu. - Dobry jest ten Mały Joe?

- Dobry. Ale nie lepszy od ciebie. Nigdy nie widziałem nikogo lepszego od ciebie. Chcesz się z nim zmierzyć?

- Nie, tylko tak pytam.

- I bardzo dobrze - mówi Charlie. - Jako twój przyjaciel radzę ci się stąd zmywać i więcej się tu nie pokazywać. Zdobyłeś już wszystko, co można zdobyć w Filmie: jesteś sławny, jesteś bogaty i masz piękną młodą żonę. Zebrałeś wszystkie nagrody. Teraz nie stój i nie czekaj, aż ktoś ci je zabierze.

- Nie mam zamiaru - mówię mu, ale czuję, że ręka sama oparła mi się na kolbie rewolweru.

Wracam do saloonu. Siadam przy wolnym stoliku, szklaneczka whisky przede mną, cienkie, czarne meksykańskie cygaro w zębach. Zastanawiam się. Mały Joe jedzie z południa. Pewnie liczy, że zastanie mnie tutaj w Comanche. Ale ja nie mam zamiaru czekać. Najbezpieczniej byłoby wracać tą samą drogą, którą przyjechałem, z powrotem do stacji Wells Fargo i tamtędy na świat. Ale nie zrobię tego. Opuszczę Plan w jego najdalszym, północno-zachodnim kącie przez Diabelski Most. Ciekawe, czy się domysli...

Nagle na stół pada długi cień, ktoś nagle wszedł między mnie a światło, odruchowo staczam się z krzesła z odbezpieczonym rewolwerem w rękę, z palcem napiętym na spuście. Słyszę przestraszony, wysoki chłopięcy głos:

- Oh, przepraszam, panie Washburn! - To ten piegowaty pętaś z zadartym nosem, który przyglądał mi się wcześniej. Teraz z otwartymi ustami wpatruje się w wyłot lufy mojego rewolweru, przestraszony i zresztą słusznie, jak przystoi komuś, kto wyrwał mnie nagle z rocznego marazmu.

Kciukiem spuszczam kurek mojej czterdziestki czwórki, wstaje, chowam broń, otrzepuje się, podnoszę krzesło i siadam. Barman przynosi mi nową whisky.

- Synu - mówię do smarkacza - czy nikt ci nie mówił, że nie należy tak nagle podchodzić do człowieka? Powinienem być posłać cię do piekła z samej ostrożności.

- Przepraszam, panie Washburn - mówi. - Jestem tutaj nowy, nie wiedziałem. Chciałem tylko powiedzieć, jak bardzo pana podziwiam.

Niewątpliwie był świeży, wyglądał na kogoś prosto po Szkole Dzikiego Zachodu, którą wszyscy musimy przejść, zanim zostaniemy dopuszczeni na Plan. Ja byłem równie surowy przez pierwsze kilka tygodni.

- Któregoś dnia - mówi on - będę tak jak pan. Myślałem, że może zechce mi pan udzielić kilku wskazówek. Mam taki stary rewolwer...

Chłopak wyjmuję broń i znowu reaguje bez zastanowienia, wytrącam mu rewolwer z dłoni i walę go pięścią w ucho.

- Niech cię szlag trafi! - krzyczę. - Czy nie masz za grosz oleju w głowie? Nigdy tak nie wyjmuj broni, jeżeli nie masz zamiaru jej użyć.

- Chciałem panu tylko pokazać mój rewolwer - mówi jeszcze z podłogi.

- Jak chcesz komus pokazać rewolwer - mówię - to wyjmuj go bardzo powoli, trzymając palce z daleka od spustu. I najpierw powiedz co chcesz zrobić.

- Panie Washburn - mówi. - Naprawdę nie wiem co powiedzieć.

- Nic nie mów, tylko wynoś się stąd. Wyglądasz mi na kogoś, kto przynosi pecha. Idź i pokazuj swój przeklęty rewolwer komu innemu.

- Czy mam go pokazać Małemu Joe? - pyta wstając i otrzepując się z kurzu.

Patrzy na mnie. Ja milczę. Chłopak przetyka ślinę i czuje, że znowu coś zrobił nie tak.

Powoli podnoszę się z krzesła.

- Czy zechciałbys wytłumaczyć tę uwagę?

- Nic nie miałem na myśli.

- Jesteś pewien?

- Absolutnie, panie Washburn. Bardzo przepraszam!

- Wynoś się stąd! - mówię i chłopak znika czym prędzej.

Podchodzę do baru. Barman trzyma w pogotowiu butelkę whisky, ale powstrzymuje go ruchem dłoni i nalewa mi piwo.

- Curly - mówię - wiem, że nie można nic na to poradzić, że się jest młodym, ale czy oni muszą być tacy głupi?

- Widocznie tak, panie Washburn.

Milczymy przez chwilę.

- Natchez Parker dał znać, że chciałby się z panem zobaczyć - mówi Curly.

- Dobrze - odpowiadam.

Zaciemnienie na: ranczo na skraju pustyni. W baraku kuchennym kucharz Chińczyk ostrzy noże. Bud Farrell, jeden z kowbojów, siedzi na skrzynce i obiera kartofle. Podspiewuje przy pracy, pochylając swoją długą końską twarz. Kucharz, nie zwracając na niego uwagi patrzy przez okno, mówi:

- Ktos jedzie.

Bud Farrell wstaje, wygląda, drapie się po rozczochranej głowie, wygląda jeszcze raz.

- To nie ktoś, ty pogański żółtku, to coś więcej. To jest pan Washburn, to pewnie jak to, że Bóg stworzył małe zielone jabłuszka!

Bud Farrell wstaje, podchodzi do głównego budynku, woła:

- Panie Parker! Jedzie do nas pan Washburn!

Washburn i Parker siedzą przy małym drewnianym stole nad parującymi kubkami kawy w saloniku Natcheza Parkera. Parker, wielki wąsaty mężczyzna, siedzi na krześle z indiańskim kocem na kolanach. Jest sparaliżowany od pasa w dół z powodu starej rany postrzałowej w kregostup.

- I co, Washburn - mówi Parker - słyszałem o tobie i Małym Joe Potterze, jak wszyscy tutaj. Będzie to nie byle jaki pojedynek. Żałuję, że nie będę mógł go zobaczyć.

- Sam bym chciał to zobaczyć.

- Gdzie to będzie?

- Pewnie w piekle.

Parker pochylił się.

- Co to ma znaczyć?

- To znaczy, że nie mam zamiaru strzelać się z Małym Joe. Jęde do Diabelskiego Mostu i potem prosto przed siebie, daleko od Małego Joe i całego tego zakichanego Zachodu.

Parker pochyła się jeszcze bardziej i energicznie pociera swoją siwą czupryną. Jego duża twarz ściąga się nagle, jakby nadgryzł zgniłe jabłko.

- Uciekasz? - pyta.

- Właśnie - odpowiada Washburn.

Starzec krzywi się, odchrząkuje, spluwa na podłogę.

- Nie myślałem, że kiedyś usłyszysz coś takiego akurat od ciebie - mówi. - Nie myślałem, że kiedyś zobaczę, jak zdradzasz zasady, według których tak długo żyłeś.

- Natchez, to nigdy nie były moje zasady. One są przywiązane do roli. Teraz, kiedy kończę z rolą, zwracam razem z nią zasady.

Stary przeżuwa to przez chwilę i wreszcie mówi:

- Co się z tobą, do diabła, dzieje? Nagle ci tak zasmakowało życie? Czy tchórz cię obleciał?

- Nazywaj to jak chcesz - mówię mu. - Przyjechałem, żeby ci to powiedzieć. Jestem ci to winien.

- Czy to nie wzruszające? - mówi Parker. - Jesteś mi coś winien, poza tym jest ci po drodze, więc postanowiłeś wpaść do mnie i powiadomić mnie, że uciekasz przed przechwalonym dzieciuchem, który ma na koncie jedną jedyną walkę.

- Zejdz ze mnie.

- Tom - mówi Parker - posłuchaj mnie.

Podnoszę głowę. Parker jest tutaj jedynym człowiekiem, który nazywa mnie po imieniu. Nie robi tego często.

- Wiesz - mówię - że przemówienia nie są moją specjalnością. Ale nie możesz tak sobie ni z tego, ni z owego uciec. Nie ze względu na innych, ale ze względu na siebie samego. Bo gdziekolwiek pójdziesz, od siebie się nie uwolnisz.

- Dam sobie jakoś radę - mówię mu.

Parker potrząsa głową.

- Niech to diabli, jak myślisz, o co w tym wszystkim chodzi? Pozwalają nam przebierać się i puszyć, jakby cały ten cholerny świat był naszą własnością. Płacą nam kupe forsę za to tylko, żebyśmy byli mężczyznami. Ale wszystko ma swoją cenę. My musimy być mężczyznami. Nie tylko wtedy, kiedy to jest łatwe, jak na początku. Musimy być mężczyznami do końca, niezależnie od tego, jaki to będzie koniec. My nie tylko odgrywamy te role, Tom, my je przeżywamy, poświęcamy im życie, jesteśmy nimi. Każdy może przebrać się za kowboja i spacerować się Ulicą Główną. Ale nie każdy może nosić broń i używać jej.

- To było piękne przemówienie, Parker - mówię - ale za bardzo rozdałeś tę scenę. Wracaj do swojej roli i kończmy sprawę.

- Niech cię diabli - mówi Parker. - Mało mnie teraz obchodzi ta scena i cały Film. Mówię do ciebie serio, Tom Washburn. Byliśmy jak bracia, odkąd przyszedłeś na Plan, przestraszony, potykający się o własne nogi wyros-

- No, dobrze - mówię. - Może teraz się obudziłeś i przypomniałeś sobie, jak to jest naprawdę.

Podnoszę go i podsuwam pod niego krzesło.

Przykro mi, że tak wyszło, Natchez. Idę już.

W drzwiach przystaję i oglądam się za siebie. Parker szczerzy zęby w uśmiechu.

Cieszę się, że ci ulżyło, Tom. Powinienem był pamiętać, że jesteś nerwowo. Wszyscy dobrzy są nerwowi. Ale w pojedynku wszystko będzie w porządku.

Nie będzie żadnego pojedynku, ty stary idioto. Mówię ci już, że odchodzę.

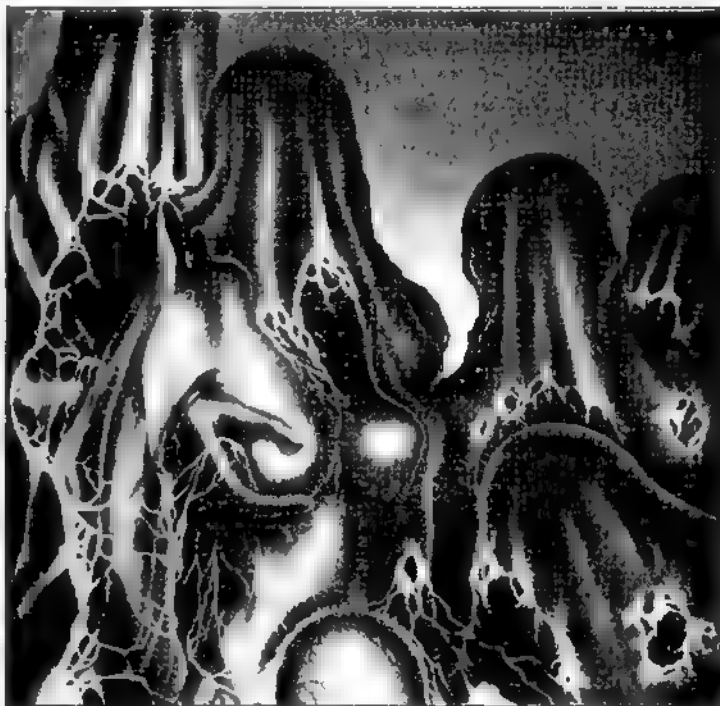
Powodzenia, Tom. Daj mu popalic!

- Idiota!

Wychodzę.

Na szczycie wzgórza pojawia się jeździec, pozwala koniowi samodzielnie wybierać drogę w dół zbocza ku pustyni. Cichy świst wiatru, błyski miki, piasek ukształtowany w długie, kręte wydmy.

W promieniach południowego słońca jeździec mija gi-



tek, który zdobył dla siebie miejsce samą odwagą. Nie mogę ci pozwolić uciec teraz.

- Kończę tę kawę - mówię - i odjeżdżam.

Natchez nagle skręca się na krześle, chwytając mnie za koszulę na piersi i przysuwa swoją twarz do mojej. W jego drugiej ręce widzę nóż.

- Bierz swój nóż, Tom. Wolę cię zabić własnoręcznie, niż pozwolić, żebyś odjechał jako tchórz.

Twierzę Parkera tuż przy mojej, wytrzeszczone oczy, czuję kwaśny oddech starego. Przesuwam ciężar ciała na lewą nogę, prawą stawiam na skraju krzesła Parkera i mocno pcham. Krzesło przewraca się i widzę zdumienie na twarzy starego, który spada na podłogę. Wyciągam rewolwer i celuję mu między oczy.

- Na Boga, Tom - mówię.

Odciągam kurek.

- Ty głupi stary baranie - mówię - czy myślisz, że to jakaś zabawa? Straciłeś zręczność i zrobiłeś się gadatliwy, odkąd ta kula przejechała ci po kregostupie. Wydaje ci się, że są jakieś zasady gry i że ty je wszystkie znasz. Otóż nie ma żadnych zasad. Nie mów mi, co ja mam robić i ja nie będę mówić tobie. Jesteś starym kaleką, ale jeżeli ze mną zaczniesz, będę walczyć po swojemu i zalażę cię tak, jak mi będzie wygodnie.

Napreżam palec na spuście. Parker wybałusza oczy, usta mu się trzęsą, próbuje nad sobą zapanować, ale bez skutku. Krzyczy, nie głośno, ale cienko, jak przestraszona dziewczyna.

Spuszczam kurek i chowam broń.

ganticzne formacje skalne wyrzeźbione przez wiatr w fantastyczne kształty. Wieczorem jeździec zsiada z konia i ogląda jego kopyta. Pogwizdując bezgłośnie pod nosem nalewa wody z manierki do kapelusza, poi konia, zakłada kapelusz i sam pije oszczędnie. Pęta konia i rozkłada się do snu. Siedząc przy małym ognisku ogląda zachód nabrzmiałego pustynnego słońca. Jest wysokim, szczupłym mężczyzną w zniszczonym kapeluszu i z czterdziestką czworką z rogową rekojścią przypiętą do prawego uda.

Brinstone: opuszczona gornicza osada na północno-wschodnim krancu Planu. Nad miasteczkiem wznosi się Diabelski Most - naturalna formacja skalna w postaci szerokiego, lekko pochylego mostu. Jego dalszy koniec, tu niewidoczny, jest mocno zakotwiczony za granicą Planu - w odległości dwustu metrów i stu pięćdziesięciu lat.

Przybywam na kulejącym koniu. Ludzi tu niewiele, ale dostrzegam jedną znajomą twarz: to ten cholerny piegus. Musiał ostro jechać, żeby znaleźć się tu przede mną. Mijam go bez słowa.

Siedząc na koniu podziwiam przez chwilę Diabelski Most. Pięć minut jazdy na drugą stronę i opuszczę Zachód na dobre, skończę z tym wszystkim, z dobrym i złym, ze strachem i śmiechem, z długimi, powolnymi dniami i niebezpiecznymi nocami. Za kilka godzin będę z Consuela, będę czytał gazety i oglądał telewizję...

Jeszcze tylko ostatni, pożegnalny łyk whisky i zmywam się stąd

Zatrzymuje konia przed saloonem. Na ulicy jest teraz parę osób, które mi się przyglądają. Wchodzę do saloonu.

Przy barze stoi jeden człowiek. Jest niski i krepny, ubrany w czarną skorzaną kamizelkę i bawolą czapę człowieka z gór. Odwraca się; ma za pasem jeden rewolwer bez kabury. Widzę go po raz pierwszy, ale wiem, kto to jest.

- Uszanowanie, panie Washburn - mówię.

Jak się masz, Mały Joe - odpowiadam.

Pytającym gestem unosi butelkę. Kiwam głową. Siega pod bar, wyjmując drugą szklankę, nalewa mi. Popijamy w milczeniu.

Po chwili mówię:

- Mam nadzieję, że nie miałeś kłopotów ze znalezieniem mnie?

- Tylko trochę - odpowiada Mały Joe. Jest starszy niż myślałem, koło trzydziestki. Ma twardą, kanciasłą twarz, wydatne kości policzkowe, czarne wąsy. Pociąga ze swojej szklanki, a potem zwraca się do mnie bardzo grzecznie: - Panie Washburn, doszły mnie plotki, którym nie chciałem wierzyć. Mówią, że chce pan wyjechać z tego terytorium i to w pośpiechu.

- To prawda - odpowiadam mu.

- Mówią też, że nie zamierzał pan przed wyjazdem zobaczyć się ze mną?

- To też prawda, Mały Joe. Uznałem, że nie mam dla ciebie czasu. Ale i tak się spotkaliśmy.

- Rzeczywiście - mówi Mały Joe. Gładzi końce wąsów i chwytając się za koniec nosa. - Prawdę mówiąc, panie Washburn, po prostu nie mogę uwierzyć, że nie chce pan ze mną zatanczyć. Wiem o panu wszystko, panie Washburn, i po prostu nie mogę w to uwierzyć.

- A jednak to prawda, Joe - mówię do niego. - Kończę tę whisky, a potem wychodzę przez te drzwi, wsiadam na konia i jadę przez Diabelski Most.

Mały Joe znów pociąga się za nos, marszczy czoło i zsuwa kapelusz z czoła.

- Nigdy bym nie uwierzył, że kiedyś usłyszysz coś takiego na własne uszy.

- A ja bym nie uwierzył, że kiedyś coś takiego powiem.

- Naprawdę nie chce pan się ze mną zmierzyć?

Kończę whisky i odstawiam szklankę na bar.

- Trzymaj się, Mały Joe - mówię i ruszam do drzwi.

- Jeszcze tylko jeden drobiazg - mówi Mały Joe.

Odwracam się. Mały Joe odszedł o krok od baru, obie ręce ma na widoku.

- Nie mogę pana zmusić do pojedynku, panie Washburn, ale zawarłem pewien zakład w sprawie tego pańskiego kapelusza.

- Słyszałem.

- I dlatego, mimo że jest mi z tego powodu niewymownie przykro, muszę go mieć.

Stałem naprzeciwko niego nic nie mówiąc.

- Panie Washburn - mówi Mały Joe - nie ma co tak stać i patrzeć. Niech mi pan da ten kapelusz albo próbuje szczęścia.

Zdejmuję kapelusz, ocieram go o rękaw i puszczam w jego stronę. Łapie go nie spuszczając ze mnie oka.

- Niech mnie diabli - mówi.

- Trzymaj się, Mały Joe - mówię i wychodzę z saloonu.

Przed saloonem zebrała się gromadka gapiów. Stali i czekali rozmawiając przyciszonymi głosami. Drzwi saloonu rozchylają się i wychodzi przez nie wysoki, chudy mężczyzna z gołą głową. Na prawym udzie ma przypiętą czterdziestkę czwórkę i wygląda, jakby umiał się nią posługiwać. Ale nie skorzystał z tej umiejętności.

Pod uważnym wzrokiem tłumy Washburn odwiązuje swojego konia, dosiada go i zwraca w stronę mostu.

Drzwi saloonu rozchylają się ponownie. Wychodzi

przez nie niski, przysadzisty mężczyzna o twardych rysach, trzymając w ręku zniszczony kapelusz. Patrzy na odjeżdżającego mężczyznę.

Washburn daje ostrogę koniowi, który waha się przez chwilę, a potem wchodzi na kamienny most. Trzeba stale przynaglać konia, żeby wszedł po pochyłej żwirowej powierzchni do połowy mostu. Tutaj Washburn zatrzymuje konia albo pozwala mu stanąć. Siedzi w najwyższym punkcie krzywizny mostu, w przejściu między dwoma światłami, ale nie patrzy na żaden z nich. Wyciąga rękę, żeby poprawić rondo kapelusza i ze zdziwieniem stwierdza, że jest z gołą głową. Drapie się z rozmysłem w czoło, jak człowiek, któremu się nigdzie nie śpieszy. Potem zawraca konia i zjeżdża z powrotem do Brinstone.

Tłum obserwuje zbliżającego się Washburna. Ludzie stoją w milczeniu, bez ruchu. Potem, zrozumiałwszy, co się tu będzie za chwilę działo, rozbiegają się szukając ukrycia za wozami i korytami z wodą, kucają za workami.

Na zakurzonej ulicy zostaje tylko Mały Joe Potter. Przygląda się, jak Washburn zsiada, odpędza konia z linii ognia i wolno kroczy w jego stronę.

- Hej, Washburn! - woła Mały Joe. - Wrócił pan po kapelusz?

Washburn obnaża zęby w uśmiechu i potrząsa głową.

- Nie, Mały Joe, wróciłem, bo to jest nasz taniec.

Obaj wybuchają śmiechem, jakby to był jakiś znakomity dowcip. Potem, nagle, obaj sięgają po broń. Ogluszający huk ich czterdziestek czwórek przetacza się przez miasteczko. Dym i kurz przesłaniają pojedynekowców.

Dym rozwiewa się. Obaj mężczyźni stoją. Broń Małego Joe skierowana jest w dół. Chce ją określić na palcu i patrzy, jak rewolwer wypada mu z dłoni. Potem sam osuwa się na ziemię.

Washburn chowa broń, podchodzi do Małego Joe, przykłada i unosi jego głowę.

- Niech to diabli - mówi Mały Joe - to był krótki taniec, co, panie Washburn?

- Za krótki - odpowiada Washburn. - Przykro mi, Joe...

Ale Mały Joe już tego nie słyszy. Oczy zaszyły mu mgłą, ciało znieruchomiało. Krew sączy się z dwóch dziur w piersi i wycieka na piasek z dwóch dużych ran wylotowych w plecach.

Washburn wstaje, podnosi swój kapelusz, otrzepuje go, zakłada na głowę. Podchodzi do swojego konia. Ludzie wychodzą z ukrycia, słysząc gwar rozmów. Washburn wkłada jedną nogę w strzemie, zaczyna wsiadać.

W tym momencie odzywa się drżący, cienki głos:

- Hej, Washburn, broń się!

Washburn z twarzą nagle steżalą obraca się na pięcie, żeby uwolnić prawą rękę i jednocześnie zejść z linii strzału. Nawet w tej nieprawdopodobnej pozycji udaje mu się wyciągnąć rewolwer i odwrócić twarz do piegowatego chłopaka, który stoi w odległości dziesięciu jardów z wymierzoną bronią i strzelą.

W głowie Washburna wybucha słońce, słyszy rżenie swojego konia, zapada się przez piaszczystą podłogę świata, kule biją w jego ciało z odgłosem rzeźnickiego tasaka uderzającego na płask cwiartkę wołowiny. Świat się rozpada, maszyna do robienia obrazów zostaje rozbita, oczy jak strzaskane soczewki odbijają nagłą zagładę świata. Jeszcze rozbłysk czerwonego światła jak ostatnie ostrzeżenie i już tylko czern.

Widz i aktor w jednej osobie patrzy jeszcze przez chwilę na ciemny ekran, poprawia się w fotelu, pociera podbródek. Wygląda na człowieka, którego coś dreczy. W końcu mu się odbija. Wyciąga rękę i wyłącza ekran.

Przełożył Lech Jeczek

chód po dach wypchany młodzieżą. Jeden z młodych ludzi wystawił przez okno butelkę i pomachał nią do mnie. Wstęga pienistego płynu zawisła na moment w powietrzu, jak sparaliżowany proporczyk, po czym opadła i rozprysła się o ziemię.

*

- Tomaszu, ja wiem o tobie i Annie.

Mocowałem się właśnie z kęsami ciastka posypanego brązowym cukrem i wypieczonego na węgiel w piekarniku. Udałem, że żuję pracowicie, dopóki sobie nie przypomniałem, że przecież tych ciastek się nie zużyje - trzeba je raz lub dwa zmażdżyć zębami i połknąć. Odłożyłem widelec na skraj żółtego talerza, starając się zrobić to jak najszybciej.

Sax wzięła bułkę z koszyczka na pieczywo i rozerwała ją na pół. Podniosła noż i starannie posmarowała masłem puszyste pieczywo. Cisza trwała. Az chciało się zacisnąć oczy i wepchnąć palce w uszy. Uwaga - nadchodzi! Coś głośnego i wybuchowego. Saxony drugą połową bułki wyczyściła talerz - wzór opanowania.

- Myślałaś, że nie wiem?

Serce waliło mi jak młot.

- Sam nie wiem, Saxony. Nie nadaje się na tajnego agenta.

- Ja też nie, ale myślę, że od samego początku wiedziałam, co się dzieje. Naprawdę. Wierzysz mi? Nie mówię o tak sobie.

- Wiem, że nie. W to wierze. Moja matka też zawsze wiedziała, kiedy ojciec... coś kręcił. Kiedy się jest z kimś blisko, trudno nie zauważyć, że zachowuje się inaczej niż zwykle.

- No właśnie - pociągnęła krolki, zdecydowany tyk 7-Up. Dopiero teraz zdobyłem się na to, żeby na nią spojrzeć, po raz pierwszy od chwili jak zasunęła tę bombę. Miała lekkie rumieńce, ale to może dlatego, że w pokoju było duszno. Za to moja twarz musiała przypominać oblicze Wodza Wielkiego Grzmota.

- Kochasz ją?

Trzymała szklanke w reku. Przyłożyła ją do policzka, a wtedy bąbelki natychmiast zgromadziły się po ciepłej stronie.

- Sam nie wiem, Sax. Wszystko stało na głowie. Nie próbuje się usprawiedliwiać, wcale nie, ale czasami czuję się tak, jakbym się dopiero co urodził, a jednocześnie przechodził menopauzę.

Odstawiła szklanke i odepchnęła ją od siebie.

- I dlatego do niej poszedłeś?

- Nie, nie, poszedłem do niej, bo jej pragnąłem. Sam ponoszę winę za to, co się stało.

- To bardzo wielkodusznie z twojej strony.

W jej głosie wyczułem szczyptę jadu i bardzo mnie to ucieszyło. Dotychczas była śmiertelnie spokojna i obiektywna. Byłem świadkiem ostatniej awantury między rodzicami, po której matka wyszła z domu i zabrała mnie do Connecticut. Odbiło się to tak chłodno i spokojnie - jakby omawiali ostatnie notowania giełdowe.

- Co teraz, Sax? Mam sobie pojeść?

Zamrugnęła oczami i zaczęła się bawić skrajem obrusa.

- Zrobisz co zechcesz, Tomaszu. Nie jesteś moją własnością.

- Daj spokój. Powiedz, czego ty chcesz?

- Czego ja chce? Dlaczego właśnie teraz zadajesz mi to pytanie? Chciałam ciebie, Tomaszu. Nadal chce. Tylko czy to w tej chwili ma jakiegokolwiek znaczenie?

- Chcesz, żebym z tobą został?

Zwinąłem serwetkę w kulke i przyjrzałem się jej zamkniętej w mojej dłoni. Saxony z upodobaniem wykładala do każdego posiłku czyste lniane serwetki. Raz w tygodniu prala je ręcznie i prasowała. Kupiła dwie zielone, dwie bładoniebieskie i dwie ceglaste - służyły nam w ciągłej rotacji. Poczulem się jak szmata.

Podniosłem wzrok i stwierdziłem, że Saxony intensywnie się we mnie wpatruje. Lza przetoczyła się przez krawędź jej powieki i poturłała w dół różowego policzka. Sax podniosła serwetkę do twarzy i spojrzała na mnie jeszcze raz. Nie miałem siły patrzeć jej w oczy.

- Nie mam prawa czegokolwiek od ciebie wymagać, Tomaszu.

Oddychała głęboko, nieregularnie. Zaczęła mówić coś jeszcze, ale urwała w pół słowa i nic więcej nie powiedziała. Spuściła wzrok i pokręciła głową. Podniosła serwetkę do oczu i powiedziała - „O kurwa”.

Rozprostowałem kulke swojej serwetki i podjąłem próbę wygładzenia jej starannie wzdłuż oryginalnej linii złożenia.

Rozdział VIII

- Uważajcie, żeby sobie nie skreślić karku schodząc po tych schodach. Jedną z wiecznych obietnic ojca było, że je kiedyś nareperuje.

Anna niosła latarkę, ale szła przed Saxony, która podążała przede mną. W rezultacie, żółty snop światła był dla mnie widoczny tylko o tyle, o ile przemykał się jak wypreżona żmija między ich nogami.

- Dlaczego wszystkie piwnice pachną jednakowo? - przytrzymałem się ściany dla równowagi. Ściana była chropawa i wilgotna. Tak samo pachniało w domu Doroty Lee, w lesie.

- Co to za zapach?

Śmierdzi jak w rozbieralni gimnastycznej, kiedy drużyna wzięła kulka pryszniców.

- Nie, to jest czysty zapach. W piwnicach pachnie tajemnicą i kryjówką.

- Tajemnicą? Jak może pachnieć tajemnicą?

Dobrze, już dobrze, ale na pewno nie śmierdzi rozbieralnią.

- Poczekać, tu jest światło.

Psirry! - I liche, żółtawe światło rozjaśniło duże, kwadratowe pomieszczenie.

- Uważaj na głowę, Tomaszu, tu jest niski strop.

Wciągnąłem głowę w ramiona i rozejrzałem się po komnacie. Nad całym pomieszczeniem górował stojący w rogu pier barwy wojskowej zieleni. Podłoga była czymś tylko nieco szlachetniejszym od klepski. Oprócz powiązanych w paczki starych czasopism, nie było tu właściwie nic. „Pageant”, „Coronet”, „Ken”, „Stage”, „Gentry” - nigdy nie natknąłem się na te tytuły.

- Co twój ojciec robił w tej piwnicy?

- Zaczekać chwilę, pokaże wam. Chodźcie.

Dopiero kiedy Anna ruszyła, zauważyłem otwarte drzwi wiodące najwyraźniej do drugiego pomieszczenia. Psirryknęcie światła - i już byliśmy w środku.

Na ścianie wisiała szkolna tablica o rozmiarach z grubsza trzy stopy na sześć. Przymocowany w jednym jej końcu pojemnik na kredę wypełniony był nowiuteńkimi, długimi słupkami białej kredy. Poczulem się jak u siebie w domu. Musiałem wręcz pohamować silny impuls podejszcia do tablicy i wyrysowania diagramu budowy zdania.

- Tu rozpoczynał pisanie wszystkich książek.

Anna wzięła kredę i zaczęła coś bazgrać na środku tablicy. Narysowała niezdarne podobizne Snoopy'ego z komiksu „Fistaszki”.

- Przecież mówiłaś, że pracował na gorze?

- Owszem, ale dopiero po opracowaniu wszystkich postaci tu, na tej tablicy.

- Robił to przy każdej książce?

- Tak. Chował się tu na całe dnie i tworzył swój kolejny świat.

- Ale jak? W jaki sposób?

- Twierdził, że zawsze ma w głowie głównego bohatera. W przypadku „Krainy Chichów” była to Lady Oliwa, matka Ryszarda Lee. Jej imię wypisywał na środku tablicy, a pod nim szła lista innych imion.

- Prawdziwych czy zmyślonych?

Prawdziwych, żywych ludzi. Mawiał, że kiedy myśli o prawdziwych ludziach, natychmiast przychodzi mu do głowy te cechy osobowości, które chce wykorzystać.

Napisała na tablicy *Dorota Lee*, a pod spodem *Tomasz Abbey*. Od obu imion poprowadziła strzałki w prawo. Na końcu pierwszej strzałki napisała *Lady Oliwa*, przy moim nazwisku zaś - *Autor biografii ojca*. Nie odziedziczyła po ojcu charakteru pisma: pisała zamazyscie i niechlujnie, w sposób, który niewątpliwie skomentowałbym pod wypracowaniem, gdyby była moją uczennicą.

Następnie pod *Tomasz Abbey* - *Autor biografii ojca*, napisała. *sławni ojciec, nauczyciel angielskiego, inteligentny, mało pewny siebie, ma zadatki, siła?*

Zmarszczyłem brwi.

- Co ma znaczyć „siła”?

Odpędziła moje pytanie machnięciem ręki.

- Cicho. Robię tak, jak on to robił. Jeżeli czegoś nie wiedział albo nie był pewien czy to wykorzysta, stawiał obok znak zapytania.

- Reszta przymiotników też mnie dotyczy? Mało pewny siebie, ma zadatki...

- Na miejscu ojca napisałabym, jaki mi się wydaje i co uważam za interesujący materiał. To moje prywatne impresje. Nie gniewasz się, prawda?

- Kto, ja? Skąd. Absolutnie. Ani trochę...

- Wystarczy, Tomaszu, już wyraziłeś swoje zdanie.

- Skądże znowu. Ani...
 - Tomasz!
 Anna spojrzała na Saxony. Zdaje się, że mi nie uwierzyła.
 - Czy on się na mnie gniewa?
 - Nie. Zdaje mi się tylko, że ruszyło go to „mało pewny siebie”, no i „sławny ojciec”.
 - Musisz cały czas pamiętać, że jestem sobą, a nie swoim ojcem. Gdyby ojciec chciał cię wykorzystać, mógłby dostrzec w tobie zupełnie inne cechy niż ja.
 - Poważnie, Anno? Uważam, że byłby to całkiem niezły pomysł na początek książki. Opisałbym po prostu, jak twój ojciec schodził tu sam jeden po skrzypiących schodach, zapala światło i rozpoczyna pracę nad książką właśnie na tej tablicy. Pierwszych kilka stron byłoby w ten sposób początkiem i jego książki, i mojej. Co o tym sądzisz?
 Odłożyła wreszcie kredę i starla Snoopy'ego wnętrzem dłoni.
 - Nie podoba mi się.
 - A ja uważam, że to świetny pomysł, Tomasz.
 Nie byłam pewien, czy Sax tak powiedziała dlatego, że pomysł istotnie jej się spodobał, czy żeby dokuczyć Annie.
 - Ale tobie, Anno, on się nie podoba?
 Anna odwróciła się plecami do tablicy i otrzepała ręce.
 - Ty jeszcze nic nie wiesz, Tomasz, a już próbujesz wymyślać chytne grepsy i sztuczki.
 - Nie zamierzalem się popisywać chytymi sztuczkami, Anno. Naprawdę wydawało mi się, że...
 - Daj mi dokończyć. Jeżeli zgadzam się na to, żebyś napisał tę książkę, to pod warunkiem, że napiszesz ją rozsądnie i pięknie. Nie masz pojęcia, ile czytałam skandalicznych biografii, które ani nie opisywały swojego przedmiotu, ani tym bardziej nie czynią go ciekawym czy intrygującym. Nawet nie wiesz, jakie to ważne, żeby ta książka była zrobiona dobrze, Tomasz. Mam wrażenie, że przez wzgląd na mojego ojca chcesz ją napisać jak należy, ale w takim razie unikaj tanich grepsów. Żadnych grepsów, efektownych skrótów i akapitów zaczynających się od słów „W dwadzieścia lat później”. Tego sobie nie życzę. W twojej książce musi być wszystko, bo inaczej on nie...
 Jej tyrada była tak żarliwa, szczerza i głośna, że kiedy urwała w pół zdania, poczułem się, jakbym spadł ze stołka.
 Głośno przełknąłem ślinę.
 - Anno?
 - Słucham.
 Anno - wtrąciła się Saxony. - Czy jesteś pewna, że chcesz, żeby to właśnie Tomasz napisał tę książkę? Czy jesteś tego pewna?
 - Tak, teraz już jestem. Absolutnie.
 Wzięłam głęboki wdech i głośno wypuściłam powietrze, w nadziei, że złamię tym napięcie, które wisiało nad nami jak bomba atomowa.
 Saxony podeszła do tablicy, ujęła kawałek kredy i zaczęła rysować coś koło naszych imion - pani Lee i mojego. Już jej szkice kukiełek przekonały mnie, że jest zdolną rysowniczką, ale tym razem przeszła samą siebie.
 Lady Oliwa - bardzo wierna, szybka kopia słynnej ilustracji Van Walta - oraz ja, staliśmy nad grobem Marshalla France'a. Nad nami, na obłoku, siedział France i operował sznurkami poprzyczepianymi do nas obojga we wszystkich możliwych miejscach. Była to niewątpliwie żręczna karykatura, ale w świetle tego, co mówiła Anna, również niepokojąca.
 - Wątpię, czy jesteś tego pewna, Anno.
 Saxony ukończyła rysunek i odłożyła kredę do pojemnika na skraju tablicy.
 - Doprawdy? - Anna zniżyła głos. Z natężeniem wpatrywała się w Saxony.
 - Doprawdy. Moim zdaniem, biografia powinna być autorską interpretacją życia przedmiotu. Nie powinna sprowadzać się do „zrobił to, zrobił tamto”.
 - A czy ja twierdzę, że powinna? - pogrozka w tonie Anny ustąpiła miejsca... rozbawieniu.
 - Nie, ale dość dobitnie dałaś do zrozumienia, że sama będziesz o wszystkim decydować. Już w tej chwili mam silne przeczucie, że chcesz, żeby Tomasz napisał twoją wersję życia Marshalla France'a, a nie wersję Tomasza Abbeya.
 - Sax, daj spokój...
 - Nie, Tomasz, to ty daj spokój. Wiesz, że mam rację.
 - Czy ja coś mówiłem?
 - Jeszcze nie, ale miałam zamiar.

Ten kretyń, Dawid Louis, wciąż molestował go o coś nowego. Kiedy dowiedział się o tej książce, napisał do ojca, że chciałby przyjechać do Galen i przeczytać to, co dotychczas zostało napisane. Tak się złożyło, że przyjechał w dwa dni po śmierci Dorothy Lee. Możesz sobie wyobrazić, jaka to była przyjemność gościć go tutaj właśnie wtedy!

- Anno, opowiadasz mi niestworzone rzeczy. Właściwie mówisz, że twój ojciec był - Bogiem! Albo Doktorem Frankensteinem.

- Wierzysz mi?
 - Sam nie wiem, co na to odpowiedzieć.
 - Ja też nie wiem, Tomasz. Nie wiem, co ja sama odpowiedziałabym na twoim miejscu. Niezła historia, co?
 - Oj, niezła. Niezła. Można ją tak określić.
 - Chcesz więcej dowodów? Poczekaj. Pańcia! Pańcia, chodź no tu!

Rozdział V

Opuszczając tej nocy dom France'a, wierzyłem jej już do końca. Widziałem książki, dokumenty, wpisy w dzienniku. Pańcia opowiedziała mi o swoim „poprzednim życiu” w postaci ludzkiej noszącej imię Wilma Inkler.

Cos niewyobrażalnego. Siedzisz sobie w fotelu, u swoich stop pies. Pies patrzy ci prosto w oczy i blaszonym głosem opowiada, jak to jest być psem. A ty siedzisz, kiwasz głową i cały czas masz świadomość tego, co się dzieje.

Doktor Dolittle w Galen, Doktor Dolittle u czubków. Jeden czort.

Uczyłem kiedyś w szkole zasad pisania tekstów literackich. Uczniowie z upodobaniem tworzyli historie brutalne, przerażające - o obrzucaniu głów, gwałtach i nadużywaniu narkotyków. Kiedy przychodziło do zakończenia, jedyną znaną młodocianym autorom metodą wykaraskania się z krwawej jałki, była wola „Keith przewrócił się na drugi bok i dotknął jasnych, jedwabistych włosów Diany. Na szczęście wszystko było tylko snem”.

Gadające psy, współczesny Prometeusz, posługujący się wiecznym piórem zamiast gliny, jego córka, która podniecała mężczyzn do szaleństwa zwykłym szorowaniem zębów, która sypiała na zmianę ze mną i chamelem w basenbalowej czapce i która kto wie, czy nie bywała przyczyną ataków serca swoich byłych gachów - „Tomasz odwrócił się na drugi bok i dotknął bułteriera. - To był tylko sen, kochanie - powiedział bułterier”.

I co w tej sytuacji miałem robić? Kontynuować pracę nad książką? Pisać swoje? Wracać czym prędzej do domu, zanim zwariuję?

No i co ja mam robić? - palnąłem dłonią w zimną, czarną kierownicę i podjechałem pod staricę benzynową, która miała na zewnątrz automat telefoniczny.

- Anna?

Tomasz? Co słychać?

Ciekaw byłem, czy Ryszard jest u niej. Oznaczałoby to doprowadzenie sytuacji do perfekcji.

Anno, co ja mam robić? Skoro już znam prawdę - powiedz mi, co mam robić?

- Też pytanie! Pisać książkę, oczywiście!

- Ale po co? Przecież nie chcesz, żeby ktokolwiek o tym wiedział. A nawet jeżeli moja książka okaże się dobra i wyjdzie drukiem, to przecież ludzie powariują, kiedy to przeczytają. Twoje Galen zamieni się w sam nie wiem, w coś... w mekke wariatów. A twój ojciec stanie się powszechnym posmiewiskiem, bo przecież nikt nigdy nie uwierzy w tę historię. A ci, którzy uwierzą, sami wysławiają się na posmiewisko.

- Tomasz?

Jej głos przypłynął do mnie jak z obcej planety. Szyby budki zasłzy parą od ciepła mojego ciała, a oświetlony cyferblat zegara z reklamą Pepsi-Coli na budynku stacji benzynowej, zatrzymał się na godzinie czwartej dziesiątej.

- Słucham.

- Tomasz, muszę ci jeszcze dużo powiedzieć.

Przytknąłem rękę do skroni.

- Jeszcze więcej? Co jeszcze zostało do powiedzenia, Anno?

- A jednak. To, co najważniejsze. Powiem ci jutro. Jest już bardzo późno, więc jedź teraz do domu. Pogadamy jutro. Spij smacznie, przyjacielu. Jeszcze coś. Tomasz? Wszystko będzie w porządku. Poznales najbardziej szokującą część prawdy. Reszta to już tylko P.S-y. Do zobaczenia jutro rano.

Mgła pary wodnej wspięła się po szybach. Kiedy odwieszałem słuchawkę, ulicą przejechał samo-



Oblizła usta i potarła skrzydełko nosa. Kiedy się naprawdę rozszłościła, zawsze swędział ją nos. To co mówisz, Saxony, jest dość okrutne, zwążywszy na to, kim jestem i jaka stawka wchodzi w grę nie uważasz? Owszem, mam swoje uprzedzenia. Rzeczywiście uważam, że książka powinna być napisana w pewien szczególny sposób.

Nie mówiłam? – Saxony spojrzała na mnie i z zalem pokręciła głową.

– Nie wiesz, o co mi chodzi. Nie przekreślaj moich słów.

Obie założyły ręce na piersiach.

– Spokoj, panienki. Jeszcze nawet nie zacząłem pierwszej strony, a wy już stoicie na stanowiskach bojowych. Nie spojrzajcie na mnie, ale obie słuchały. Chcesz, żeby w książce znalazło się wszystko, zgadza się, Anno? Ja też. Chcesz, żebym napisał tę książkę po swojemu, tak Saxony? Ja też. Czy wobec tego ktoś może mi powiedzieć, w czym ten wielki problem? No, słucham? Gdzie jest problem?

Mówiąc to, cały czas myślałem, że tę scenę mógłby odegrać mój ojciec. Może nieco zbyt melodramatyczna, ale wystarczyła, żeby uspokoić ich wojownicze nastroje.

– Już dobrze? A teraz słuchajcie, chce złożyć propozycję. Czy mogę prosić o głos? Tak? Oto moja propozycja. Ty, Anno, udzieliś mi wszelkich informacji potrzebnych do napisania pierwszego rozdziału książki po mojemu. Wszystko jedno jak długo będę go pisał, nie wolno ci zobaczyć ani słówka, zanim nie skończę i nie uznaję, że jestem zadowolony z tego, co zrobiłem. Wtedy sam ci to pokaże, a ty będziesz mogła zrobić z tekstem co zechcesz – pociąć go na kawałki, poprzestawiać, wyrzucić do kosza... Nie wiem, może nawet spodoba ci się moja wersja. Wszystko jedno. Jeżeli ci się nie spodoba, wówczas, obiecuje, będę z tobą współpracował tak ściśle, jak tego zażadasz. Nie będę cie, oczywiście, nagrywał na taśmie, ale książka będzie od początku do końca wspólnym dziełem nas trojga. To absolutnie niefachowa metoda i każdy wydawca na wieść o niej rwałby sobie włosy z głowy, ale co mi tam. Jeżeli się zgadzasz, to tak właśnie zrobimy.

– No a jeżeli spodoba mi się pierwsza wersja twojego rozdziału?

– Wówczas napiszę całość po swojemu i przedstawię ci ją po ukończeniu.

Trudno o bardziej sprawiedliwą umowę. Jeżeli pierwszy rozdział nie zadowolili Anny, będziemy współpracować od samego początku. Jeżeli nie spodoba jej się gotowa książka – będzie miała prawo, no, trudno, wyrzucić całość i zatrudnić, by pracował nad nią od początku albo mnie, albo kogoś nowego. O tej ewentualności wolałem na razie nie myśleć.

– Zgoda.

Wzięła czarną, flanelową szmatkę i dwoma energicznymi ruchami starła w niepamięć rysunek Saxony.

– Zgoda, Tomaszu, ale daję ci limit: miesiąc. Miesiąc pracy absolutnie po swojemu, a po miesiącu chce zobaczyć pierwszy rozdział. Nie stać nas na marnotrawstwo czasu.

Saxony odezwała się pierwsza, nie dając mi szansy.

– Dobrze, ale w takim razie dasz nam dostęp do wszystkiego, o co cię poprosimy. Koniec z ukrywaniem prawdy i kłamstewkami.

Na to ostatnie Anna uniosła brew. Arogancja Saxony budziła we mnie mieszaninę podziwu i rozpaczy.

– Jeżeli zamierzacie trzymać się chronologii – zakładam, że tak? – dam wam wszystko, co dotyczy okresu sprzed jego przyjazdu do Ameryki. W pierwszym rozdziale nie da się umieszczyć więcej materiału.

Rozdział IX

Na tym stało. Zgodnie z obietnicą Anny, z domu France'a popłynął potok książek, dzienników, listów i kartek pocztowych. Z początku ledwo mogliśmy się ich doliczyć, nie mówiąc o jakiegokolwiek analizie.

Wyglądało na to, że France przechowywał dosłownie wszystko, albo też ktoś robił to za niego i w odpowiedniej chwili wręczył mu komplet pamiątek. Duża, brązowa koperta pękała w szwach od małego interesujących dziecięcych rysunków przedstawiających konie i krowy. Mistrz w wieku lat czterech. Notatnik z zaprasowanymi między kartkami szczątkami polnych kwiatów i chwastów, siał je na wszystkie strony przy każdym uniesieniu, pod dowolnym kątem. Wszystkie pozostałe w zielniku chwasty i – pożałuj Boże – petunie, opisane były w języku nienickim chwiejnym dziecięcym pismem. Pudełko po butach zawierało stare, czarno-żółte opaski od cygar, pudełko od zapalek, nie wykorzystane bilety na statek i na pociąg. W drugim pudełku leżało sporo starych pocztówek, do których France miał wyraźny sentyment. Wiele z nich przedstawiało góry i stare schroniska turystyczne. Turysty nosili kiedyś śmiesz-

ne stroje: kobiety w długich sukniach typu Daisy Miller i w kapeluszach typu sałatka owocowa, faceti w tweedowych bryczkach, które wydymały się jak balony w okolicy kolan i w komicznych tyrolskich kapeluszach z piórkami. Wszyscy wpatrywali się w obiektyw: jedni z kretynskim uśmiechem, inni z tragicznym grymasem „żona-mi-się-utopiła”. Żadnych pośrednich wyrazów twarzy, które tak często widać się na fotografiach współczesnych.

Pocztówki były od szkolnych kolegów i od krewnych, jeżeli wierzyć słowom Anny. Pudło zawierało też brązowy zeszyt szkolny, który przy bliższych oględzinach okazał się rejestrem otrzymanych pocztówek. Było to komiczne, zwłaszcza jeżeli się pamięta, że właściciel rejestru miał osiem, góra dziewięć lat. Od kogo, skąd, data, nawet miejsce, w którym on sam przebywał wówczas jako adresat.

- Anno, właściwie dlaczego on zmienił nazwisko z Martin Frank na Marshall France?

Nie zwróciłeś uwagi na to, jak zaadresowane są pocztówki? „Marshall France, pod opieką Martina Franka”. Postać zwana Marshall France stworzył, kiedy miał może osiem lat. Była to kompilacja D Artagnana, Beau Geste'a i Wirginczyka. Sam m. m. mówił, że przez długie lata nie reagował na żadne inne imię. Wszyscy musieli zwracać się do niego per „Marshall”, inaczej ich ignorował – zachłusnęła się śmiechem. – Taki smarkaty, a co za charakterek?

- No dobrze, to wszystko rozumiem, ale dlaczego po przyjeździe do Ameryki przybrał to nazwisko?

Prawde mówiąc, Tomaszu, sama tego do końca nie wiem. Pamięta, że ojciec był Żydem i uciekał przed faszystami. Może myślał, że kiedy w końcu Niemcy dojdą do Stanów Zjednoczonych będzie bezpieczniejszy pod godnym nazwiskiem France. – Pochyliła się, żeby poprawić sznurowadło. Ledwo usłyszałem dalszy ciąg jej odpowiedzi. – Niezależnie od jego motywacji, dla twoich celów to świetnie, prawda? Stał się jedną ze stworzonych przez siebie postaci. To bardzo znaczące, panie doktorze.

Popukała się palcem w czoło i obiecała, że wkrótce zobaczymy się znowu.

We dwojkę z Saxony spędziliśmy co najmniej tydzień na przeglądaniu materiału. Potem długo rozmawialiśmy i chociaż w kilku kwestiach nasze opinie się różniły, zgodziliśmy się co do tego, że z małego France'a był kawał dziwaka.

Rozmawialiśmy też o tym, jak najlepiej napisać testowy rozdział. Na studiach miałem ćwiczenia z kompozycji tekstu. Facet, który je prowadził, przyniósł na pierwsze zajęcia dzieciną lalkę. Podniósł ją do góry i oznajmił, że większość ludzi opisalaby lalkę z najbardziej oczywistego punktu widzenia. Wrysował przy tym niewidzialną linię poziomą od własnego oka do lalki. Ale pisarz z prawdziwego zdarzenia, mówił dalej, wie, że lalkę można opisać z wielu punktów widzenia – z góry, z dołu – i że tu właśnie zaczyna się prawdziwa twórczość. Powiedziałem to wszystko Sax i dodałem, że przyjechałem do Galen właśnie po to, żeby znaleźć ten niezwykły kąt widzenia. Ogólnie rzecz biorąc, zgodziła się ze mną, ale rozmowa i tak zakończyła się karczemną awanturą o charakter rzekomego kąta. Saxony twierdziła, że jej książka zaczynałaby się od opisu zabawnego chłopczyka, siedzącego w swoim pokoju w małym alpejskim miasteczku w Austrii i dokonującego starannych wpisów w rejestrze pocztówek. Potem wysłałaby go na dwór, żeby zbierał kwiatów do ziołnika. potem kałaby mu narysować krowę, i tak dalej. Czyli uzyskalaby stwierdzenie nie wprost, że chłopiec był od początku życia artystą, ekscentrykiem i wrażliwcem.

Dla mnie jej pomysł był okej, ale bałem się, że skoro Anna wygizdała moją koncepcję ze schodzeniem do piwnicy w celu rozpoczęcia pracy nad „Krainą Chichów”, to storduje również Saxony za „grepsy i chytre sztuczki”. Sax niechętnie przyznała, że dla Anny ten pomysł być może być nazbyt literacki.

Jeszcze parę dni zmarnowałem na czucie się zmęczonym, skolowanym i przybitym. Saxony trzymała się ode mnie z daleka i przesiadywała w ogrodzie z panią Fletcher. Lubiła gospodynię o wiele bardziej niż ja. Tam, gdzie Saxony dostrzegała pocziwa zapobiegliwość rodem z Missouri, ja widziałem tylko pozę i tradycjonalizm. Nigdy nie rozmawialiśmy o pani Fletcher, wiedząc, że rozmowa taka skończyłaby się kłótnią. Faktem jest jednak, że to Falszywa Fletcher podsunęła mi pomysł na początek książki.

Ktoregoś dnia rano złożyłem bron i zasiadłem na gornym stopniu ganku, przyglądając się, jak pani Fletcher i Saxony krzają się przy pomidorach. Dzień był pochmurny, duszny i z nadzieją czekałem na nadejście potężnej burzy, która oczyściłaby świat.

Wierny Kulfon wgramolił się po schodkach i usiadł koło mnie, dysząc pospiesznym „kha-kha-kha”. We dwóch patrzyliśmy na żniwa pomidorów. Położyłem rękę na jego łąbie. Bullterierzy mają łąby z kamienia, udają tylko, że to skóra i kości.

- Lubisz pomidory, Tomaszu?

- Słucham?

Nie czekałem, co jeszcze powie Anna.

- To idiotyzm, Anno. Nie wygłupiaj się. To bzdury!

Przysiadła na parapecie i schowała ręce pod koszulkę, żeby je rozgrzać. Obraz jej nagich piersi przeleciał mi – ni w piec, ni w dziewięć – przed oczami. Anna zaczęła stukac kolanem w kolano i czyniąc to, mówiła dalej.

Ojciec czuł, że po napisaniu „Krainy Chichów” coś się w nim zmieniło. Wiem od matki, że był o krok od rozstroju nerwowego, tak go ta książka wyczerpała. Przez blisko dwa następne lata nie pisał nic. Potem matka umarła, od czego ojciec mało nie zwariował. Kiedy „Kraina Chichów” ukazała się drukiem, zrobiła natychmiast taką furorę, że ojciec bez trudu mógł zostać znakomitością towarzyską, tylko że nie chciał. Wolął pracować w sklepie, u poprzedniego właściciela, i odbywać swoje małe wypadki do St. Louis i nad jezioro Ozarków.

Chciałem ją uprzejmie poprosić, żeby skończyła pieprzyć i zaczęła odpowiadać na moje pytania, ale zrozumiałem, że prędzej czy później sama to zrobi.

Wtedy byłem też na studiach. Chciałem zostać wielką pianistką. Nie wiem, czy naprawdę byłem taka dobra, ale miałam motywację i silną wolę. To było zaraz po śmierci matki, chwilał mi dęczyło mnie poczucie winy, że ojciec siedzi w Galen sam jak palec, ale ilekroć poruszałam ten temat, on śmiał się i mówił, że bym nie plóła głupstw.

Zeskoczyła z parapetu i odwróciła się ode mnie. Patrząc w deszczową noc. Z całej siły hamowałam szczykanie zębów. Kiedy Anna znowu się odezwała, jej głos, odbity od szyby, był nieco zmieniony.

- Chodziłam wtedy z chłopakiem, który nazywał się Peter Mexico. Śmieszne nazwisko, na nie? On też był pianistą, tyle że genialnym. Wszyscy to czuli. Nie wiedzieliśmy tylko jednego. Dlaczego Peter Mexico dalej siedzi w Ameryce, zamiast studiować w Paryżu, u Boulanger, albo w Wiedniu, w szkole Webera. Od chwili poznania się byliśmy nierozłączni. Już po tygodniu zamieszkalismy razem. Musisz przy tym pamiętać, że był to początek lat sześćdziesiątych, kiedy takie rzeczy nie były jeszcze na porządku dziennym.

Szałamysy za sobą. Śnuliśmy wspaniałe wizje życia w podniebnej pracowni, z dwoma tortepianami Bosendorfera.

Odwróciła się od okna i podeszła do mnie. Przysiadła na drewnianym oparciu i położyła mi rękę na ramieniu. Mówiła w ciemności.

Tymczasem mieszkaliśmy w obskurnej kłitce, a i na nią ledwo było nas stać. Oboje mieliśmy pokoje w akademiku, ale to było nasze tajne sanktuarium. Chodziliśmy tam po zajęciach albo w nocy, kiedy nie musieliśmy ćwiczyć. Wypisywaliśmy się na weekendy i gnałismy tam co sił w nogach. Mieszkanie było całkowicie nieumeblowane. Kupiliśmy duże wojskowe przyzby z demobilu, które powiazaliśmy za nogi w coś na kształt łoża małżeńskiego.

Pewnego dnia rano obudziliśmy się, a Peter nie był.

Powiedziała to głosem spikera dworcowego. Idealnie monotonnym. „Pociąg odjedzie z toru siódmego” – taki był głos Anny.

- Przyszła policja, robili te wszystkie idiotyczne badania, orzekli, że przyczyną zgonu był atak serca. Zaraz po pogrzebie ojciec przyjechał po mnie i zabrał mnie do domu. Nie nie chciałam robić. Na niczym mi nie zależało. Siedziałam w swoim pokoju i czytałam ciężką literaturę – „Proces”, „Jadno ciemności”, Raskolnikowa... rozesmiała się i uściśnęła moje ramie. - Byłam wzorową egzystencjalistką. „Obcego” przeczytałam dziesięć razy. Biedny ojciec, sam ledwo zaczynał wychodzić z kryzysu nerwowego, a tu zwałam mu się na głowę z własnym. Ale zachowywał się jak anioł. W sytuacjach kryzysowych zawsze zachowywał się jak anioł.

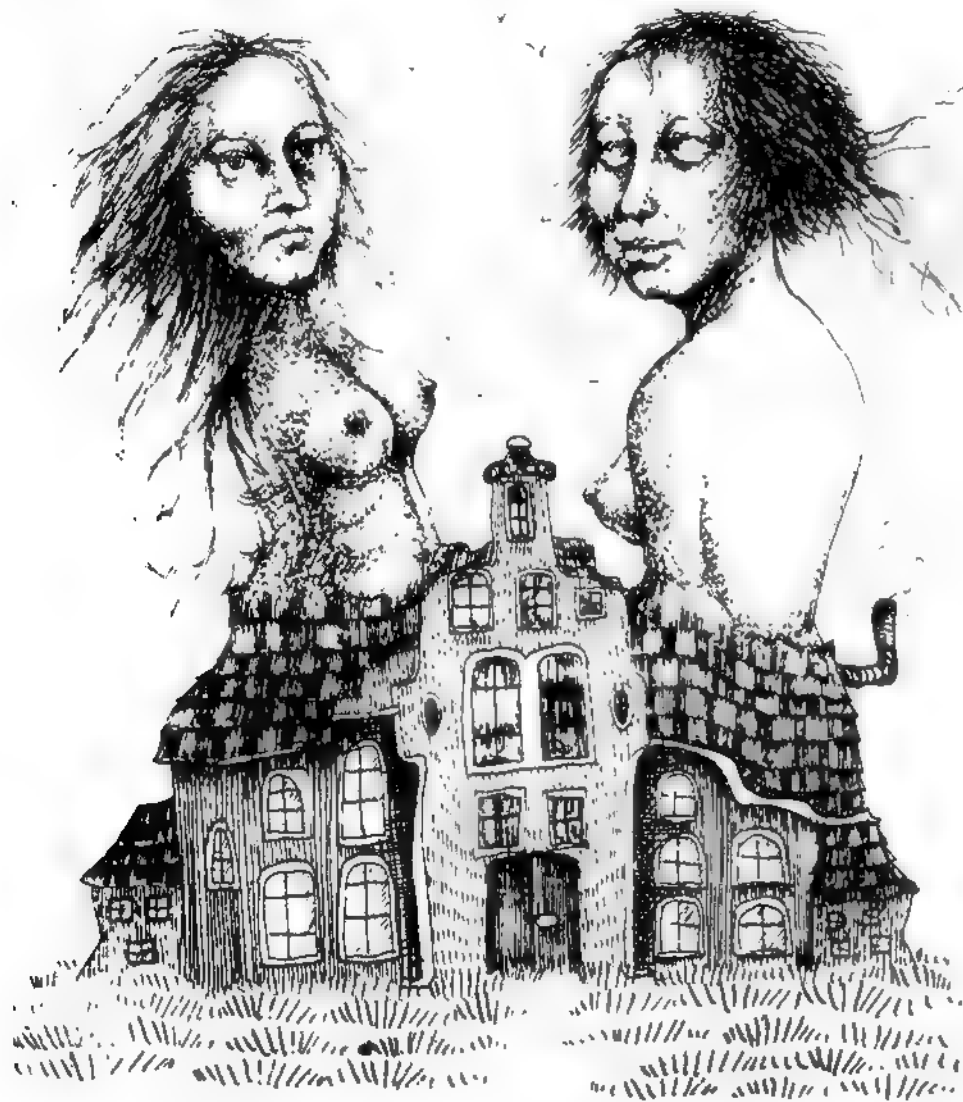
- Co takiego robił?

- Zapytał raczej, czego nie robił. Gotował, sprzątał, wysłuchiwał moich ciągłych narzekan na okrutne i niesprawiedliwe życie. Dał mi nawet pieniądze na całą szafę czarnych sukien. Znasz obrazy Edwarda Goreya?

- „Harfa Bez Strun”?

- Tak. Byłam jak ta czarna kobieta z Goreya, stojąca o zmierzchu w środku pola, wpatrzona w horyzont. Powiadam ci, był ze mnie niezły numer. Ponieważ nic nie mogło wyciągnąć mnie z depresji, ojciec zaczął pisać „Norne wysięgi”, bo już nie wiedział, co ma robić. Było to całkowite i zamierzone odejście od całej jego dotychczasowej twórczości. Główną bohaterką byłam ja, ale książka miała być połączeniem prawdy i fantazji. Ojciec opowiadał, że kiedy byłam mała i budziłam się w nocy z płaczem, zawsze na uspokojenie opowiadał mi bajki, więc postanowił i teraz napisać dla mnie bajkę, w nadziei, że skutek będzie podobny. Mój ojciec był cudownym człowiekiem.

M



- Pytam cie, czy lubisz pomidory - pani Fletcher wyprostowała się powoli i osłaniając dłonią oczy, popatrzyła na Kulfona i na mnie.

- Pomidory? Owszem, nawet bardzo

- A Marshall, wiesz, który Marshall - on ich nienawidził. Powiadał, że w dzieciństwie jego ojciec stale go zmuszał do jedzenia pomidorów, więc nie może na nie patrzeć. Nie jadł ani ketchupu, ani sosu pomidorowego - w ogóle nic z pomidorami

Wrzuciła narecze dorodnych czerwonych kul do drewnianej skrzynki, którą podsunęła jej Saxony.

Nagle zorientowałem się, że mam pierwsze zdanie i pomysł na cały pierwszy rozdział

Saxony weszła do sypialni w godzinie później, przejechała dłońmi po moich plecach, nachyliła się i zapytała, co robię. Chociaż był to gest absolutnie niepotrzebny i teatralny, nie przerywając pisania, wyrwałem z notesu pierwszą, zapisaną już stronę i podałem jej przez ramię.

- „Nie cierpiał pomidorów”. Czy to ma być początek twojej książki?

- Czytaj dalej - nie przestawałem pisać.

- „Nie cierpiał pomidorów. Kolekcjonował pocztówki ze zdjęciami stacji kolejowych. Imiona i nazwiska bohaterów swoich książek brał z małego cmentarza w stanie Missouri. Pisanie każdej kolejnej książki rozpoczynał od czarnej szkolnej tablicy w wilgotnym, piwnicznym pomieszczeniu. Przechowywał wszystkie skarby z dzieciństwa, a kiedy przeniósł się z Europy do Ameryki, przyjął nazwisko zmyślone przez siebie jeszcze w dzieciństwie postaci. W wolnych chwilach siadał za kasą w sklepie spożywczym...”

Saxony przerwała czytanie, a ja, po chwili ciszy głębokiej jak kanion, przestałem udawać, że pisze dalej.

- Widzisz, o co mi chodzi? Chcę wszystko załadować w jeden naboje i od razu wystrzelić w czytelnika. Niech łapią co chcą z pierwszego strzału, a ja w następnych rozdziałach wszystko powtórzę, starannie i pomalutku. Powiem to jeszcze Annie, ale dlaczego ten pierwszy rozdział nie miałby chwycić czytelnika za krawal i literalnie wciągnąć go w życie France'a? Przez cały czas unikamy jak ognia pewnego stwierdzenia, Sax. Zgadza się, oczywiście, co do tego że France był dziwnym dzieckiem, ale on przecież i jako mężczyzna był piekielnym dziwakiem! Idealny artysta-ekscentryk. Popatrz na jego dom, na to miasteczko, które uwielbiał, na książki, które pisał! Przez cały czas obchodziliśmy tę prawdę wielkim łukiem, bo sami przed sobą wzdrygał się przyznać, że nasz bohater jest dziwakiem. I to jakim dziwakiem!

- Ciekawe, co powie Anna na to, jak się wyrażasz o jej ojcu. Przecież ona sama, gdyby tylko dać jej cień szansy, wyniosłaby go na Olimp.

- Tak, wiem o tym, ale myślę, że jeżeli dobrze zrobię swoje, ona zrozumie, o co mi chodziło.

- Ejże, Sax, to przecież ty mówiłaś, że książka ma być wyłącznie moja!

- Dalej tak mówię.

- No więc tak właśnie chcę ją napisać. Teraz już wiem. Muszę ją napisać właśnie tak.

- Poczekaj, aż Anna to zobaczy.

- Dostę Sax, wolalby dla odmiany szczypte wsparcia moralnego, dobra?

Burza, na którą tak oczekiwałem, przyszła wreszcie i rozpanoszyła się na całego. Przez cały następny tydzień lało z małymi przerwami. Saxony wybrała się do biblioteki i wrocila z nareczem najstojniejszych książek dla dzieci. Podobno bibliotekarka kazała mi przekazać: „A nie mówiłam?”

Postanowiliśmy odnowić lekturę klasyki dziecięcej na wypadek ewentualnych podobieństw lub kontrastów z dziełem France'a.

„Hobbit”, „Lew, czarownica i stara szafa”, „Po drugiej stronie lustra”. Połowe dnia spędzaliśmy na lekturze, usadowieni na ganku w wilgotnych, wiklinowych fotelach pani Fletcher. Deszcz był łagodny i dobrotliwy, nadawał wszystkiemu barwę niebieskawą albo też połyskliwe zieloną.

Nasza gospodyni musiała zauważyć, że jesteśmy bardzo zajęci, bo prawie się nie pokazywała. Tak samo zresztą jak Anna, której nie widzieliśmy od czasu, kiedy dostarczyła nam pudła z pamiątkami France'a. Mówiła, żeby do niej zadzwonił w razie potrzeby, ale jakoś nie czułem takiej potrzeby.

Dni wypełnione lekturą, pisanem, deszczem, igraszkami z Saxony (która utrzymywała, że zła pogoda ją podnieca, w związku z czym nasze życie seksualne kwitło), miały błyskawicznie. Sam nie wiem kiedy przeczytałem „Chatkę Puchatka”, „Fistaszki”, „Władce Zielonej Rzeki”, i napisałem wstępny szkic rozdziału. Zajęło mi to nieco ponad dwa tygodnie. Uczuliśmy ten wieczór kolacją, na którą było pieczone kurczę i butelka Mateusa rosé, oraz „Pociągami przez Niemcy” w telewizji, który jest jednym z lepszych filmów mojego ojca.

Następnego dnia obudziłem się w tak świetnej formie, że wyskoczyłem z łóżka i wykonałem dwadzieścia pompek na podłodze. Po raz pierwszy od bardzo długiego czasu nie potrzebowałem mapy, żeby wiedzieć, dokąd zmierzam. To było cholernie przyjemne.

Po serii pompek podkradłem się do biurka i zapaliłem małą lampkę Tensora, którą zakupiłem w sklepie z artykułami gospodarstwa domowego Wade'a w miasteczku. Na biurku leżał tekst, Mój Tekst! Wiedziałem, że przerobie go jeszcze z dziesięć razy, ale to nie było ważne. Robiłem to, co chciałem, z kim chciałem i istniała możliwość, istniała taka możliwość, że Annie spodoba się to, co napisałem, a wtedy... O tym jeszcze nie chciałem myśleć. Najpierw skonczę, potem zobaczę.

Zza drzwi usłyszałem odgłos wejścia. Szpara poszerzyła się i do pokoju wkroczył Kulfon. Wskoczył na łóżko i położył się. Ostatnio regularnie dotrzymywał nam towarzysztwa w chwilach porannego dosypiania. Pani Fletcher wyznaczyła mu w holu starą, zniszczoną sofę, ale odkąd pojawiliśmy się w domu, Kulfon spędzał z nami coraz więcej czasu, dniem i nocą. Kłórejś nocy, kiedy właśnie mieliśmy się kochać, wskoczył na łóżko i lodowatym nosem przeciągnął po mojej gołej nodze. Walnąłem głową o kant łóżka i całe podniecenie diabli wzięli, gdzieś w pół drogi między złością a śmiechem.

Obejrzałem się przez ramię i stwierdziłem, że Kulfon znów uwalil się na piersi Saxony. Saxony śmiała się i próbowała go zepchnąć, ale nie z Kulfonem takie numery. Ani drgnął. Zamknął oczy. Przerwa obiadowa. Przeszedłem od biurka do łóżka.

- Piękna i Bestia, co? - Poklepałem psa po głowie. - Wilaj. Piękna.
- Bardzo śmieszne. Nie stoj tak. On mnie udusi!
- Może to erotoman i jego wytrawne psie pieszczoty?
- Tomasz, bądź tak dobry i zdejmij go ze mnie. Dziękuję bardzo.

Kiedy już się przeciągnąłem Kulfona na swoją stronę łóżka (jego łeb spoczął dokładnie na mojej poduszce), Saxony założyła ręce pod głowę i spojrzała na mnie.

- Wiesz, co myślę?
- Nie mam pojęcia, Petunio, wyznaj mi, o czym myślisz.
- Myślę, że kiedy już skończysz tę książkę, powinienś napisać biografie swojego ojca.
- Mojego ojca? Po co miałbym pisać o nim książkę?
- Uważam, że powinienś.

Przeniosła wzrok ze mnie na sufit.

- To jeszcze nie powód.

Jej wzrok powrócił do mnie.

- Naprawdę chcesz, żebym ci powiedziała?
- Jasne, że chce. Nigdy dotąd o tym nie wspominałaś.
- To prawda, ale ostatnio myślałam o tym, jak ważną rolę odgrywa on w twoim życiu, czy zdajesz sobie z tego sprawę, czy nie. Wiesz, jak często o nim mówisz? - uniosła rękę, żeby uniemożliwić mi komentarz. - Wiem, wiem, działał ci na nerwy, a w ogóle to prawie nigdy nie było go w domu. Zgoda. Ale on jest w tobie, Tomasz. Bardziej niż w jakimkolwiek znanym mi układzie ojciec-syn. Czy ci się to podoba, czy nie, odcisnął na tobie swoje piętno i dlatego uważam, że byłoby dla ciebie bardzo ważne, żebyś wkrótce usiadł i po prostu o nim napisał. Nieważne, czy to będzie biografia, czy tylko twoje wspomnienia...

Usadowiłem się na skraju łóżka plecami do niej.

- Ale co to da?
- Ja, widzisz, w wielu sprawach nie rozumiałam swojej matki. Już ci o niej mówiłam.
- Tak, mówiłaś, że potrafiła w każdym, z byle powodu, obudzić poczucie winy.

No właśnie. Az kiedyś ojciec powiedział mi, że jej matka popełniła samobójstwo. Nawet nie wiesz, ile mi to wyjaśniło. Ile rzeczy nagle nabrało sensu. Nie mogę powiedzieć, że nagle zaczęłam ją bardziej lubić, ale zobaczyłam zupełnie innego człowieka.

- I uważasz, że gdybyś pospierał w życiu swojego ojca, zyskałbyś większą jasność, co do łączącej nas zależności?

- Może tak, może nie. - Wyciągnęła rękę i położyła ją na mojej nodze. - Uważam, że za dużo jest spraw nie rozwiązanych, które każą ci go jednocześnie kochać i nienawidzić. Może gdybyś naprawdę zbadał, jaki on był, oczyściłoby ci to pas startowy. Rozumiesz, o co mi chodzi?

- Tak mi się zdaje. Nie wiem, Sax. Naprawdę nie chce teraz o tym myśleć. Na razie i bez tego mam kupa roboty.

- Dobra. Nie mówię przecież, żeby wszystko rzucił i zrobił to natychmiast, Tomasz. Nie zrozum mnie źle. Ja tylko uważam, że powinienś się nad tym zastanowić.

- Zastanowię się. Jasne.

kolor brązowy. Na stronach nie było dat. Zapis ciągły. Żadnych rysunków, żadnych ozdóbek. Tylko opisy Galen, Missouri. Galen od strony wschodniej, Galen od strony zachodniej, Galen ze wszystkich pozostałych stron świata. Każdy sklep, każda ulica, nazwiska ludzi, ich zawody, pokrewieństwa, imiona dzieci. Wiele z tych ludzi znałem osobiście.

Opis jednego elementu zajmował czasem dziesięć, dwanaście, stron. Linia brwi, barwa nikłego wąsika oceniającego usta kobiety.

Przerzucając kartki, zorientowałem się, że cały zeszyt jest taki. France sporządził szczegółowy inwentarz miasta - jeżeli coś takiego w ogóle jest możliwe. Podejrzliwie zerknałem na ostatnią stronę kołonoatnika. Na samym dole widniał napis. „Księga Druga”. Rozejrzałem się, szukając wzrokiem Anny. Wyglądała przez okno, odwrócona do mnie plecami.

- Ile jest takich ksiąg?

- Czterdzieści trzy.

- Wszystkie takie jak ta? Listy osób i przedmiotów?

- Tak, w „Pierwszej Serii” są tylko spisy osób i szczegóły przedmiotów.

- Jak to: w „Pierwszej Serii”?

W „Pierwszej Serii Galen”. Ojciec tak je nazywał. Wiedział, że zanim przystąpi do „Drugiej Serii”, musi sporządzić coś w rodzaju encyklopedii galenskiej. Samo miasto i wszystko, co było w mieście, tak jak on to widział. Skompletowanie tych danych zajęło mu przeszło dwa lata.

Odkładając zeszyty na kolana. W pokoju zrobiło się jeszcze zimniej, więc wyciągnąłem koszulę spod poduszki i ubrałem się.

- Czym jest wobec tego „Druga Seria”?

Anna mówiła dalej, jakby nie słyszała mojego pytania.

Przerwał pisanie „Nocnych wysigów w głąb Anny”, żeby poświęcić temu cały czas. Dawid Louis proponował mu przerobienie całych fragmentów „Wysigów”, ale dla ojca ta książka nic już wówczas nie znaczyła. Jedyny z niej pożytek, to odkrycie kołom.

- Chwileczkę, Anno, poczekaj. Zdaje się, że coś przegapiłem. Co mówiłaś o kołach? Skąd tu nagle jakies koty?

Bawiłem się srebrzystą, metalową spiralą kołonoatnika.

- Czytales „Nocne wysigów”, tę wersję którą mają mieszkańcy Galen?

- Tak, jak dłuższą.

- O osiemdziesiąt trzy strony. Pamiętasz, co się wydarzyło na ostatnich stronach naszego wydania? Ze wstydem przyznałem się, że nie pamiętam.

- Umiera stara pani Little. Ale przed śmiercią poleca swoim trzem kołom, żeby przeniosły się do jej najbliższej przyjaciółki, kiedy już ona sama zejdzie z tego świata.

Istotnie, coś takiego tam było.

Rzeczywiście! Potem stara umiera, a koty wychodzą z domu i maszerują wprost do jej przyjaciółki. Rozumieją wszystko, co się stało.

Deszcz bębnił o dach. Na zewnątrz zapaliła się latarnia i widziałem, jak deszcz smaga snop jej światła.

Ojciec napisał tę scenę w dniu śmierci Doroty Lee - Anna urwała i popatrzyła na mnie. - W książce zmienił nazwisko Doroty z Lee na Little. Dorota Little.

Anna znów umilkła. Czekalem na dalszy ciąg, ale cisze zapełnił tylko deszcz.

- Napisał tę scenę w dniu jej śmierci? A to ci dopiero zbieg okoliczności!

- Nie, Tomasz. Mój ojciec napisał jej śmierć.

Dłonie mi skostniały. Deszcz ciał ulicę ukosnymi strugami.

- Napisał jej śmierć, a w godzinę później przyszyły koty, żeby nas zawiadomic o śmierci swojej pani - dokładnie tak, jak ojciec to napisał. W ten sposób dokonał swojego odkrycia. Usłyszałam koty i otworzyłam drzwi. Stały na dolnym stopniu ganku, a światło z holu odbijało się w ich ślepiach, nadając im barwę płynnego złota. Wiedziałam, jak ojciec nie cierpi kołom, więc próbowałam je odpędzić, ale się nie dawały. Przerwicznie, zaczęły tak głośno pisać i miauczeć, że ojciec zszedł na dół z gabinetu, ciekaw, co to za hałas. Zobaczył koty w żalobie, z pionącymi ślepiami i w jednej chwili pojął wszystko. Usiadł na schodach i zapłakał, ponieważ wiedział, że to on zabił Dorotę Lee. Siedział na tych schodach, a koty wlażyły mu na kolana.

Przycupniety na skraju krzesła, rozcierałem ręce dla rozgrzewki. Na dworze zerwał się wiatr, który targał drzwiami i miotał deszczem. Po chwili ustał, równie nagle jak się zaczął. Wolalbym nie rozumieć tego, co mówiła Anna, ale niestety, rozumiałem. Marshall France odkrył, że co napisał - to się działo - było - stawało się. Ot tak.

zdecydowanie zenski. W tym stworzeniu istotnie tkwiła kobieta. Czy był to karzeł, czy bullterier – głos miał kobiecy. Donośny i wyraźny.

Powiedz mu, jak się naprawdę nazywał Kulfon.

Pies przymknął oczy i westchnął, jakby go coś zabiło.

– Gert Inkler. To był mój mąż.

O rany! Facet z albumu o dworcach kolejowych! Ten, który chciał obejść świat dookoła!

Należy pamiętać, że rozmawiałem z psem.

– Czy ja oszalałem? Rozmawiam z pieprzonym psem!

– Nie jestem psem! Chwilowo tak, ale to się zmieni, jeszcze dzisiaj. Dzisiaj koniec! Koniec! Na zawsze!

Pancia wyraźnie była na mnie obrażona. Jej pysk co prawda nie zmienił wyrazu, ale głos stał się o ton wyższy, bardziej żaczepny. Nie warto pytać, co się działo w mojej głowie, bo i tak nie byłbym w stanie tego opisać. Siedziałem goły w łozku Anny France i rozmawiałem z bullterierem, który oświadczał, że od dzisiaj przestaje być bullterierem.

– Wilmo, wyjdź teraz na chwilę i daj nam pomówić. Zawołam cie, jak będzie trzeba.

Patrzyłem za odchodzącym psem. Czulem się, jakby w mojej głowie rozwijał się kłebek przedzy. Myślałem, że kiedy wstane, zakreśli mi się w głowie, ale jakoś się nie zakreśliło.

– Czy już wszystko rozumiesz, Tomaszu?

Usiadłem z powrotem na łozku, doszczętnie pokonany. W ubieraniu doszedłem zaledwie do białych slipów.

– Co rozumiem, Anno? Że macie tutaj gadające psy? Nie rozumiem. Że wiedziałas z góry, że chłopiec umrze? Nie rozumiem. Że miejscowi świętują przejechanie psa przez samochód? Nie rozumiem. Czy masz dalsze pytania? Na nie również odpowiedź brzmi – „Nie”.

– Skąd wiesz o Kulfonie?

– Rozmawiał ze mną tuż przed śmiercią. Przypadkiem. Zaskoczyłem go podczas drzemki. Gadał przez sen.

– Boisz się?

– Tak. Gdzie moje spodnie?

– Nie wyglądasz na przestraszonego.

– Gdybym w tej chwili przestał się ruszać, dostałbym ataku epilepsji. Gdzie moje pleprzone portki?!

Wyskoczyłem z łozka i latałem po pokoju jak wariat. Bałem się jak cholera, byłem smiertelnie wyczerpany pieprzeniem Anny i dreczyła mnie potworna ciekawość.

Anna złapała mnie za nogę i przyciągnęła do siebie.

– Czy mam ci wszystko wyjaśnić?

– Co mi chcesz wyjaśnić, Anno? Pusc mnie, dobrze? Co tu jest do wyjaśniania?

– Galen. Mój ojciec. Wszystko.

– Czy to znaczy, że dotychczas nic, co mi mówiłaś, nie było prawdą? To fantastyczna wiadomość. Gdzie moja koszula, do cholery?!

– Uspokój się, Tomaszu. Wszystko, co wiesz, jest prawdą, a raczej częścią prawdy. Proszę cię, przestań chodzić w kołko. Chcę ci wszystko powiedzieć. To ważne!

Zobaczyłem róg koszuli wystający spod poduszki, a w głosie Anny było tyle siły i stanowczości, że nie sięgnąłem po koszulę. Koło łozka stało wiekowe krzesło z bocznymi oparciami. Usiadłem w nim. Nie chciałem, żeby Anna mnie dotykała, kiedy będzie mówiła to, co ma mi do powiedzenia – cokolwiek to będzie. Popatrzyłem na swoje białe stopy i poczułem, jak zimna, drewniana podłoga wspina się na mnie przez piety. Nie chciałem patrzeć na Annę. Nie byłem pewien, czy jeszcze kiedykolwiek będę w stanie na nią patrzeć.

Z zewnątrz dał się słyszeć klakson samochodu. Może to Ryszard Lee przyjechał, żeby nam dotrzymać towarzysztwa. Ciekaw byłem, co w tej chwili robi Saxony.

Anna podeszła do szafy, która od początku przypominała mi żelazną dziewczę. Otworzyła jedno skrzydło i nachyliła się do środka. Spojrzałem na nią otwartym tylko do momentu, kiedy się upewniłem, że nie może mnie zobaczyć. Anna przerzucała ubrania i buty. W pewnym momencie z szafki wyfrunął sandał, a tuż za nim gruby drewniany wieszak. Po dłuższej chwili Anna wyłoniła się z chaosu trzymając dużą, metalową skrzynkę wielkości przenosnej maszyny do pisania. Otworzyła wieko i wyjęła niebieski kolo-notatnik. Postawiła skrzynkę na podłodze i przerzuciła pierwsze kartki zeszytu.

– Tak, to ten – przyjrzała się zeszytowi raz jeszcze, po czym podała go mi. – Strony są ponumerowane. Zaczynaj czytać około czterdziestej.

Zacząłem czytać. Pismo było to samo: fantazyjna, wydłużona, ukośna kursywa. Atrament spłowił na

Kulfon wsadził nos w zagłębienie jej szyi, co w przyspieszonym tempie wygoniło Saxony z łozka. Byłem zadowolony, że rozmowa na tym się skończyła.

Wyszło słońce, więc po śniadaniu postanowiliśmy przejść się po mieście. Pora była wczesna i wszyscy od rosy i wspomnienia po deszczu błyszczą jak mokre szkło. Zdążyliśmy już poznać kilka osób – właścicieli sklepów, i nie tylko – którzy machali do nas, kiedy nas mijali samochodami. To była kolejna zaleta życia w małym miasteczku. Za mało było tu ludzi, żeby ktokolwiek mógł sobie pozwolić na luksus ignorowania bliźniego. Zawsze przecież istniała możliwość, że przyjdzie mu kupować kapuste u tego, kogo obraził, albo nająć go do naprawy samochodu jeszcze tego samego dnia.

Zbliżając się do biblioteki, zauważyliśmy, że po przeciwnej stronie ulicy zbliża się do nas moja przyjaciółka „Aniemówiłam”. Szła chyba otworzyć bibliotekę.

– Nareszcie mam pana, panie pustelniku! Chwileczkę. Niech przejdę przez jezdnię.

Rozejrzała się na obie strony tak uważnie, jakby miała przekroczyć autostradę San Diego. Ulicą przejechała Toyota, prowadzona przez kobietę, którą często widywałem w miasteczku, ale której właściwie nie znałem. Ona też nam pomachała.

– Mam dla pana jeszcze parę książek, panie Abbey. Jest pan na nie przygotowany?

Róż na jej policzkach działał na mnie, nie wiedzieć czemu, przygnębiająco.

– Tomasz jeszcze nie skończył czytać „O czym szumią wierzy”, pani Ameden. Jak tylko dojdzie do końca, odniosę cały poprzedni transport i wezmę nowy.

– Nigdy nie przepadałam za „O czym szumią wierzy”. Jak można uczynić główną postacią coś tak obmierzłego jak żaba?

Zatkało mnie. Bibliotekarka zmierzyła mnie surowym wzrokiem i pokręciła niebieskawosiwą głową.

– Nie ma co się oszukiwać, taka jest prawda. Żaby, małe ludziki z włochatymi nogami, jak ten cały hobbit. Wiesz, co Marshall mówił na ten temat? „Najgorszą rzeczą – mawiał – jaka może spotkać człowieka w bajce to zostać zamienionym w zwierzę. Za to największą nagrodą dla zwierzęcia jest zamiana w człowieka”. Całkowicie podzielałam ten pogląd. Ale mniejsza o to, nie pozwalajcie mi tyle gadać. Jak tam pańska książka?

Im dłużej z nią rozmawiałymy, tym silniejsze odnosiłem wrażenie, że w tym miasteczku wszyscy wszystko o wszystkich wiedzą. Bibliotekarka wiedziała o testowym rozdziale, o tym, jak obficie córka France’a uraczyła nas materiałami i o nieprzekraczalnym terminie jednego miesiąca. Tylko skąd? Naturalnie, że podobnie jak Anna, wszyscy mieszkańcy miasteczka czuli się na swój sposób uprawnieni do France’a, skoro spędził wśród nich taki kawał życia, ale czy Anna z tego tylko powodu ze wszystkiego im się zwierzała, czy też był jakiś inny, mniej oczywisty powód ich wiedzy?

W wyobraźni zobaczyłem przez moment taką scenę: Anna, naga, przytroczona rzemieniami do słupa w czyjejs piwnicznej bawialni i ćwiczona batem tak długo, aż zdradzi otaczającym ją beznamiętnym twarzą Galeńczyków wszystko, co chcą wiedzieć o Saxony i o mnie.

– Pocztówki ze stacjami też mu dawałaś?

– Nie, nigdy! Aaa, tak, tak, dałam mu wszystko!

I wtedy (scena ta sarha!) drzwi z desek pękają z hukiem i wpadam ja, kręcąc oburącz młynka dwoma lancuchami a la Bruce Lee Karate Mistrz.

– ...do domu?

– Tomasz!

Ocknąłem się i zobaczyłem dwie kobiety wyraźnie oczekujące ode mnie odpowiedzi. Saxony dźgała mnie w bok jak sztyltem i z całej siły szczypała pod pachą.

– Przepraszam. Nie dosłyszałem pytania.

– Od razu widać, że to pisarz. Głowa w chmurach. Całkiem jak Marshall. Słyszał pan, że Anna na parę lat przed śmiercią ojca odebrała mu kluczyki do samochodu? Bez przerwy wpadał na drzewa. Marzyciel, ot co. Zwyczajny marzyciel.

Każdy tu znał co najmniej tuzin anegdotek na temat France’a. Marshall za kierownicą, Marshall przy kasie w sklepie, Marshall i jego nienawist do pomidorów. Był to istotny raj dla biografa, ale zacząłem się zastanawiać, dlaczego oni aż tak bardzo zwracali na niego uwagę i dlaczego tak gęsto się między sobą kontaktowali. Wciąż przypominał mi się Faulkner i jego Oxford w stanie Mississippi. Z tego co czytałem, wszyscy w miasteczku znali go i byli dumni, że tam mieszkał, ale nie było to dla nich żadne wielkie halo – Faulkner był po prostu ich słynnym pisarzem. A tutejsi mówili o Marshallu Fransie jak o miniaturze Boga, jakby wszyscy byli jego sługami, albo – co najmniej – jakby dla każdego był najukochańszym bratem z licznej rodziny.

Postanowiliśmy na razie nie korzystać z biblioteki, a zamiast tego odbyć spacer po mieście, bo po pierwsze nie byłem tego ranka w nastroju do oglądania jakichkolwiek książek, a po drugie paru miejsc nie odwiedzałem od kilku dni.

Wycieczka szlakiem Tomasza Abbeya rozpoczynała się od dworca autobusowego, z oblażonymi białymi ławkami parkowymi na zewnątrz i rozkładami jazdy autobusów wywieszonymi dokładnie za ławkami, tak że trzeba było niemal wejść na kolana siedzącemu tam człowiekowi, żeby odczytać, o której przyjeżdża autobus popieszywszy do St. Louis. Za małym pleksiglasowym okienkiem siedziała gruba, niebrydka kobieta i sprzedawała bilety. Ilez to filmow zaczyna się od ujęcia przyproszonej kurczem stacji autobusowej w zabitej deskami mieście? Autobus Greyhounda sunie wolno główną ulicą, zatrzymuje się koło kawiarenki „Nick i Bonnie” albo przy tablicy dworcowej z napisem „Taylor”. Nad przednią szybą, gdzie pas szkła ma kolor zielony, tkwi tablica z informacją, że ten konkretny wóz jedzie do Houston albo do Los Angeles. Ale po drodze staje ni stąd, ni zowąd w miasteczku Taylor, stan Kansas (Czytaj: Galen, Missouri) i widzę, oczywiście, chciałby wiedzieć dlaczego. Przednie drzwi otwierają się z cichym sykem i z autobusu wysiada Spencer Tracy albo John Garfield. Może mieć w ręku sponiewieraną walizkę i wyglądać jak włościan albo może być wystrojony w zabójcze, miastowe ciuchy. Tak czy owak, nie ma żadnego widocznego powodu, żeby wysiadał właśnie tutaj.

Moim ulubionym miejscem numer dwa był sklep z koszmarami, zaledwie kilka kroków od dworca autobusowego. Wewnątrz stały setki gotowych do straszenia statuetek z gipsu. Apollo, Wenus, Dawid Michał Anioła, Laurel i Hardy, Charlie Chaplin, dokoje ze szpicrutami w wyciągniętych rekach. Wiece bożonarodzeniowe czekały na klientów ustawione w karne szeregi. Właścicielem sklepiku był Włoch, który bez przerwy produkował towar na zapleczu i z rzadka tylko wychodził stamtąd, kiedy usłyszał, że ktoś buszuje po sklepie. Przez cały czas pobytu w Galen, zaledwie dwa czy trzy razy oglądałem jego dzieła w domach i ogródkach tutejszych mieszkańców, zakładałem jednak, że czerpie z nich dostateczne zyski, skoro jakos utrzymuje się przy życiu. Najbardziej niesamowita była nieskazitelna biel wszystkich przedmiotów. Wejście do sklepiku było jak wstąpienie w chmurę, tyle że chmury przybierały tu postać Johna F. Kennedy’ego albo ukrzyżowanego Chrystusa. Saxony nienawidziła kantorki i zawsze kiedy go odwiedzałem, szła do pobliskiego sklepu, żeby sprawdzić, czy nie ma przypadkiem jakichś nowych książek w tanich wydaniach. Dałem sobie słowo, że przed wyjazdem z Galen kupię coś u Włocha, chociażby przez wzgląd na to, że tyle godzin przesiadałem w jego sklepiku. Nigdy nie spotkałem tam żadnego innego klienta.

- Aaa, to pan Abbey! Miałem nadzieję, że pan się wkrótce zjawi. Mam coś specjalnie dla pana. Proszę zaszukać.

Zniknął na zaplecze, a po chwili wyłonił się stamtąd z przepiękną małą statuettą Lady Oliwy, która - w przeciwieństwie do reszty dzieł - została pomalowana dokładnie według ilustracji w książce.

- Fantastyczna! Wspaniała! Skąd pan?

- Nie, nie, proszę mi nie dziękować, to była praca zlecona. Anna wstąpiła do mnie tydzień temu i kazała zrobić dla pana ten drobiazg. Jeżeli koniecznie chce pan komuś dziękować, to Annie.

Przebiegle wsunąłem statuettę do kieszeni i postanowiłem na razie nie pokazywać jej Sax. Nie byłem w nastroju do brzemiennej dyskusji. Miałem jeszcze parę minut do umówionego spotkania z Saxony w jej sklepie, więc skoczyłem do budki telefonicznej i wykreśliłem numer Anny.

- France, słucham? - Jej głos zabrzmiał jak uderzenie młotem w kowadło.

- Anna? Mówi Tomasz Abbey. Jak się masz?

- Cześć, Tomasz. Mam się doskonale. A co u ciebie? Jak tam książka?

- Dobrze, w porządku. Skonczyłem wstępny szkic rozdziału i wydaje mi się, że wyszło jak należy.

- Moje gratulacje! Pan Tomasz Wspaniały! Zdążyłeś grubo przed czasem. Dużo niespodzianek?

W jednej sekundzie ton jej głosu przeszedł z szorstkiego w łagodny.

- Tak... sam nie wiem. Chyba tak. Słuchaj, byłem właśnie u Marrone’a i dostałem od niego twoją prezent. Jest wspaniały. Miałas fantastyczny pomysł. Jestem głęboko wzruszony.

- A co na to Saxony? - głos Anny był z powrotem zimny i wyniosły.

- Hmm, jak by ci to powiedzieć, jeszcze jej nie pokazałem.

Właśnie tego byłem ciekawy. Ale przecież możesz jej powiedzieć, że jest to prezent dla was obojga. Powiedz jej, że to mała premia za skończenie rozdziału. Za to się chyba na ciebie nie pogniewa, co?

- Ale dlaczego miałbym tak mówić? Przecież to prezent dla mnie od ciebie?

- Tak, to prawda, ale nie zrozum mnie źle - jej głos zamarł i zawisł gdzieś w przestrzeni, nie wyjaśniając niczego.

- No więc, jeżeli to jest prezent od ciebie, to nie mam zamiaru z nikim się nim dzielić.

Uświadomiłem sobie, że jestem rozdrażniony.

Nic z tego nie rozumiałem, ale zaraz przypomniał mi się pewien kawalek z „Krainy Chichów”, w którym Lady Oliwa poucza jedno ze swoich dzieci:

Pytania są niebezpieczne,

Nie ruszaj ich, będą spały.

Zapytasz - zbudzisz, i znacznie więcej

Niż myślisz pytan powstanie.

- Tomasz? Jesteś łam? Co się stało?

Zobaczyłem wylewające się z kuchni żółte światło i usłyszałem przenośne radio Saxony, które brzęczało nowym rockowym przebojem, nadawanym wówczas bez przerwy. Saxony nazywała ten utwór „Piosnią Na Cześć Chińskiej Tortury Wody”.

Kiedy wszedłem do kuchni, podniosła wzrok znad rzeźby i wzruszyła ramionami.

- No i co tam się stało?

Rozdział IV

- Anno?

Odgarnęła włosy z czoła i podłożyła jedno nagie ramię pod głowę.

- Słucham.

- Słyszalas o psie pani Fletcher?

Patrzyłem na jej piersi.

Owszem, słyszałem, że wczoraj w nocy przejechał go samochód. To przykre, prawda?

W jej głosie nie było jednak wiele smutku. Sam nie wiedziałem, czy chciałbym widzieć jej minę, kiedy zadam następne pytanie. Pokój był mroczny i pełen cieni. Pachniał seksem i starymi drewnianymi meblami wystawionymi na zimowe chłody. Pierwszy raz uprzytomniłem sobie ten zapach, a także fakt, że za nim nie przepadam.

- Byłem przy tym, jak pani Fletcher otrzymała wiadomość - dwoma palcami prawej ręki zacząłem bebnąć po kocu, który okrywał nas od pasa w dół.

Mhm?

- Mówię, że byłem przy tym, jak pani Fletcher otrzymała wiadomość. Wiesz, co zrobiła?

Anna bez pośpiechu odwróciła twarz w moją stronę.

- No, co takiego zrobiła, Tomasz?

Śmiała się. Była zachwycona. Zachowywała się, jakby od lat nie słyszała równie dobrej wiadomości.

- To stara wariatka, Tomasz.

- Tak, wiem, stale mi to powtarzasz. Ale Karolina Cort nie jest wariatką, prawda?

Karolina Cort? Skąd ty ją znasz? - sądząc po głosie, Anna nie była zadowolona.

To ona przyszła do nas z wiadomością dla pani Fletcher. Też się cieszyła. Pocałowała mnie na pożegnanie - pociągnęłam koc ku sobie.

- Żeby je pokreślić!

Anna usiadła w łóżku i sięgnęła po koszulkę i dzinsy, leżące na podłodze po jej stronie. Nie wiedziałem, czy mam się wynosić, czy zostać. Kiedy Anna wpadła w złość, lepiej było usunąć się jej z drogi.

W dwie minuty była ubrana. Stała koło łóżka z rekami na biodrach i wpatrywała się we mnie z wściekłością. Przez chwilę miałem wrażenie, że mnie uderzy.

Pancia! - świdrując mnie oczami, ryknęła na psa całkiem nie swoim głosem. - Pancia, chodź tutaj!

Czekając na Pancię, mierzylismy się wyrokiem. Usłyszałem stukot pazurów po drewnianych schodach, a potem tupotanie psich łap po chodniku w holu. Anna podeszła do drzwi sypialni i otworzyła je. Pancia wdreptała do środka, obrzuciła mnie lekceważącym spojrzeniem, przysiadła na stopie Anny i oparła się o jej nogę.

- Pancia, powiedz Tomaszowi, kim jesteś.

Pies spojrział na nią z kamiennym pyskiem.

- Masz mu powiedzieć! Już można, już czas. Musimy mu powiedzieć.

Pies zaskowytał i wciągnął łeb między barki. Wystawił łapę jak do uścisku dłoni.

- Powiedz mu!

- Wil-Wilma Inker

Ostrożnie przesunąłem się na skraj łóżka. Głos był identyczny jak wtedy głos Kulfona: przypominał głos Karla, z tym, że w przypadku Panci był jeszcze bardziej makabryczny, czy też perwersyjny, bo

Saxon dłużej w kuchni przy marionetce, a ja wypisywałem na maszynie notatki do Rozdziału Trzeciego, kiedy rozległ się dzwonek u drzwi. Zawolałem, że ja otworzę, ale zanim wstałem z krzesła, wystukałem jeszcze jedną literę.

Na ganku, pod nieosłoniętą, górną żarówką, stała ładna młoda dziewczyna, której jeszcze nigdy nie widziałem. Promieniała z radości

- Dobry wieczór, panie Abbey. Jest pani Fletcher?

- Pani Fletcher? Chyba jest.

Drzwi na górze były zamknięte. Wdrapałem się na schody i zapukałem. Pani Fletcher wyszła w szlafroku i w kapciach.

- Cześć, Tom. Co się stało? Oglądam Kojaka.

- Jakaś dziewczyna jest na dole, chce się z panią widzieć.

- W środku nocy?

- Tak. Czeka przy wejściu.

- W taką pogodę? Poczekaj, wezmę cię pod rekę, bo inaczej nogi sobie połamię na tych schodach.

Kiedy zeszliśmy na dół, dziewczyna stała dokładnie w tym samym miejscu co przedtem.

Karolina Cort! Co cię do mnie sprowadza o tej porze? - pani Fletcher pogrzebala gorączkowo w kieszeniach szlafrocka i triumfalnie wydobyla zniszczone etui na okulary z różowej skóry. Zakładając filigranowe oprawki za uszy, zrobiła krok do przodu. - No, co tam takiego?

Karolina Cort uśmiechnęła się, wyciągnęła rękę i dotknęła łokcia starej kobiety. Patrzyła to na panią Fletcher, to na mnie

Przez moment zląkłem się, że może być Świadczenioką Jehowy albo oredowniczką Jezusa, która przychodzi w środku nocy z intencją nawracania grzeszników.

Nie uwierz pani, pani Fletcher. Kulfon zabity, przed chwilą! Potracony we mgle przez samochód!

Zamknąłem oczy i potarłem podbródek. Poczulem, jak mgła podchodzi mi do nosa, o mało się nie zakrzyknąłem. Z zamkniętymi oczami usłyszałem głos pani Fletcher. Przenikliwy i rozentuzjasmowany

- Ktorego dzisiaj mamy? Czy to się zgadza, Karolino? Już nie pamiętam.

Usłyszałem nerwowy chichot i otworzyłem oczy. Karolina energicznie kiwała głową i uśmiechała się od ucha do ucha.

- Co do joly, Gaseczko! Jest dwudziesty czwarty października!

Spojrzałem na panią Fletcher. Też się szczerzyła, nie mniej niż Karolina. Zakrywała usta dłonią. Uśmiech wymknął się jednak spod jej dłoni i rosi dalej.

- Kto to zrobił, Karolino?

- Sam Dorris! Dokładnie tak, jak miało być!

- Dzięki Bogu!

- Tak. A Timmy Benjamin grał z braćmi w futbol i złamał sobie palec!

- Mały palec? Złamał mały palec? - pani Fletcher wczepiła się w rekaw Karoliny.

Wpadły w ekstazę. Obejmowały się i całowały, jakby właśnie odtrąbiono koniec wojny. Pani Fletcher spoglądała na mnie oczami pełnymi łez. Nie mogłem się w tym wszystkim połapać

- To na pewno dzięki tobie, Tom. Wszystko idzie teraz jak należy.

Promieniała. Zabili jej psa, a ona nie posiadała się ze szczęścia.

- Czy mogę pana pocałować, panie Abbey? Nie ma pani nic przeciwko temu?

Karolina cmoknęła mnie gorąco w policzek, odwinęła się i poleciała z powrotem w mgłę. Sam nie wiedziałem, gdzie jest bardziej niesamowicie - w domu, czy na dworze.

Pani Fletcher jeszcze raz obrzuciła mnie uszczęśliwionym spojrzeniem.

- Odkąd się wzięłaś za tę książkę, Tom, wszystko zaczęło iść tak, jak powinno. Anna dobrze wiedziała, co robi, mój synu.

Ujęła moją dłoń w obie ręce.

- A Kulfon, pani Fletcher? Przejechali go. Nie żyje

- Wiem o tym. Zobaczymy się rano, Tom.

Weszła na górę, pomachała mi ze szczytu schodów, po czym zamknęła drzwi, odgradzając swój świat od naszego.

Wróciłem do naszego apartamentu i cicho zamknąłem za sobą drzwi. Kulfon zabity. Pies, który do mnie mówił, został zabity. To fatalne (albo świetne, zależy od punktu widzenia), ale ta radość na twarzach obu kobiet, kiedy Karolina przyniosła wiadomość...



- Przecież tak naprawdę wcale byś się nie dzielił. My dwoje przecież wiedzielibyśmy...
Rozmowa przerodziła się w autentyczną kłótnię. Mówiąc uczciwie, poczułem się rozczarowany. Otrzymałem prezentu spowodowało mnie do mimowolnego snucia fantazji na temat tego, co mnie może spotkać z Anną, a jej lekki ton podział na mnie jak zimny prysznic. Zresztą, nie wiem, o co chodziło. Na koniec Anna oświadczyła, że Pańcia ma wyznaczone szczepienie u weterynarza i szybko zakończyła rozmowę. Zegnając mnie, powtórzyła jeszcze raz, że gdybyśmy czegoś potrzebowali, ona chętnie służy pomocą – i już jej nie było. Odwiesiłem słuchawkę, ale przedtem jeszcze przez chwilę trzymałem na niej rękę. Co ja, u diabła, wyprawiam? Nie dalej jak rano cieszyłem się, że moje życie tak się przyjemnie poukładało, a nie minęły dwie godziny i ciskam słuchawkę telefoniczną, bo nie mogę się dostać do Anny France.

Opuściłem budkę i zgnębiony podreptałem do sklepu, w którym miałem się spotkać z Saxony.
- Hej, Sax, jak tam? Co porabiasz?
- Tomasz! To ma być niespodzianka!
Człowiek zza lady stanął przed nią i uśmiechnął się do mnie wyrozumiale. W rękę trzymał kilka fiolek z tuszem do rzęs.

- Od kiedy się malujesz, Sax?
- Na razie tylko próbuję, nie denerwuj się.
Chciałem jej powiedzieć, że jej oczy podobają mi się tak jak są, ale nie zamierzałem wypaść w oczach sprzedawcy jak postać z „Mojej małej Margie”. Sprzedawca nosił na karku małą plakietkę z nazwiskiem: Melvin Parker. Przypominał domokrażnego misjonarza, który chodzi od drzwi do drzwi głosząc ewangelię.

Coś stuknęło za naszymi plecami. Odwróciłem się i ujrzałem Ryszarda Lee, który jednym głośnym haustem opróżnił ćwierćlitrową butelkę coca-coli.

Siemasz, Mel. Siemasz, Abbey Witam – to ostatnie przeznaczone było dla Saxony. Powiedział to z taką galanterią, że miałem wrażenie, iż za chwilę zasalutuje w daszek od czapki baseballowej. Poczułem lekkie ukłucie zazdrości.

- Mel, chodź no tu do mnie na chwileczkę.
Sprzedawca podszedł do stoiska z szyldem „Recepty”, a Lee dołączył do niego. Mel sięgnął pod ladę i wydobyl gigantyczne, czerwono-białe pudło niepowiekanych kondomów „Trojanin”. Lee ani słowem nie wspominał, po co przyszedł.

Nie chcę się pysznić, ale „Trojan” można było przechowywać w portfelu i po trzy lata, kiedy się miało lat dwanaście czy trzynaście, z uwagi na ich niebywałą trwałość i grubość gumy. Krążył nawet taki dowcip, że żeby przebić „Trojanina”, trzeba przejechać po nim ciężarówką. Istotnie, były bardzo mocne, ale kiedy przychodziła magiczna chwila i powód do ich zastosowania, cała przyjemność przypominała kopulację z zeppelinem na interesie.

Lee nachylił się do Parkera i długo mu coś szeptał do ucha. Starałem się nie zwracać na nich uwagi, ale miałem do wyboru albo tych dwóch, albo rzęsy Saxony w lustrze po przeciwnej stronie.

A teraz niech no tylko znajdzie te zafajdane kluczyki, to zabiorę cię na przejażdżkę moim buldożerem!

Uznałem, że musi to być puenta swinskiego dowcipu, bo Lee ryknął, jakby mu komar wleciał do rozporka.

Pośmiali się obaj serdecznie, chociaż śmiech Ryszarda Lee był bardziej wymuszony i trwał dłużej niż śmiech Parkera.

„Trojanie” zniknęli w brązowej papierowej torbie i zostali opłaćeni brudnym banknotem dwudziestodolarowym.

Upychając torbę pod pachą, Lee odebrał resztę i zwrócił się do mnie. Mam paskudny zwyczaj oceniania ludzi już przy pierwszym spotkaniu. Niestety, bardzo często się mylę. Ale jestem przy tym konsekwentny i jeżeli ktoś nie spodoba mi się od pierwszego wejrzenia – nawet jeżeli jest to anioł w przebraniu – trzeba dużo czasu, żebym dostrzegł swój błąd i zmienił stosunek do człowieka. Ryszarda Lee nie polubiłem. Wyglądał na takiego, co całymi dniami parady w samych gaciach, a kąpiel bierze co drugi czwartek. W kąciach oczu zauważyłem u niego grudki ropy, a w takich przypadkach zawsze mnie korci, żeby je powycierać. Tak samo jak zawsze mam ochotę zdjąć z brody właściciela niezauważony okruc.

- Słyszałem, że Anna pozwoliła panu pisać książkę. Moje gratulacje.
Moje serce nieco zmieknęło, kiedy Ryszard wyciągnął wielką grabę, ale natychmiast znowu stwardniało, bo zobaczyłem, że szczerzy się bezwstydnie do Saxony.

- Może byście do mnie zajrzeli dziś wieczorem? Pokazałbym wam zdjęcia matki i takie tam. Wpadnijcie na kolację. Myślę, że starczy dla wszystkich.

Na nocy na stoliku leżały wspomnienia o Jamesie Jonesie – pióra Willie Morris, przed szafą stały moje zapasowe tenisówki, czarne, na łóżku leżał pies.

- Tomasz. Tak. Tomasz.
Pisałem histerycznie. Nie podskoczyłem, kiedy wymówił moje imię, ale prąd przeszył mi kregosłup i w tej samej chwili zaskowityłem.

Biała kupa zakołowała się, szczerknęła parę razy i pies stanął w pościeli, patrząc mi w oczy jakby nigdy nic i merdając przy tym ogonem. Wyglądał zupełnie jak stary, głupi Kulfon.

- Słyszałem cię!
Mimo całego przerażenia, czułem się jak idjota przemawiając do niego w ten sposób. Kulfon dalej w najlepsze merdał białym pejszem ogona. Zwołał na moment, kiedy do niego mówiłem, ale natychmiast wrócił do tempa szybkiej wycieraczki samochodowej.

- Kulfon, nie rób ze mnie durnia. Mówię ci, że wszystko słyszałem.
Co ja wyrabiam? – pomyślałem jednocześnie. Kulfon bezbłędnie odegrał rolę „brzydkiego pieska” wziął ogon pod siebie i stulił uszy.

- Do cholery, psie! Wszystko słyszałem! Nie rób jaja! Słyszałem, jak gadales „Oddychać przez sierść”...

Urwałem w pół zdania, bo Kulfon zrobił coś dziwnego. Przymknął na dłużej oczy i przysiadł na tylnych łapach, jak zaba, z miną kompletnie zrezygnowaną.

- No? Jak tam? Powiesz coś jeszcze? No, gadaj! Nie udawaj Greka!
Słowo daje, sam nie wiedziałem, co mówię. Kulfon otworzył oczy i spojrzał prosto na mnie.
- Wracają – powiedział – Zaraz będą w domu.

Jego głos był donosny i wyraźny, ale przypominał głos karta – piskliwy i jakby z trudem przechodzący przez gardło. Miał rację. Usłyszałem trzask zamykanych drzwi samochodu i głosy na zewnątrz. Spojrzałem na Kulfona, a on puścił do mnie oko.

- Kim ty właściwie jesteś?
Nic nie powiedział. Szczeknął zamek u wejścia i już po chwili cały dom wypełnił się jasnobrazowymi sklepowymi torebkami, zmarniętymi policzkami i ujadaniem Kulfona.

Chciałem się komus zwierzyć, ale ilekroć zbierałem się na odwagę wyznania wszystkiego Saxony przypominało mi się opowiadanie Jamesa Thurbera o jednorożcu w ogrodzie. Myszowaty człowieczek odkrywa w ogrodzie jednorożca. Mówi o tym swojej wielkiej jak piec żonie. Żona wysmiewa go, jak zawsze, kiedy jej coś mówi. Jednorożec dalej odwiedza ogrody, ale pokazuje się tylko meżowi. Ten z kolei zamęcza starą opowieścią o swoim wspaniałym, nowym przyjacielu. W końcu żona ma tego dość i dzwoni po facetów w białych kiltach z kaftanem bezpieczeństwa. Opowiadanie ma dalszy ciąg, w którym to właśnie żonę odwożą do szpitala, ale ja zawsze pamiętam je tylko do tego miejsca, w którym mąż o jeden raz za dużo wspominał o jednorożcu, a żona złapała za telefon i wykreśliła numer domu wariatów.

Ale jeżeli nie mogłem zwierzyć się Saxony, to już na pewno nie mogłem powiedzieć Annie. Już i tak wystarczająco się wpakowałem, opowiadając jej o tym, jak zobaczyłem latawiec Krang na twarzy Sharon Lee. Teraz tylko brakowało, żebym dołożył do listy Kulfona – Psa Kłoty Mówi, a moje dni jako biograf Marshalla France’a byłyby policzone.

Kulfon trzymał się odłą z dala ode mnie. Nie wskakiwał już z rana na łóżko, nie chodził po domu. Ilekroć znaleźliśmy się w jednym pomieszczeniu, obserwowałem go czujnie, ale cicho obciążony skórą, bezmyślny pysk nie zdradzał niczego poza guzikami psich oczu i okazjonalnym błyskiem rozowyci jak balonowa guma do zucia dziaśel, kiedy Kulfon jadł albo dokonywał toalety. Pies w każdym calu.

Stwierdzono przecież, że morswiny mówią, prawda? W języku małp też odkryto parę słów, tak czy nie? A ta kobieta z Afryki, Goodall? Czemu wobec tego gadający pies miałby budzić aż takie zdziwienie? Te i tym podobne idiotyczne racjonalizacje latały mi po głowie na nieopierzonych skrzydłach. Byłem świadkiem cudu, a jednak zastanawiałem się, czy przypadkiem nie tedy właśnie przechodzą na „tamtą stronę” wszyscy wariaci. Kobiety o twarzach latawców, gadające psy... Wszystko, co miałem w sobie za lekkie dziwactwa, nagle wstało z miejsc, skłoniło się głęboko i zaczęło po mnie krążyć w przyspieszonym tempie – nieco nadmierne upodobanie do kolekcjonowania masek, ciągłe mówienie o ojcu, które wskazywałoby na coś w rodzaju obsesji... Tego typu drobiazgi.

W czterdziestu osiem godzin po cudzie, Kulfon stracił życie. Codziennie przed spaniem pani Fletcher dawała mi jesc i wypuszczała na ostatni spacer. W Galen nikt się zbyt nie przejmował zaleceniem wyprowadzania psów na smyczy, psy waleśły się swobodnie po mieście o każdej porze dnia.

Tego wieczora wszystko kryła gesta zimowa mgła; nieliczne odgłosy dobiegały z ulicy jak przez watę.

Stopniowo, z mgły słów, zaczął się przede mną wyłaniać prawdziwy obraz tego człowieka. Fakty, które ustaliliśmy na początku, stały się teraz trywialne i nieistotne. Gdzie się urodził, co robił w roku 1927, gdzie jeździł z rodzicami na wakacje... Wszystko to notowałem z obowiązku, ale cały czas pragnąłem dobrać się głębiej, pod skórę. Chciałem go poznać tak dobrze, żeby wiedzieć, jak myślał mając lat dwadzieścia, dwadzieścia pięć, czterdzieści. Czy chciałem być nim? Czasami. To chyba normalne dla biografa. Jak można chcieć zgłębić życie drugiego człowieka, bez tajemnej choćby ochoty zostania tym człowiekiem?

Co mnie tak pociągało w Marshallu Fransie? Jego wizja. Umiejętność tworzenia światów, które czarowały, przerażały, zdumiewały, rodziły podejrzenia, kazały z całej siły zaciskać powieki albo klaskać w ręce z radości. Tworzył te światy bez przerwy, bez wysiłku. Wyznałem to któregoś dnia Annie, na co zapytała mnie, jaka jest różnica między książkami jej ojca, a dobrym filmem, który w gruncie rzeczy działa na odbiorcę tak samo. Niby miała rację, a jednak ja nigdy nie oglądałem filmu, który byłby tak bliski mojej wyobraźni jak dowolna książka Francisa. Francis mógłby z powodzeniem być moim psychoanalitykiem albo najbliższym przyjacielem, albo spowiednikiem. Wiedział, jak mnie rozśmieszyć, jak przestraszyć, jak zakończyć opowieść w ten jeden, jedyny właściwy sposób. Był jak kucharz, który doskonale zna mój gust w przyprawach. Jeżeli wziąć pod uwagę, że w ten sam sposób odbierały dzieła Francis'a setki, tysiące osób, to dokonania tego człowieka zasługiwały na najwyższy podziw.

Czasami, kiedy wracałem po południu, Saxony nie było w domu. Nigdy nie pytałem, dokąd chodzi - zakładałem, że jest z panią Fletcher. Dom był wtedy zimny i ciemny, tylko na podłogach i meblach pod oknami kładło się sennie smutne październikowo-szare światło. Robiło się od tego jakos tak zimowo i smutno. Walcząc z pustką, obiegałem jak głupi cały dom, zapalając wszystkie światła po kolei. Miałem żal do Saxony, że nie siedzi w domu, chociaż sam siebie karałem za hipokryzję. Zwłaszcza, kiedy po południu schodziło mi na pracę, a drugie pół na kochaniu się z Anną.

Byłem w znakomitej formie seksualnej. Nie wiem, czy chciałem ukarać Annę za Ryszarda Lee, czy udowodnić jej, że jestem lepszy. Z czasem zacząłem odczuwać obecność Ryszarda jako wieczny cień - jego ręce wyłaniały się z ciemności. Wiedziałem, że jest to rewanż Anny, która odpowiada na pieszczoty cienia, pojekuje i porusza się dla niego, chce jego. Właśnie to działało na moją wyobraźnię jak ostroga, ilekroć pomyślałem o Annie.

Jednego z takich bezmyślnych, smutnych wieczorów odkryłem tajemnicę Kulfona. Anna i ja kochaliśmy się tego dnia od siany do ściany, przez całą podłogę. Było to morne, ale przez cały dzień nie wykonałem ani kawałka pożytecznej pracy, czułem się zmęczony i przygnębiony. Teskniłem do wieczoru z Saxony. Zamierzaliśmy oglądać w telewizji klasyk Ronald Colmana, na który szczykowałismy się cały tydzień. W ramach niespodzianki, wracając do domu, kupiłem po drodze wszystkie surowce potrzebne do przyrządzenia gorących krowek z bakalią.

Już wchodząc po schodach zauważyłem, że w naszej części domu się nie świeci. Skrzywiłem się i poprawiłem torbę z zakupami, którą trzymałem na brzuchu. Jadąc do domu, wymyśliłem sobie cikliwą, sentymentalną scenkę - kopniakiem otworzę drzwi na oścież i popędzę prosto tam, gdzie akurat będzie Saxony, każe jej wszystko rzucić, bo Tom Wspaniały jest w domu, i powiem: „Oto sekretnie skarby tajemniczego Wschodu, o pani!” (W tym miejscu miałem wysypać przed nią siekane orzechy.) „Kadzidło i mirra z jaskin Zanzibaru!” (Wisienki maraschino.) Kolejna pompatyczna kwestia - i na stole ukazałby się gesty słodki syrop. Byłem aż w dwóch miejscach, żeby dostać jej ulubiony gatunek.

Ale wszystko na nic, bo Saxony nie było w domu. Otworzyłem frontowe drzwi i cicho zamknąłem je za sobą. W domu unosiła się woń dusznego gorąca z kaloryferów i wilgotnego, zagrzybionego drewna, którym zimą pachną podłogi. Już-już miałem zapalić światło, kiedy moja ręka zamarła w pół gestu, bo usłyszałem głos - a raczej mamrotanie - z sypialni. Aha! Saxony uciła sobie drzemkę!

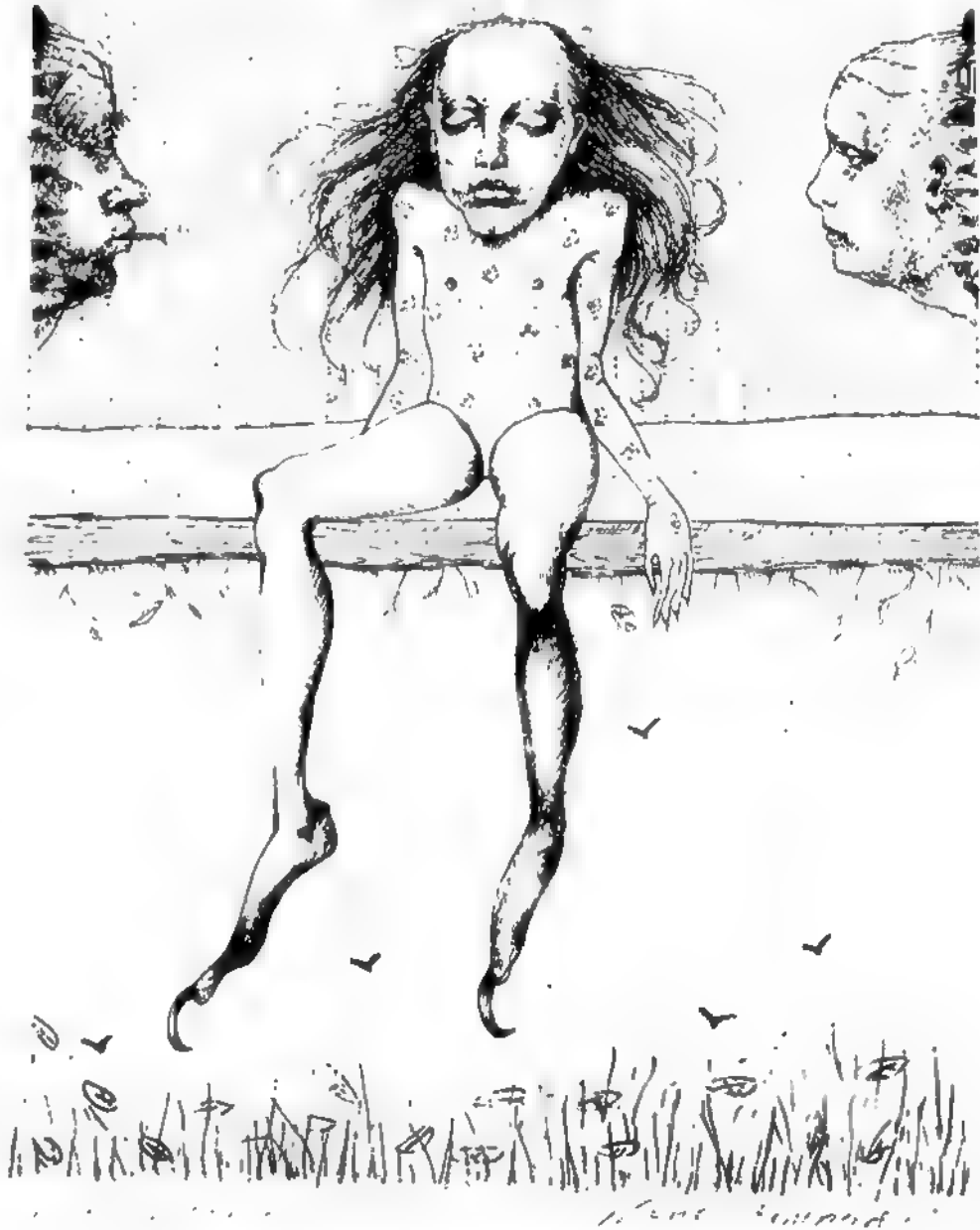
Skradając się na czubkach tenisówek z kuchni do sypialni, jeszcze raz usłyszałem niewyraźny głos. Prawie obcy. Za wysoki i za bardzo urywany jak na głos Saxony. Otworzyłem drzwi najwolniej jak umiałem, żeby nie skrzypnęły. Story były ściśle zaciągnięte. Jedynym ciałem widocznym na łóżku była nieziemsko biała, dobrze znajoma klucha, odwrócona grzbietem do mnie - Kulfon. Piękny widok, nie przecze, ale chwilowo wyjątkowo nieudany jako substytut Saxony.

Łapy wypreżył sztywno przed sobą. Kilka razy zadrżał na całym ciele i klapnął szczęką. Pomyślałem, że pewnie znów śnił mu się jakieś psie koszmary. Wtedy przemówił.

- Sierść. Właśnie. Oddychać przez sierść.

Łodowaty prąd przebiegł mi w górę po kregosłupie, aż do karku. Pieprzony pies gadał! Nie byłem w stanie się poruszyć. Chciałem usłyszeć więcej, ale jednocześnie chciałem stamtąd wiać co sił w nogach.

Błyskawicznie omlotłem wzrokiem wszystkie kąty pokoju. Byliśmy sami. Byłem sam.



Popatrzyłem na Sax z nikłą nadzieją, że wymyśli jakąś wymówkę. A z drugiej strony wiedziałem przecież, że prędzej czy później będę musiał porozmawiać z tym facetem ze względu na to, jak ważna była jego matka.

- Ja bardzo chętnie, a ty, Tomasz? Nic specjalnego dzisiaj nie robimy, o ile pamiętam.
 - Nie Oczywiście. To świetnie. Doskonały pomysł, Ryszardzie. Serdeczne dzięki za zaproszenie.
 - No to załatwione. Po południu idę na ryby i jak będziemy mieli szczęście, na kolację czekają nas świeże zebacze, prosto z haczyka.
 - To fantastycznie. Świeże zebacze, no, no, no.
- Spróbowałem okazać entuzjazm, ale jeżeli mimo to zdradził mnie wyraz twarzy, to tylko dlatego, że pomyślałem o wasach zebacza.

Ryszard poszedł sobie, a Saxony zdecydowała się na Max Factora. Podeszedłem do lady, żeby zapłacić. Mel, krecąc kase, pokreślił głową.

- Szczerze mówiąc, nigdy nie lubiłem zebaczy. Są takie tłuste tylko dzięki temu, że żrą co popadnie. Takie ryby-śmieciarze, wie pan? Dwa dolary siedem centów, proszę pana.

★

Wszędzie krzyże. Jezus demonstrował krwawe rany z pięćdziesięciu rozwieszonych po całym pokoju obrazów, z których każdy przedstawiał go w innych mekach. W całym domu pachniało smażoną rybą i pomidorami. Wszystko prócz kanapy, na której usiadłem, a która dla odmiany pachniała mokrym psem i tonieniem.

Żona Ryszarda Lee, Sharon, miała niewinna, a zarazem niepokojąco różową twarz, typową dla karlic. Ani na chwilę nie przestawała się uśmiechać, nawet kiedy potknęła się o bułteriera imieniem Kumpel i runęła jak długa. Dwie córki, Midge i Ruth Ann, były za to jej przeciwnostwem: snuły się z kąta w kąt, jakby powietrze było dla nich za gęste.

Ryszard pochwalił się przed nami kolekcją broni palnej krótkiej, kolekcją broni palnej długiej, kolekcją wedeł i rzadkim okazem monety z głową Indianina. Sharon przyniosła album rodzinny, ale większość zamieszczonych w nim zdjęć przedstawiała albo kolejne psy, które trzymali w domu, albo - trudno odgadnąć czemu - zdjęcia członków rodziny w chorobie lub kontuzji: Ryszard uśmiechający się do własnej nogi w grubym białym gipsie, Midge radosnie demonstrująca paskudny czarnoniebieski siniak pod okiem, Ruth Ann leżąca na wznak w łóżku, które wyglądało na szpitalne, z wyraźnymi oznakami cierpienia na twarzy.

- Biedactwo, co jej było? - zapytałem, wskazując na fotografię Ruth Ann.
 - Kiedy to było? Zaraz, zaraz. Ruth Ann, nie pamiętasz, kiedy ci robiłem to zdjęcie?
- Ruth Ann przyczłapała bliżej i przyglądając się zdjęciu, chuchała mi na tył głowy.
- To? To wtedy jak mi dysk wyskoczył na gimnastyce. Nie pamiętasz, tatusiu?
 - Ależ oczywiście, Ryszardzie, to jest to zdjęcie z wypadniętym dyskiem.
 - Psia krew - rzeczywiście. Jej pobyt w szpitalu kosztował mnie koło trzystu dolarów. Mieli wolną tylko pół-separatkę, ale dałem ją tam, wszystko jedno. Prawda, że tak, Ruth Ann?

Chociaż odzywali się do siebie tonem spod budki z piwem (tak też wyglądał i tacy byli), nie ulegało dla mnie wątpliwości, że bardzo się lubią. Ryszard co chwila obejmował którąś w pasie, to żonę, to córkę, a one były tym zachwycone i za każdym razem wtulały się w niego z radosnym popiskiwanym. Trochę niesamowicie zrobiło mi się na myśl o tej gromadce siedzącej w smutnym, białym domu nad zdjęciem Ruth Ann na wyciągu, a z drugiej strony - ile jest na świecie szczęśliwych rodzin, których członkowie cieszą się nawzajem swoją obecnością?

- Kolacja gotowa, wszyscy do stołu
- Jako gość honorowy, dostałem największego zebacza, z paszczą rozwartą w przedśmiertnym skurczu. Nie zabrakło też duszonych pomidorów z liśćmi mięty. Nic nie pomagało, że spychałem zebacza w najodleglejszy kąt talerza: nie mogłem się go pozbyć. Uznałem w końcu, że w tej walce nie wygram i muszę zjeść chociaż trochę.

- Dużo pan już napisał tej swojej książki?
 - Nie, właściwie dopiero zaczynamy. To potrwa.
- Państwo Lee wymienili spojrzenia przez stół i na parę sekund zapadła cisza.
- Napisać książkę - to jest coś, czego bym nigdy nie potrafił. W szkole, owszem, od czasu do czasu lubiłem coś przeczytać.

- Powiedz mi coś więcej, Tomasz, bo ja kompletnie nie mam pojęcia, jak to jest w szpitalu. Przecież nie spędziłam tam połowy swojego cholernego życia.

- Nie denerwuj się tak, Sax, bo jeszcze dostaniesz ataku serca.
- Pod pierwszym z brzegu pretekstem nawiałem z pokoju. Kulfon deptał mi po piętach. Takiej rozdrażnionej nie widziałem jej od dnia pierwszego spotkania, kiedy zaproponowałem, że odkupię od niej książkę France'a.

Kuchnia tonęła w blasku słońca. Na dworze było zimno jak diabli, ale w domu ciepło jak w ulu, a wpadające przez okno słońce czyniło mieszkanie żywym i przytulnym.

Wzięłem szklankę i obejrzałem ją pod światło - Saxony miała bliźka na punkcie brudnych naczyń i sztuców. Szklanka pomyślnie przeszła przez kontrolę. Podeszedłem do lodówki po puszkę soku pomidorowego, ukochanego napoju Saxony.

- Stuk-stuk-stuk - I oto Saxony stała w drzwiach, oplerając się ciężko na kulach.
- Tomasz?

- Co tam, kolezanko? - przebiełem puszkę otwieraczem i obróciłem ją o sto osiemdziesiąt stopni, żeby zrobić otwór na drugim brzegu pokrywki.

- W tym szpitalu było okropnie. Przepraszam, jestem głupia i rozdrażniona, ale tak bardzo się cieszę, że jestem z powrotem tutaj, z tobą, z Kulfonem, i tak dalej, że to wszystko wyłazi ze mnie nie tak jak trzeba. Jestem wstętna, przepraszam.

Odkłóżyłem otwieracz i popatrzyłem na nią. Framuga drzwi tworzyła wielką, białą ramę wokół jej postaci w sosnowo-zielonej sukience. Minę miała zmęczoną i czujną zarazem. Na sekundę stanął mi w oczach obraz Anny, nagiej, pod Ryszardem Lee.

- Chcesz się kochać, Sax? Myślisz, że to ci dobrze zrobi? Odpęzysz się trochę? Może właśnie to jest sposób na przełamanie lodów. Już nic nie mów, tylko idź do łóżka. Musimy to wszystko z siebie wyrzucić.

- Ale ja mam... to na nóżce. Nie będzie ci przeszkadzać? Tym też się martwiłam, kiedy leżałam w szpitalu. - Patrzyła w podłogę i kreciła głową. - Człowiek ma tam tyle czasu na myślenie o głupstwach i ciągle wyszukuje sobie nowe zmartwienia. Bałam się, że nie będziemy tego mogli robić przez całe miesiące, dopóki każą mi nosić to świniństwo na nóżce.

- Uniosłem tyłek jak cygaro i zastrzygłem brwiami jak Groucho Marx.
- Moj miły krolczku, jedyną trudnością będzie utrzymanie mnie z dala od ciebie, skoro to tango już się raz zaczęło! - jeszcze raz poruszyłem brwiami i strząsnąłem popiół z cygara. Wcale nie miałem ochoty się kochać. - Powiedz tylko magiczne słowo, a ptaszek sfrunie na dół i wypłaci ci pięćdziesiąt dolarów.

Podeszedłem do niej, ugiąłem kolana i zarzuciłem ją sobie na ramię. Była ciepła, ciężka i miękka pachniała świeżą bielizną. Wydałem okrzyk Tarzana i potykając się po drodze kilka razy, przebiegłem drogę z kuchni do pokoju, tając na plecach Saxony.

I jak było? Okej. Dobrze. Świetnie. Szczerze mówiąc, było w porządku. W porządku i tyle. I wcale nie chodziło o gips.

Rozdział III

Nagle wszyscy w Galen zobłiwali się dla mnie strasznie mili. Nie wiedziałem, czy to dlatego, że wiedza, że Anna zaakceptowała mój pierwszy rozdział, czy dlatego, że wiedza, że zostałem kochankiem Anny (a raczej jednym z jej kochanków). Tak czy owak, pani Fletcher na pewno wiedziała co jest grane, bo nierzadko po powrocie Saxony ze szpitala pomagała mi się wymknąć z domu do Anny.

Saxony i pani Fletcher spędzały razem sporo czasu. Nierzadko widziałem, jak się do siebie przytulają i chichoczą, całkiem jak matka i córka. Saxony udzielała pani Fletcher lekcji rzeźby w drewnie, a Gaseczka uczyła ją, jak się gotuje „wiejskie zarcie”. Widząc taką bliskość między nimi, byłem rozdarty między coś w rodzaju zazdrości i ulgi. Nigdy nie czułem bliskości z kims starszym, nawet z matką, która była dla mnie bardzo dobra, ale zbyt neurotyczna, zbyt zaborcza, żeby się z nią dało dłużej wytrzymać. A Sax i Gaseczka chichotały, piekły i dłużyły w drewnie, często jak dwie małe dziewczynki, które zaszyły się w kącie sali, zaabsorbowane swoją sekretną, dziewczynską zabawą. Wiedziałem o takich zabawach, bo szpiegowałem siostrę i jej koleżanki. Były przy tym zawsze takie szczęśliwe i zadowolone z siebie, że ze złości cofałem się o krok od dziurki od klucza albo szpary w drzwiach i na całe gardło wrzeszczałem, że wszystko widzę, powiem mamie! Chociaż nigdy nic złego nie robiły.

Tymczasem Anna, w drugim koncu miasta, dopuszczała mnie do kartoteki France'a i spędzałem tam często całe popołudnia, siedząc przy jego biurku, pocąc się nad wczesnymi utworami, notatkami, szkicami, i tak dalej.

CZĘŚĆ TRZECIA

Rozdział I

Szabadabada - był wieczór i w rytm walca sunałem do Anny, nieco wcześniej niż się zapowiadałem. Saxony miała za parę dni wrócić do domu, ale nie zamierzałem się tym martwić aż do ostatniej chwili. Zbliżając się do domu Anny zobaczyłem, że światło na ganku się zapala, a drzwi frontowe stały otworem. Ukazała się w nich Anna z Ryszardem Lee. Śmiali się, Anna trzymała rękę na jego ramieniu. Ryszard nie patrzył na nią, ale w ostatniej chwili odwrócił się gwałtownie i wziął Annę w ramiona. Całowali się pod samą lampą. Trwało to i trwało. Ryszard Lee? Dlaczego, na łaskę Boską, Ryszard Lee? Kiedy się wreszcie od siebie oderwali on położył ręce na gorsie jej białej bluzki, ona zaś roześmiała się z czegoś, co powiedział. Podniosła do ust jego rękę i ucałowała ją. Ryszard odwrócił się i zszedł po stopniach ganku. Panna odprowadziła go aż do furgonetki zaparkowanej na wprost wejścia do domu.

Jutro w porządku, tak, Anno? - huknął tubalnym głosem ponad dachem wozu Anna kiwnęła głową i uśmiechnęła się. Ryszard wesoło poklepał karoserię, a wycofując wóz, zostawił na drodze gumową łalę z opony.

Kiedy „zjawilem się planowo” w kulka minut później, Anna wyglądała na zadowoloną, że przyszedłem przed czasem. Miała niebawem rumieniec. Zaciągnąłem ją na gore, do sypialni, i potraktowałem w łóżku jak dmuchaną lalkę. Kiedy skończyliśmy, nie minęły dwie sekundy jak rzuciłem się na nią znowu, jeszcze gwałtowniej niż za pierwszym razem. Na ogół nie rozmawialiśmy przy tym, ale tym razem zapytałem ją, czy robi to jeszcze z innymi mężczyznami.

Kołysała się pode mną i wierciła, a jej palce ugniatały i szczyptały moje ciało gdziekolwiek się znalazły. Oczy miała zacisnięte, a usta otwarte w pięknym, zmysłowym, uśmiechu.

- Tak. Tak. Tak - trzymała mnie mocno za szyję i dyszała chrapliwie w samo ucho. Nie otworzyła oczu, tylko dalej się uśmiechała. Wiedziała, że na nią patrzę.

- Z kim?

Trzymałem w dłoniach jej piersi. Sam nie wiedziałem, czy chce ją zranić, czy zajeżdżać na śmierć, czy wiać gdzie pieprz rośnie, czy co.

- Tak. Tak. Tak.

Kołysała się i kiwała głową, powtarzając „tak”. Słowa poruszały się w takt jej bioder.

- Z kim?

- Z Ryszardem Lee - nie otwierała oczu. - Ty-i-Ryszard. Och! Ty-i-Ryszard!

Dlaczego to, do cholery, musiał być właśnie on? Dlaczego upatrzyła sobie tego chama w baseballowej czapce? A on - czy kupił skrzynkę Trojan, żeby ich używać właśnie na Annie?

Anna nic już więcej nie mówiła, ale byłem pewien, że odpowiedziałaby na każde pytanie dotyczące „ich dwojga”. Ta jej szczerść do reszty zamąciła mi w głowie. Po raz pierwszy spędziłem u Anny całą noc.

Rozdział II

- Nareszcie w domu! Cieszysz się?

Opierała się na staromodnych drewnianych kulach. Jej twarz powlekła szpitalna bledność. Przekuśtykała do łóżka, złożyła na nim kule i siadła z impetem. Spreżyny jęknęły i ugięły się.

- Mogłbyś mi podać szklankę wody? Kulfon, przestań, proszę cie.

Kulfon od chwili jej wejścia tańczył po całym pokoju. Saxony w pierwszej chwili wzruszyła się jego radosnym powitaniem, ale jej wzruszenie szybko przeszło w autentyczną złość, bo Kulfon stałe pisał się pod nogami. Nie odzywałem się, chociaż byłem zdania, że Saxony okazuje w tej kwestii pewną nadwrażliwość. Kulfon nic nie mógł na to poradzić, że był szczęśliwy.

- Kupilem ci sok pomidorowy, Sax. Może wypijesz Krwawą Mary? Mam trochę sosu Worcestershire i pieprzu...

- Już jestem zmęczona. Boże, jakie to głupie. Dziesięć minut temu wyszłam ze szpitala i już padam. Podszedłem do łóżka i usiadłem przy niej. Położyłem dłoń w miejscu, gdzie jej kolano zamieniło się w twarde gips.

- Nie martw się, zawsze tak jest po długim leżeniu w łóżku. Organizm przyzwyczaja się do pozycji horyzontalnej. To nic wielkiego. Przecież nikt od ciebie nie wymaga, żebyś natychmiast wstała i startowała do Bostońskiego Maratonu.

- Teraz przecież też czytasz, Ryszardzie, co ty wygadujesz? Masz prenumeratę na co się da.

Sharon pokiwała głową, jakby sama sobie przyznawała rację. Nadal ani na chwilę nie przesławała się uśmiechać, nawet w trakcie jedzenia.

- No tak... tego... ale ten Marshall to umiał pisać, co? Miał tysiące gotowych historii w jednym małym palcu. - Ryszard pokręcił głową i usunął z talerza pomidor. - Myślę, że jak człowiek ma w sobie tyle niesamowitych pomysłów, to już musi zostać pisarzem, nie ma rady. Albo do czubkow. A ty jak myślisz, Tom? - wpakował całego pomidora do ust i mówił przez niego. - Są tacy, co mają w sobie niesamowite historie, ale wystarczy im, jak je raz komus opowiedzą. Wygada się taki i już mu dobrze. Jak Bob Furno, no nie, Sharon? Bob potrafił przez całą noc bez przerwy opowiadać pierwszorzędne historie, potem pojdzie spać, obudzi się i - i może opowiadać następną sekcję. Gada i ma spokój. A tacy jak ty, mają pewnie o wiele gorzej, nie?

- I o wiele wolniej - uśmiechnąłem się do talerza i przesunąłem widelcem kawałek ryby.

No właśnie, wolniej. Jak myślisz, ile czasu ci zajmie skończenie tego o Marshallu?

- To naprawdę bardzo trudno powiedzieć. Jeszcze nigdy nie pisałem książki, a zanim się do niej zabiorę na dobre, powinienem się jeszcze dowiedzieć mnóstwa rzeczy.

Znowu nastąpiła pauza w konwersacji. Sharon wstała i zaczęła sprzątać ze stołu. Saxony zaoferowała jej pomoc, ale została spiawiona, kategorycznie i z uśmiechem.

- Słyszales, że chłopak Haydenów, ten, którego samochód potracił przed waszym domem, już nie żyje? - twarzą Ryszarda była przy tym bez wyrazu. Ani cienia łitości, cienia żalu.

Mnie jednak coś scisnęło w żołądku, trochę dlatego, że widziałem wypadek na własne oczy, a trochę dlatego, że chłopczyk na dwie sekundy przed rozplaszczaniem się na jezdni, był zdrowy i zadowolony.

- Jak to zniesli jego rodzice?

Ryszard przeciągnął się i popatrzył na drzwi do kuchni.

- W porządku. Co tu można zrobić?

Jak ludzie tak mogą? Ich syn ginie w wypadku, a oni nawet nie mają ochoty czegoś rozwalić albo przynajmniej powygrażać Bogu pieścią? Chłopi i prostactwo to ludzie z innej gliny, oczywiście, oglądają śmierć na co dzień, wszyscy o tym wiemy, ale ludzkie uczucia to w końcu ludzkie uczucia, do cholery! Jak można nie opłakiwać śmierci dziecka? Miałem nadzieję, że Lee tylko popisuje się stoicyzmem.

- O raju, coś mi się przypomniało! Anna mnie przecież uprzedzała, że on umrze. Czy to nie dziwne?

Saxony, która spalaśzowała całą rybę, pomidory i chwasty, zakreśliła krzyżykiem.

- Jak to - uprzedzała? Skąd mogła wiedzieć, że on umrze?

- Nie pytaj, Sax. Pamiętam tylko, jak mówiła, że dziecko umrze. Swoją drogą, nie trzeba było wielkiego jasnowidza, żeby tak mówić - mały był w bardzo kiepskim stanie, kiedy go zabierali z ulicy.

- Za kogo ty masz Annę, Tom - za Niewiarygodnego Kreskina? Oglądałeś kiedyś tego gościa w programie Johnny Carsona? Tego magika? Nie do wiary, co on wyprawia za sztuki...

Drzwi do kuchni otworzyły się z rozmachem i do pokoju wkroczyła Sharon z wielkim, parującym plackiem na czarnej metalowej tacy.

Teraz uwaga. Ja to widziałem na własne oczy, a wnioski można wyciągać jakie kto chce. Widziałem i tyle. Saxony twierdzi, że ona nie widziała. Kiedy jej to później opowiedziałem, nazwała mnie idiotą, a już na dobre się wściekla, kiedy z uporem twierdziłem, że to prawda. To była prawda.

W „Smutku Zielonego Psa” jest postać imieniem Krang. Krang jest zbzikowanym latawcem, który doszedł do wniosku, że wiatr to jego wróg. Codziennie błaga, żeby go puścić w górę, aby na wiecznym polu walki - czyli na niebie - mógł dalej toczyć swoją wojnę z wiatrem. Zielony Ples zakochuje się w twarzy wymalowanej na latawcu. Ucieka z domu, w którym mieszkał i w którym, „panami wszystkiego, co ludzie uważali za swoją własność, były Ziewaki”, wykrada Krang z szafy, mocuje jej biały sznurek do swojej obroży i we dwojkę wyruszają w świat.

Kiedy Sharon Lee ukazała się w drzwiach kuchni, zobaczyłem z początku Sharon Lee. A kiedy spojrzałem ponownie, zobaczyłem, że to Krang wychodzi z kuchni z gorącym plackiem na czarnej metalowej tacy. Żywa ilustracja Van Walta. szeroko otwarte, puste oczy, w których czai się radość potwierdzonego wesołym uśmiechem od ucha do ucha. Czerwone policzki, czerwone usta, cyrkowo żółta cera... Z początku pomyślałem, że to może maska - a ja ich miałem za przyglupów? Ktokolwiek miał w domu taką maskę, a jeszcze do tego umiał ją włożyć w odpowiednim momencie, był geniuszem! Prymitywnym bo prymitywnym, ale geniuszem. Poczułem się jak w filmie Felliniego albo w komiczno-koszmarnym śnie, z którego człowiek wcale się nie chce obudzić, chociaż straszy.

- To niesamowite, Sharon! - powiedziałem to o wiele za głośno, ale nie da się ukryć, że byłem zdrowo zaskoczony. Zerknąłem w prawo, ciekaw, jak zareagowała Saxony. Patrzyła na mnie, z niezadowoleniem marszcząc brwi.

- Co jest takie niesamowite?

- Sharon! Nie wygłupiaj się Sax, chyba widzisz, to zdumiewające!

Saxony przeszkodziła mi w tym, że postąpiła uśmiech w stronę Krang.

- Rzeczywiście, rzeczywiście! - pisnęła w końcu, ale pod nosem mruknęła do mnie: - Bez przesady, Tomasz, ciasto jak ciasto.

- Taak, cia-sto-jak-cia-sto, świetny kawał.

- Tomasz... - jej uśmiech znikł bez śladu, a w głosie zabrzmiała groźba.

Cos tu było nie w porządku. Odwróciłem się i zobaczyłem Sharon, która krajała placek. Nie Krang. W całym domu nie było ani jednej Krang. Była tylko wiecznie uśmiechnięta Sharon Lee i jej słynny gorący placek z brzoskwiniami.

- Domyślam się, że Tom zje dużą porcję, prawda, Ryszardzie?

- Chyba tak, jeszcze nigdy nie słyszałem, żeby ktoś się tak beczelnie przymawiał. Może dasz mu całe ciasto, kochanie, a my zadowolimy się prążoną kukurydzą?

Wszyscy wybuchnęli śmiechem, a Sharon nałożyła mi wielki kawał placeka. Szczeka mi opadła. To przecież przed chwilą była Krang, jak pragne zdrowia. Kropka w kropkę ilustracja Van Walla. Sprawdziłem to później, żeby się upewnić.

Żadnej maski nie było. To była Sharon, za chwilę Krang, a potem znów Sharon. Byłem jedynym, który to widział. Byłem jedynym, którego to spotkało. Gdybym dniem i nocą śleczął nad biografią, miałbym przynajmniej jakieś wytłumaczenie: biograf A wcielił się w życie autora B, i to tak dokładnie, że wszędzie zaczyna widzieć postacie stworzone przez B. Owszem, to był pogląd od dawna znany i oklepany, ale ja przecież nawet jeszcze nie zacząłem pisać tej książki!

W kilka dni później, kiedy Saxony znów wybrała się po zakupy z panią Fletcher, jadłem obiad z Anną.

Z nieszczerym rozbawieniem opowiadałem jej o swoim „przywidzeniu”.

- Krang? Tylko Krang? Nikogo więcej nie widziałeś? - Anna podsunęła mi jajecznicę.

- Jak to? Tylko Krang? Na litość Boską, Anno, jeżeli niespodzianki będą się mnożyć w tym tempie, to nie minie tydzień, a będę patrzył jak wszyscy bohaterowie jego książek galopują po podwórku na grzbiecie Kulfona.

Na dźwięk imienia Kulfon, ogon Pańci dwukrotnie pacnął o podłogę. Siedziała tuż przy Annie, licząc na to, że coś spadnie ze stołu.

Anna jadła gorącą sałatkę z curry.

- Nie wydaje mi się, żeby Sharon Lee była bardzo podobna do Krang - uśmiechnęła się Anna.

- Właściwie w ogóle nie jest podobna. Mają tylko jedną wspólną cechę: ten przyklejony uśmiech od ucha do ucha.

- Cos ci powiem, Tomasz, może poprawi ci to humor. Czy wiesz, że Van Walt był moim ojcem?

- Van Walt, twoim...? Chcesz powiedzieć, że twój ojciec sam ilustrował książki? To jego rysunki?

- Van Walt istniał naprawdę, był przyjacielem ojca z dzieciństwa, zabili go naziści. Ojciec przybrał jego nazwisko, kiedy zaczął ilustrować książki.

- A więc można przyjąć hipotezę, że Sharon Lee była w pewnym sensie pierwowzorem Krang?

- To całkiem możliwe. Sam mówisz, że mają identyczny uśmiech. - Anna otarła usta serwetką, którą następnie odłożyła na stół koło talerza. - Osobiście uważam, że to dla ciebie dobry znak. Ojciec staje się twoim dybukiem, będzie cię teraz prześladował bez przerwy, dzień i noc, dopóki nie skończysz książki.

Popatrzyłem na nią przez obszar świeżego białego obrusa. Zamrugła szybko oczami, roześmiała się i podała Pańci pod stołem kawałek jajka. Nie od razu usiadł mi na karku, że kiedy tak na mnie spojrzała, dostałem niesamowitej erekcji!

Gdyby historia ta była filmem z lat czterdziestych, następne ujęcie pokazywałoby duży kalendarz. Kartki opadałyby jedna po drugiej, co jest filmolandzką prezentacją upływu czasu. Harowałem jak wół, czytelowałem, przycinałem i polerowałem tekst, który na zmianę to mnie zachwycał, to zniechęcał. Raz wstałem w środku nocy, po długim i wyczerpującym kochaniu się z Saxony. Podeszedłem do biurka i tepo gapiłem się na rekopis w blasku księżyca. Przez dobrą minutę groziłem mu palcem, po czym wróciłem do łóżka, nie czując się ani odrobine lepiej. Chciałem, żeby tekst był idealny - lepszy niż sobie wymarzyłem. Podejrzewałem, że jest to dla mnie coś w rodzaju ostatniej szansy. Jeżeli nie włożę w ten tekst wszystkiego, lepiej będzie wrócić do Connecticut i przez resztę życia wykladać „Szkarsiatną literę” uczniom dziesiątej klasy.

przeżycia były niczym w porównaniu z moimi, ale opowiesci o koleżankach, o gimnazjum, o szczególnych względach ze strony otoczenia, itepe, budziły tyle skojarzeń, że głowa mało mi nie odpadła od potakiwania.

Opowiadałem jej o sobie, nie czując ani cienia zażenowania.

Wstąpiliśmy do baru przy szosie i oboje zamówiliśmy na śniadanie „Przysmak Szofera”. Jajka, naleśniki, parówki, grzanki i kawę, która okazała się nawet do wypicia. Byłem głodny jak wilk i spalażowałem wszystko. Kiedy skończyłem i podniosłem wzrok na Annę, zobaczyłem, że i ona wyminęła talerz do czysta, do oryginalnego desenia w czerwone i białe paski. Oparła mi rękę na kolanie i poprosiła Millie, kelnerkę, o jeszcze dwie kawy. Chciałem, żeby wszyscy w barze wiedzieli, że kobieta, która jest ze mną to Anna France i że nie dalek jak przed paroma godzinami kochał mi się jak szaleni na wzgórzu o dwie mile stąd. Byłem kompletnie wyczerpany i szczęśliwy, nie myślałem o Saxony.

Od tego dnia, aż do powrotu Sax ze szpitala, przynajmniej część każdej nocy spędzałem u Anny. Czasem Anna przyrządzała kolację (daruj jej, Panie!), a czasem przychodziłem do niej już po kolacji, rozmawialiśmy albo oglądaliśmy telewizję, ale za każdym razem nieuchronnie łądowaliśmy w łóżku. O pierwszej albo drugiej nad ranem wychodziłem stamtąd na miękkich nogach i wybiegionym na kość samochodem jechałem do siebie.

Z początku była to niesamowita przygoda. Piękna, urzekająca Anna France miała na mnie ochotę. Olsniewająca córka Marshalla France'a chciała mnie, a nie syna Stephena Abbeya. Ta druga wersja przydarzała mi się nieraz z interesującymi kobietami: z chwilą, kiedy się dowiadywały, kim jestem, zaczynały działać jak podłączone do prądu, w myśl zasady „jeżeli nie mogę mieć tatusa, to niech będzie syn”. Paskudnie jest robić to z kimś, o kim wiadomo, że nie robi tego z tobą, tylko z całkiem innym człowiekiem, którego ty jesteś namiastką.

W przypadku Anny zakładałem, że jeżeli w ogóle istnieje jakiś powód z wyrachowania, to najwyżej ten, że byłem biografem jej ojca, a ponieważ dotychczasowa część pracy znalazła jej uznanie, chciała, żebym i dalej pisał równie dobrze. Jej ciało, gdybym naprawdę chciał być okrutny i cyniczny, było dodatkowym bodźcem do dobrej roboty.

Nie chciałem na razie myśleć o wszystkich komplikacjach, które miały nieuchronnie nastąpić lada dzień. Z rana pracowałem, i to solidnie, po południu składałem wizytę w szpitalu, a nocą jeździłem do domu France'a.

Lekarze musieli włożyć Saxony w nogę specjalną szpile, przez co jej pobyt w szpitalu się przeciągał. Była bardzo przygnębiona, kiedy to usłyszała, mimo że robiłem wszystko - co nie znaczy, że dużo - żeby ją rozweselić. Przyniosłem jej do szpitala wszystko co dotąd napisałem, z prośbą o przeczytanie, poprawki i sugestie. Zazadła całego pudełka dużych czarnych ołówków Dixon Beginners i bazgrała swoje uwagi po całym tekście. Stawała się doskonałą redaktorką, a nasze pomysły były najczęściej na tej samej fali. W chwilach wolnych od ołówka, czytała biografie - co popadło. Andrew Carnegie, Einstein, Delmore Schwartz - robiąc przy tym szorstkie notatki. Pielegniarki musiały chyba dojść do wniosku, że żyjemy jak pies z kotem, bo bez przerwy się kłóciliśmy. Saxony siedziała zwykle oparta o poduszki, prezentując spod pościeli wielki biały gips, i udzielała mi wykładów z notatek w czarno-białym szkolnym zeszytce, który zawsze miała pod ręką. Miałem identyczny zeszyt (oba kupione w magazynie „Lazy Larry”) i od czasu do czasu coś w nim zapisywałem, ale w opinii Saxony zdecydowanie za rzadko.

Nie wiem, czy to atmosfera szpitala czyniła ją bezradną, czy też we mnie wyczuła jakąś różnicę. Niezależnie od przyczyny, chociaż często bywała uszczypliwa i szorstka, wydawała mi się bardziej bezbronna i krucha niż kiedykolwiek przedtem. Kochałem ją za to jak głupi, ale miłość nie powstrzymywała mnie przed odwiedzaniem Anny.

Jeszcze nigdy w życiu nie czułem się tak świetnie i wybuchowo. Każdy, dosłownie każdy dzień dawał co najmniej dwadzieścia powodów do życia. Kładąc się nocą do łóżka, nie mogłem zasnąć mimo zmęczenia - bo myśl o dniu następnym była zbyt podniecająca. Z zachwytem wiodłem wszystkie moje żywoty na raz - życie pisarza, badacza literackiego, kochanka Anny, mezczyzny Saxony. Ale wiedziałem jednocześnie, że ten cudownie wygodny świat lada chwila przestanie istnieć i że wkrótce może przyjść moment, że będę skakał jak po rozżarzonych węglach, ratując, co się da. Gdyby mnie jednak ktoś zapytał o najpiękniejszy okres w życiu, bez wahania odpowiedziałbym, że to właśnie tamte jesienne tygodnie w Galen, przed nadejściem pory zimy i śmierci.

KONIEC CZĘŚCI DRUGIEJ

Mówiąc to poczułem, jak coś we mnie pęka i spuszcza powietrze. Poczułem się spokojniejszy, mniej spięty. Jak gdybym włączył automat i główne centrum zasilania mogło się zamknąć na resztę nocy, bo chwilowo go nie potrzebowałem.

- Czemu o to pytasz, Anno?
- Bo mnie interesujesz. Czy to takie dziwne?
- Zależy. Interesuje cię zawodowo, czy prywatnie?
- Prywatnie.

To było wszystko. Wszystko, co do mnie powiedziała głębokim głosem à la Lauren Bacall, w tonie „gdybys czegoś potrzebował-daj-mi-znać”. Prywatnie! Nie miałem odwagi na nią spojrzeć. Zamknąłem oczy i czułem, jak serce przebija górą część mojego ciała. Ciekaw byłem, czy nie umrę przypadkiem na atak serca. Może właśnie tej nocy. Dwie sekundy wcześniej byłem bliski zaśnięcia - to wprost nie do wiary.

- No i co ja mam na to powiedzieć?
- Nic. Nic nie musisz mówić. Odpowiedziałam tylko na twoje pytanie.
- Ach tak.

Wzięłem głęboki wdech, usiłując znaleźć na plastikowym siedzeniu w miarę wygodną pozycję dla siebie i towarzyszącej mi erekcji długości jedenastu stop.

Nie jestem wielkim uwodzicielem. Przez wiele lat zdawało mi się, że najlepszą metodą jest odbyć z dziewczyną intymną trzygodzinną rozmowę, zakończoną ni stąd, ni zowąd ostenacyjnym oświadczeniem, że chciałbyś się pojąć z nią do łóżka. Nie była to metoda stuprocentowo skuteczna, zwłaszcza na studiach, gdzie dziewczyny, które mi się podobały, były „intelektualistkami” obnoszącymi pod pachą „Młotści” albo Kate Millet, a jako zakładkę używającymi pocztówki z reprodukcją Renoira. Moim problem polegał wówczas na tym, że podczas rozmów wypijałem hektolitry czarnej kawy, czestokroć trucizny zwanej espresso, ponieważ to robiło dobre wrażenie, a kiedy wreszcie przychodziła Ta Chwila, musiałem bez przerwy ganiać do toalety, żeby wszystko wysikać. Poza tym, zdaje się, że niejedną dziewczynę zanużyłem do tego, bo kiedyś w końcu usłyszałem: „Dlaczego ty nie przestaniesz giedzić i nie zabierzesz się do mnie?” Była to dla mnie wówczas cenna wskazówka, chociaż gdy stosowałem ją później, bywałem częściej odpychany, niż przyjmowany z entuzjazmem. W rezultacie, po dzis dzień nie wiem nigdy, czy 1) dana kobieta chce mnie, czy nie, 2) jeżeli, chce, to jak mam się do niej dobrać, 3) ... Wystarczy. Obraz jest, zdaje się, dość klarowny. Na szczęście, w przypadku Saxony było to wzajemne, za co byłem losowi niepomniernie wdzięczny. Ale Anna? Anna France? Rozpieszczona córeczka mojego idola? Czy mówi mi, że mnie chce, czy tylko ze mną flirtuje i sprawdza, jak daleko może się posunąć, zanim ja wykonam jakiś ruch i będzie mnie musiała zastrzelić.

- Anno?
- Tomaszu?

- Nie bardzo wiem, czego się po mnie spodziewasz. Nie wiem, czy mówisz to, co wydaje mi się, że słysze. Wiesz, o co mi chodzi?

- Tak, chyba wiem.

Moja ręka drżała, kiedy wyciągnąłem ją w jej stronę. Była to moja lewa ręka. Wybrałem lewą, bo gdyby Anna jednak nie chciała, żebym jej dotknął i odepchnęła moją rękę, miałbym ją szybciej z powrotem na siedzeniu fotela. A kiedy już byłem w połowie gestu, uświadomiłem sobie, że nie wiem, w co ta ręka ma jej dotknąć. W kolano? W biust? W ramię? Ale ręka i tak sama wiedziała, że ma szukać twarzy. Wolno, cały czas drżąc, dotknąłem jej policzka. Był gorący. Anna ujęła moją rękę, podniosła ją do ust i pocałowała, a potem uściłnęła mocno i położyła na swoim prawym kolanie. Czułem się tak, jakby w mojej głowie miała zaraz nastąpić eksplozja. W ten sposób odbyliśmy resztę drogi na „piknik”.

Na to, co się później stało jest tylko jedno określenie: Anna oddała mi się bez reszty. Nie chodzi o wielkie słowa czy ekstrawagancje erotyczne, ale o to, że ledwo zaczęliśmy się kochać, poczułem, że ona pozwoli mi zrobić z sobą co zechce, albo że robi dla mnie wszystko, o co poproszę. Nie rzucała się namietnie i podpałala stropu, ale tak bardzo była, że chwilami czułem, jakbym przeszedł przez nią na wylot i musiał mozołnie przedzierać się z powrotem, zanim ktorekolwiek z nas skończy, nie mówiąc nawet o pełnym zaspokojeniu. Potem, kiedy ją zapytałem, czy na tym właśnie miał o początku polegać piknik, odpowiedziała - „Tak”.

Tej nocy udało mi się nawet naciągnąć ją na pewne osobiste zwierzenia. Fakt, że się kochaliśmy, skruszył bariery i zanim słońce zaczęło wschodzić (wcisnęliśmy się w jej podwójny śpiwór, ułożony obok samochodu na wysokim wzgórzu, z którego widać było pastwiska i krowy), powiedziała już, że Anna przeszła taką samą gehennę bycia dzieckiem sławnego ojca, jak ja. Cały czas powtarzała, że jej

Tymczasem Saxony, między szperaniem w materiałach, czytaniem i ciągłymi dyskusjami ze mną, znalazła czas na pracę nad nową marionetką. Przyznam szczerze, że nie bardzo się tym interesowałem. Nauczyliśmy się wstawac wcześniej rano, zjadać szybkie, lekkie śniadanie i aż do obiadu znikać każde w swojej kryjówce.

Robotę skończyłem na dwa dni przed upływem wyznaczonego miesiąca. Zakreśliłem skuwkę Montblanca, ostrożnie zamknąłem notes i pieczołowicie ułożyłem pióro równoległe do niego. Obie dłonie złożyłem na notesie i spojrzałem za okno. Zapytałem sam siebie, czy chce mi się płakać. Zapytałem sam siebie, czy chce mi się podskoczyć i zatęczyć, ale i na to otrzymałem veto. Uśmiechnąłem się i wzięłem do ręki moje duże, krepie pióro Montblanc. Było świeżące, czarnożłote, i ważyło o wiele więcej niż powinno ważyć wieczne pióro. Poprawiłem nim miliony klasówek, a teraz napisało dla mnie początek książki. Pocziwy, wierny Montblanc. Przyjdzie dzień, że trafi do muzeum, za szkło, a na drugim końcu wskazującej go białej strzałki widnieć będzie taki oto tekst: „Pióro, którym Tomasz Abbey napisał słynną biografię Marshalla France’a”. Czułem się tak lekko, jakby byle podmuch wiatru był w stanie unieść mnie w górę wraz z fotelem. Moje intelektu położył się wygodnie i założył ręce pod głowę. Spojrzałem na niebo i poczułem się całkiem niezłe.

- Skończyłeś? Naprawdę?
- Skończyłem. Naprawdę.
- Całkowicie i ostatecznie?
- Tak jest, Saxoni. Absolutnie. I ostatecznie.

Wzruszyłem ramionami i nadal czułem się tak, jakbym ważył dwa funty.

Saxony siedziała na wysokim chromowanym stolku, piastując w rękach coś, co wyglądało jak nie oheblowana ręka lalki. Kulfon leżał pod stołem, mozołąc się nad sporą kosią, którą mu sprezentowaliśmy poprzedniego dnia.

- Poczekaj chwilę - odłożyła rękę i wstała ze stołka. - Wyjdź na moment z kuchni, zawołam cie.

Wyszliśmy z Kulfonem na ganek. Kulfon rzucił kosc w miejscu, w którym ja się zatrzymałem i położył się na niej. Popatrzyłem na nieruchomy ogród i pustą ulicę. Naprawdę nie miałem pojęcia, jaki to dzień.

- Już, Tomaszu, możesz wejść!

Bez słowa zachęty z mojej strony, Kulfon wziął kosc i skierował się ku szklanym drzwiom. Stał tam i czekał z nosem przykniętym do kraty. Jak on to wszystko rozumiał? Kulfon. Pies Czarodziejski.

- Jeszcze nie całkiem skończyłam, ale chciałam ci to dać dzisiaj.

Na podstawie fotografii Marshalla France’a wyrzeźbiła doskonale szczegółową twarz-maskę. Wyrzucił twarz, kolor urzu, cera, usta - wszystko było przerażająco realistyczne. Obracałem ją w rękach bez końca i oglądałem pod wszystkimi możliwymi kątami. Była wspaniała, ale i mocno niepokojąca.

Lady Oliwa od Anny, Marshall France od Saxony, rozdział napisany, a do tego jeszcze nadchodziła jesień, moja ulubiona pora roku.

- Anna była zachwycona pierwszym rozdziałem.

Zaniósłem go do niej osobie i spędziłem godzinę, trzęsąc się, truchlejąc i skacząc nerwowo po jej salonie. Dotykałem wszystkich przedmiotów po kolei i z każdą chwilą utwierdzałem się w przekonaniu, że Anna odrzuci całą moją pisaninę i każe mi się najbliższym transportem wynosić z miasta. Kiedy wmaszerowała do salonu z moim rozdziałem wetkniętym pod pachę jak stara gazeta, zrozumiałem, że to koniec. Ale myliłem się. Anna podeszła bliżej, podała mi tekst i ucałowała mnie mocno w oba policzki, tak jak to robią Francuzi.

- Wunderbar!

- Naprawdę? - uśmiechnąłem się, zmarszczyłem brwi, spróbowałem się jeszcze raz uśmiechnąć, ale nie dałem rady.

- Tak jest, z całą pewnością, panie Abbey. Z początku nie bardzo wiedziałam, do czego zmierzasz, ale zaraz potem całość otworzyła się przede mną jak te japońskie kamiki, które się wrzuca do wody, a one rozkwitają nagle jak księżycowe kwiaty. Rozumiesz?

- Tak mi się zdaje.

Z trudem przełknąłem ślinę. Usiadła na kanapie i wzięła do rąk czarną jedwabną poduszkę z żółtym smokiem.

- Od samego początku miałeś rację. Książka musi się otwierać jak pawie ogon - szszszuuu! Byłaby do niczego, gdyby zaczynała się w Rattenbergu. „Urodził się w Rattenbergu”... : nie, nie, wykluczone „Nie znosił pomidorów” - to jest odpowiedni początek. Idealny. Skąd o tym wiedziałeś? Rzeczywiście nienawidził pomidorów. Rzycałby, powtarzam, rzycałby ze śmiechu, gdyby się dowiedział, że jego oficjalna biografia tak się właśnie zaczyna. Wspaniale, Tomaszu.

- Naprawdę?
 - Przeszanować „naprawdę”. Oczywiście, że naprawdę. Wiesz o tym równie dobrze jak ja. Złapałeś go, Tomasz. Jeżeli dalszy ciąg książki będzie równie dobry... - pomachała do mnie maszynopisem i pocałowała go - wówczas on znów ożyje i zacznie oddychać. I to dzięki tobie. Nie powiem już ani słowa na temat tego, jak ta książka powinna być napisana.

Gdyby film na tym się kończył, napisy ukazałyby się na tle ujęcia, w którym młody Tomasz Abbey odbiera swój tekst z rąk ośnieżającej Anny France, wychodzi z jej domu i kroczy ulicą ku sławie, bogactwu i miłości porządnej dziewczyny. Screen Gems Production. The End.

Stało się jednak inaczej: w dwa dni później przez Galen przeszła szalona, spożniona letnia trąba powietrzna, która poczyniła w miasteczku niebywale spustoszenie. Jediną ofiarą w ludziach była Saxony, którą trzeba było odwieźć do szpitala ze skomplikowanym złamaniem nogi.

Miejscowych kataklizm nie wzruszył ani odrobine, chociaż pralnia została zrownana z ziemią podobnie jak znaczne partie budynku szkoły podstawowej i nowy budynek poczty. Czy to dzięki wrodzonemu stoicyzmowi mieszkańców Środkowego Zachodu, czy z innych powodów, nikt nie kwekał, nie białolił i nie przejmował się zbytnio sytuacją. Wcześniej zresztą uprzedzano mnie w mieście kilkakrotnie, że coś takiego jak burza może się zdarzyć.

Brakowało mi Saxony i przez kilka dni obijałem się beczynnie po domu, wreszcie jednak postanowiłem narzucić sobie dzienny harmonogram zajęć, który byłby zarazem wygodny i produktywny. Chociażby dlatego, że Saxony wściekłaby się na mnie, gdyby jej powiedział, że podczas jej pobytu w szpitalu nie pracowałem nad książką.

Wstawałem około osmej, jadłem śniadanie i do dwunastej albo pierwszej zajmowałem się biografią. Potem robiłem kanapki i jechałem do szpitala na spokojny lunch z Sax. Trwało to zwykle do trzeciej lub czwartej, po czym wracałem do domu i albo jeszcze trochę pracowałem, jeżeli byłem w odpowiednim nastroju, albo pichciłem kawalerski obiad. Pani Fletcher zaoferowała się, że będzie mi gotować, to jednak oznaczałoby konieczność jądania w jej towarzystwie, więc odmówiłem. Po obiedzie przepisywałem na maszynie to, co napisałem rano i kończyłem rutynę dzienną oglądaniem telewizji albo lekturą.

Rozdział drugi posuwał się bardzo opornie. Począwszy od niego, miałem się krok za krokiem posuwać przez życie France'a. Wiedziałem, że najlepiej byłoby zacząć od jego dzieciństwa - ale od którego momentu dzieciństwa? Od wrzasków w kołysce? Czy od malucha kolekcjonującego pocztówki, według koncepcji Saxony? Wymazałem te dwa czy trzy szkice i wszystkie odczytałem Saxony, ale ani jej, ani mnie, żaden z nich nie odpowiadał. Postanowiłem zmienić metodę: siąść i zacząć pisać, tak jak to było przy pierwszym rozdziale, a dokąd mnie to zaprowadzi - zobaczymy. Zaczne od Rattenberga, ale jeżeli przypadkiem zboczę z tematu, podążę za dygresją, a jak za różdżką wskazującą źródło. Jeżeli będzie bardzo źle, zawsze przecież mogę wyrzucić to, co napisałem.

Nocami, między oglądaniem takich seriali jak „Ulice San Francisco” i „Aniolki Charliego”, rozmyślałem też o możliwości napisania książki o ojcu. Odkąd Saxony mi to uświadomiła, sam zauważyłem, jak często o nim mówię i myślę. Dosłownie co dzień materializowała się jakaś cząstka ektoplazmy Stephena Abbeya, czy to w postaci anegdoty, czy filmu w telewizji, czy też jakiejs jego cechy, którą nagle odkrywałem w sobie. Czy zostanie wyegzorcyzmowany ze Stephena Abbeya, kiedy o nim napiszę? A jak zareaguje na to moja matka? Wiedziałem, że go kochała jeszcze długo po tym, jak ją zmusił do odejścia swoim kompletnym oderwaniem od rzeczywistości. Gdybym miał o nim napisać, chciałbym napisać wszystko, co pamiętałem, a nie wypociny w stylu „Moje życie z tatusem”, które ciurkiem leją się spod piór dzieci sławnych ludzi i które są zwykle albo nadętym peanem na cześć, albo zjadliwą filipiką. Zadzwońtem do matki, żeby jej życzyć Szczęśliwego Pierwszego Września (to był taki nasz mały prywatny obyczaj), ale nie zdobyłem się na odwagę poruszenia tematu.

Któregoś wieczora siedziałem przy stole w kuchni spisując wspomnienia, kiedy nagle rozległ się dzwonek u drzwi. Westchnąłem i zakreśliłem pióro. Zapiisałem bite cztery strony podługzłego żółtego notesu, a czułem, że to ledwo początek. Spojrzałem tepo na notes i pokręciłem głową. „Moje życie z tatusem”, autor Tomasz Abbey. Wstałem, żeby otworzyć drzwi.

- Jak się masz, Tomasz? Wpadłam, żeby ci zabrać na piknik o północy.

Ubrana była na czarno, jak na rajd komandosów.

Witaj, Anno. Wejdz.

Oworzyłem drzwi szerzej, ale ona nie skorzystała z zaproszenia.

- Nie. Wszystko zostawiłam w samochodzie i musisz jechać ze mną natychmiast. Tylko mi nie mów, że jest jedenasta w nocy. Właśnie o tej porze rozpoczynają się najlepsze pikniki.

Przyjrzałem jej się uważnie, czy nie zartuje. Przekonaawszy się, że nie, pogasiłem światła i wziąłem kurtkę.

Dni były już chłodniejsze a niektóre noce po jesienemu wręcz zimne. W „Centrum Tanich Zakupów Łazy Larry”, kupiłem jaskrawo czerwony skafander. Saxony orzekła, że wyglądałam w nim jak skrzyżowanie światła stopu z Fredem Flintstonem z „Jaskiniowców”.

Księżyc był tej nocy marzeniem wilkołaka: pełnia, biały jak żużel, zawieszony najwyżej pół mili nad ziemią. Gwiazdy też było widac, ale rolę pierwszoplanową grał tej nocy księżyc. Zanim wsiadłem do samochodu, postąpiłem chwilę obok, gapiąc się na księżyc i dopinając starannie wszystkie po kolei guziki skafandra. W nieruchomym powietrzu mój oddech unosił się w postaci obłoczka pary wodnej. Anna stanęła po drugiej stronie wozu i oparła czarne łokcie na dachu.

- Nie mogę przywyknąć do tego, że niebo nocą jest tu takie czyste. Chyba działają jakieś specjalne filtry.

- Czystość nieba nad Missouri wynosi dziewięćdziesiąt dziewięć koma czterdzieści cztery procenta.

- Dokładnie.

- Jedźmy. Zimno tutaj.

W samochodzie pachniało jabłkami. Odwróciłem się i zobaczyłem na tylnym siedzeniu dwa wielkie kosze pełne owoców.

- Moge jabłko?

- Proszę, ale uważaj na robaki.

Jakos odechciało mi się jabłka. Anna uśmiechnęła się. W błękitnym mroku samochodu jej zęby były białe jak pas na jeźdźni.

- Co to za „piknik o północy”?

- Nie wolno ci zadawać żadnych pytań. Usiądź wygodnie i napawaj się przejażdżką. Wszystko zobaczysz na miejscu.

Zrobiłem co mi kazala. Położyłem głowę na oparciu fotela i patrzyłem wzdłuż nosa na odwijającą się przed nami nocną drogę.

- W nocy trzeba tu bardzo uważać. Po szosie zawsze pęta się jakaś krowa, pies albo borsuk. Raz potrafiłam samice oposa. Zatrzymałam się i podbiegłam do niej, ale już nie żyła. A najgorsze było to, że ledwo tam dobiegłam, z jej brzucha zaczęły wylazić młode. Jeszcze ślepe.

- Zabawna historyjka, nie ma co.

- To było straszne. Czulałam się jak zbrodniarz.

- Ach tak... a jak się miewa Pancia? Kulfon przesyła jej ukłony.

- Ma cięzkie, więc przez dwa tygodnie muszę ją trzymać pod kluczem.

Droga wiała się do góry, w dół i na boki. Byłem zmęczony, a gorące powietrze bijące od podwozia sprawiło, że moje powieki zachowywały się jak ciężkie aksamitne kotary.

- Tomasz, czy mogę cię o coś zapytać?

- Oczywiście. Można przekreślić ogrzewanie?

- Tak, wcisnij środkowy guzik. Czy mogę ci zadać pytanie osobiste?

Wcisnąłem nie ten środkowy guzik i dmuchawa ruszyła pełną parą. Anna sięgnęła ponad moją ręką i nacisnęła właściwy guzik. Dmuchiwanie ustało, a ja po raz pierwszy od początku jazdy usłyszałem prace silnika i kół.

- Co to za osobiste pytanie?

- Co cię łączy z Saxony?

Ach, więc to tak! Saxony bezpiecznie zablokowana w szpitalu, moja mała komandoska za kierownicą, ja obok... Mogłem odpowiedzieć na jej pytanie na wiele sposobów. Czy zależało mi, żeby myślała, że jestem zwolennikiem kawalerstwa? Że zadowalałam się Sax do czasu pojawienia się tej jedynej? Że chciałbym, żeby tą jedyną była właśnie ona, Anna, nawet jeżeli jest to lekka przesada?

- Co nas łączy? Chodzi ci o to, czy ją kocham?

Żadnych świadków. Gdyby cokolwiek zaszło między nami tej nocy, nikt by się o tym nigdy nie dowiedział. Małe kłamstwo nie skrzywdziłoby Saxony. Ani trochę. Była jedenasta w nocy, była Anna, byłem ja, a Saxony nie było... Więc w końcu powiedziałem:

- Owszem, Anno, kocham ją.

Po czym westchnąłem ciężko. Co innego mogłem zrobić? Skłamać? Tak, wiem, że mogłem skłamać, ale nie chciałem. Czyż nie jestem wzorem szlachetności?

A ona ciebie kocha?

Anna trzymała obie ręce na szczytach kierownicy, wpatrzona prosto przed siebie.

Myśle, że tak. Ona mówi, że tak.

opowiadania i nowele

Carrin uznał, że jego podły nastrój ciągnie się od samobójstwa Millera w zeszłym tygodniu. Świadomość ta wcale nie pomogła mu uwolnić się od niejasnych, bekształtnych obaw. Było to głupie. Samobójstwo Millera nie miało z nim żadnego związku.

Tylko dlaczego ten gruby pogodny człowiek to zrobił? Miller miał po co żyć – żona, dzieci, dobra praca i wszystkie wspiane luksusy naszego wieku. Dlaczego on to zrobił?

– Dzień dobry, kochanie! – powitała go żona, kiedy się dał do śniadania.

– Wiem. Czy coś jeszcze?

Kalendarz wyrecytował długą listę zadań: podlać trawnik, oddać super-turbo do przeglądu, kupić kotlety jagnięce na poniedziałek, i tak dalej. Rzeczy, na które od dawna nie mógł znaleźć czasu.

– Dość. Wystarczy.

Pozwolił się ubrać automatycznemu kamerdynerowi, który zręcznie udrapował dobrane tkaniny na jego kościej posłaci. Na zakończenie mgielka modnych męskich perfum i przeszedł do salonu, przeciskając się między stojącymi wzdłuż ścian urządzeniami.

CENA

Robert Sheckley

(Cost of Living)

– Dzień dobry! Cześć Billy!

Syn coś odmrugnał.

Z ludźmi nic nie wiadomo, podsumował Carrin i zamówił śniadanie. Posiłek był elegancko przygotowany i podany przez nowy automat kuchenny firmy Avignon Electric.

Ponury nastrój Carrina nie przechodził... a tak chciał być dzisiaj w najlepszej formie. Miał wolne i oczekiwał wizyty przedstawiciela Avignon Electric. Był to ważny dzień.

Odprowadził syna do drzwi.

– Trzymaj się, Billy!

Syn kiwnął głową, przełożył teczkę z ręki do ręki i wyszedł bez słowa. Carrin zastanowił się, czy chłopak nie ma jakichś zmartwień. Miał nadzieję, że nie. Jeden zmartwiony w rodzinie wystarczy aż nadto.

– Do zobaczenia, kochanie. – Pocałował żonę, która wyruszyła na zakupy.

Ona w każdym razie jest szczęśliwa, pomyślał patrząc, jak żona oddala się chodnikiem. Ciekawe, ile dziś wyda w sklepie A.E., przemknęło mu przez myśl.

Spojrzał na zegarek i stwierdził, że ma jeszcze pół godziny do wizyty przedstawiciela A.E. Najlepszy sposób na zły nastrój to splukac go, pomyślał i poszedł wziąć natrysk.

Kabina z natryskiem była lśniącym plastikowym cudem i sam widok tego luksusu przyniósł Carrinowi ulgę. Wrzucił ubranie do automatu piorąco-prasującego A.E. i nastawił natrysk na maksimum. O pięć stopni cieplejsza od temperatury ciała woda smagała jego chude, białe ciało. Potem relaksujący masaż autorecznikiem A.E.

Wspaniale, myślał, podczas gdy automat rozciągał i ugniatał jego wątle mięśnie. I powinno być wspaniale, przypomniał sobie. Autorecznik z przysławką golącą kosztował trzysta trzydzieści dolarów plus podatek.

Ale wart był tego, uznał, podczas gdy golarka A.E. wysunęła się z kąta i usunęła mu z twarzy zadawkę zarostu. Ostatecznie, cóż warto byłoby życie, gdyby człowiek nie mógł korzystać z tej odrobiny luksusu?

Czuł, że jego skóra żyje, kiedy wyłączył autorecznik. Powinien się czuć wspaniale, ale tak nie było. Samobójstwo Millera nie wychodziło mu z głowy rujnując jego wolny dzień.

Czy coś jeszcze leżało mu na wątrobie? W domu przecież wszystko było w porządku, papiery dla przedstawiciela A.E. miał przygotowane.

– Czy nic nie zapomniałem? – zadał sobie na głos pytanie.

– Za piętnaście minut przyjdzie przedstawiciel Avignon Electric – przypomniał mu szeptem syczący kalendarz firmy A.E.

Rzut oka na ścienne wskaźniki upewnił go, że w domu panował porządek. Naczynia po śniadaniu zostały dezynfekowane i odstawione do kredensu, mieszkanie wysprzątane, odkurzone, wypolerowane, ubrania żony powieszzone, gwiazdoloty syna schowane do szafy.

– Przestań się martwić, ty hipochondryku! – powiedział do siebie ze złością.

– Pan Pathis z działu rozliczeń Avignon Electric – zaanoszowały drzwi.

Carrin już miał powiedzieć drzwicom, żeby się otworzyły, kiedy zauważył automatycznego barmana.

Dobry Boże, dlaczego nie pomyślał o tym wcześniej?

Automatyczny barman był produktem Castile Motors. Kupił go w chwili słabości. Firma A.E. nie byłaby zachwycona, ponieważ produkowała własny model barmana.

Przepedził automat do kuchni i powiedział drzwicom, żeby się otworzyły.

– Moje uszanowanie panu! – powiedział pan Pathis.

Był to wysoki, imponujący mężczyzna ubrany konsekwentnie w tweedową łogę. Od oczu rozchodziły mu się kurze łapki świadczące jak często się uśmiecha. Teraz też uśmiechał się promiennie potrząsając prawicą Carrina i rozglądając się po zagraconym salonie.

– Piękne ma pan mieszkanie. Piękne! Myśle, że nie naruszę zasad naszej firmy, jeżeli zdradzę panu, że jest pan właścicielem najpiękniejszego wnętrza w tym rewi-rze.

Carrin poczuł nagły przypływ dumy na myśl o szeregach identycznych domków w tym kwadracie ulic, w następnym, jeszcze w następnym.

– Wszystko w porządku? – spytał Pathis stawiając teczkę na krześle. – Czy wszystko działa bez zarzutu?

– Ależ tak! – stwierdził entuzjastycznie Carrin. – Avignon Electric nigdy nie zawodzi.

– Czy fono jest sprawny? Zmienia płyty przez pełne siedemnaście godzin?

– Tak, tak – powiedział Carrin. Nie miał jak dotąd okazji do wypróbowania fonografu, ale był to niewątpliwie piękny mebel.

– A trójwymiarowy projektor? Co pan sądzi o programach?

– Odbiór idealny. – Obejrzał jeden program w zeszłym miesiacu i złudzenie było pełne.

– A jak tam kuchnia? Automatyczny kucharz w porządku? Jak tam menu?

Wspaniale rzeczy. Po prostu wspaniale.

Pan Pathis spytał potem o lodówkę, jego odkurzacz, jego samochód, jego helikopter, jego podziemny basen pływacki i setki innych urządzeń, które Carrin zakupił od Avignon Electric.

Wszystko działa znakomicie – zapewnił Carrin nie całkiem zgodnie z prawdą, bo nie wszystko jeszcze zdążył rozpakować. – Absolutnie bez zarzutu.

– Ogromnie się cieszę – powiedział Pathis z westchnieniem ulgi. – Nie ma pan pojęcia, jak bardzo staramy się zadowolić naszych klientów.

– Doceniam to w pełni, panie Pathis.

Carrin miał nadzieję, że przedstawiciel A.E. nie zechce zajrzeć do kuchni. Wyobraził sobie barmana firmy Castle Motors sterczącego tam jak jeżozwierz na wystawie psów.

– Z dumą mogę stwierdzić, że większość mieszkańców w tej okolicy zaopatruje się u nas – mówił Pathis. – Jesteśmy poważną firmą.

– Czy Miller też był waszym klientem? – spytał Carrin.

– Ten, co popełnił samobójstwo? – Pathis zmarszczył czoło. – Tak, był. To zaskakujące, absolutnie zaskakujące. Zaledwie w zeszłym miesiącu kupił ode mnie super-turbo osiągnący na prostej przeszło trzysta mil na godzinę. Cieszył się z niego jak dziecko, a potem nagle coś takiego! Naturalnie wóz zwiększył nieco jego zadłużenie.

– Naturalnie.

– Ale czy to ważne? Miał wszystkie luksusy świata. A tu nagle poszedł i się powiesił.

– Tak – Pathis znów zmarszczył czoło. – Miał w domu wszystkie najnowocześniejsze urządzenia, a powiesił się na kawałku sznurka. Musiał być od dawna niezrównoważony.

Jego twarz wygładziła się i wrócił na nią zwykły uśmiech.

– Ale dość na ten temat! Porozmawiajmy o panu!

Uśmiech poszerzył się jeszcze, kiedy Pathis otworzył swoją teczkę.

– Oto więc pańskie rozliczenie. Jest pan nam winien dwieście trzy tysiące dolarów i dwadzieścia dziewięć centów po ostatnim zakupie. Zgadza się?

– Zgadza się – potwierdził Carrin, bo pamiętał te sumy ze swoich kopii rachunków. – Tu jest moja rata.

Wręczył Pathisowi kopertę, którą ten sprawdził i wsunął do kieszeni.

– Świetnie. A teraz, zapewne zdaje pan sobie sprawę, że nie starczy panu życia, żeby spłacić pełne dwieście tysięcy, prawda?

– No, chyba tak – zgodził się trzeźwo Carrin.

Miał dopiero trzydzieści dziewięć lat i pełne sto lat przed sobą dzięki postępom nauk medycznych. Ale przy pensji trzech tysięcy rocznie, nie miał szans, żeby spłacić należność i jednocześnie utrzymać rodzinę.

– Oczywiście, za nic nie chcielibyśmy pozbawiać pana niezbędnych sprzętów. Nie mówiąc o wspaniałych produktach, które wypuszczamy w przyszłym roku. Rzeczy, z których na pewno nie chciałby pan zrezygnować!

Carrin kiwnął głową. Jasne, że chciał mieć te nowe rzeczy.

– Cóż, w takim razie sądzę, że załatwimy to zwyczajowo. Pod zastaw zarobków pańskiego syna za pierwsze trzydzieści lat jego dorosłego życia możemy bez trudu uzyskać dla pana dalszy kredyt.

Pathis wyciągnął z teczki plik formularzy i rozłożył je przed Carrinem.

– Zechce pan podpisać tutaj i tutaj.

– Ale... – bąknął Carrin – nie jestem pewien... Chciałbym zapewnić chłopcu start życiowy, a nie obarczać go...

– Ależ drogi panie – przerwał mu Pathis – przecież to jest również dla pańskiego syna. On też tu mieszka, prawda? Ma prawo korzystać z tych luksusów, z cudów nauki.

– Jasne – powiedział Carrin. – Tylko, że...

– Proszę pana, przecież dzisiaj przeciętny człowiek żyje jak król. Sto lat temu najbogatszy człowiek świata nie mógłby sobie pozwolić na to, co dziś posiada zwykły obywatel. Niech pan nie patrzy na to jako na dług. To inwestycja.

– To prawda – powiedział Carrin nie całkiem przekonany.

Pomyślał o swoim synu, o jego modelach gwiazdolitów, o mapach nieba. Zadawał sobie pytanie, czy to będzie słuszne.

– Na czym polega problem? – spytał dziarsko Pathis.

– Tak się zastanawiam. Zadłużyć się na poczet zarobków syna... czy to nie przesada?

– Przesada? Ależ drogi panie! – Pathis zaniósł się śmiechem. – Zna pan Mellona, który mieszka o kilka domów dalej? Niech pan nie mówi, że dowiedział się pan tego ode mnie, ale on zastawił już pensje wnuków do końca ich statystycznie przewidzianego życia. I jeszcze nie ma połowy rzeczy, które postanowił mieć. Musimy coś dla niego wymyśleć. Nasza praca polega na spełnianiu życzeń naszych klientów i dobrze o tym wiemy.

Carrin był wyraźnie w rozterce.

– A po pana śmierci wszystko to przecież przejdzie na własność pańskiego syna.

To prawda, pomyślał Carrin. Wszystkie te cudowne rzeczy wypełniające jego dom staną się własnością syna. Poza tym chodziło tylko o trzydzieści lat ze statystycznie przewidywalnych stu pięćdziesięciu.

Podpisał zamasyżycie.

– Znakomicie! – powiedział Pathis. – A nawiasem mówiąc, czy ma pan w domu majordomusa naszej produkcji?

Okazało się, że nie. Pathis wyjaśnił, że mechaniczny majordomus jest nowym zdumiewającym osiągnięciem nauki i techniki. Został zaprogramowany do przejęcia wszystkich funkcji związanych ze sprzątaniem i gotowaniem, tak żeby jego właściciel nie musiał ruszyć palcem.

– Zamiast przez cały dzień biegać i naciskać guziki ktoś, kto ma mechanicznego majordomusa, przyciska tylko jeden! Epokowy wynalazek!

Ponieważ majordomus kosztował zaledwie pięćset trzydzieści pięć dolarów, Carrin zamówił go, dopisując jego cenę do długu syna.

Co racja, to racja, myślał odprowadzając Pathisa do drzwi. Ten dom będzie kiedyś własnością syna. I synowej. Niewątpliwie będą chcieli mieć dom nowocześnie wyposażony.

Tylko jeden guzik, myślał. Jaka oszczędność czasu!

Po wyjściu Pathisa Carrin zasiadł w ruchomym fotelu i włączył trójwymiarowy projektor. Pokręciwszy zdalnym sterowaniem stwierdził, że nie ma ochoty oglądać żadnego programu. Odchylił oparcie i postanowił się zdrzemnąć.

Coś nadal nie dawało mu spokoju.

– Dzień dobry, kochanie! – Obudził się i stwierdził, że żona wróciła. Pocałowała go w ucho! – Zobacz, co mam!

Kupila „seksycytujący negliż” firmy A.E. Carrin był mile zaskoczony, że tylko tyle. Zwykle wracała z zakupów obładowana.

– Śliczne – powiedział.

Pochyliła się, żeby ją pocałował i zachichotała załotnie: zwyczaj, który przejęła od najpopularniejszej ostatnio gwiazdy trój-ekranu. Carrin wolałby, żeby tego nie robiła.

– Zaprogramuję kolacje – powiedziała i poszła do kuchni. Carrin uśmiechnął się na myśl, że wkrótce żona będzie mogła zamawiać posiłki nie ruszając się z saloniku. Rozsiadł się wygodnie w fotelu i wtedy przyszedł syn.

– Jak tam, synu? – spytał z uczuciem.

– W porządku – odpowiedział apatycznie Bill.

– O co chodzi, synu? Chłopak wpatrywał się w podłogę i nie odpowiadał. – Chodź i powiedz tacie, co cię gnębi!

Billy usiadł na skrzynce i oparł głowę na rękach. Podniósł na ojca zamysłone oczy.

- Tato, czy gdybym chciał, to mógłbym zostać inżynierem serwisu?

Carrin uśmiechnął się. Billy nie mógł się zdecydować, czy chce zostać inżynierem serwisu, czy pilotem kosmicznym. Inżynierowie serwisu stanowili elitę. To oni naprawiali automaty naprawcze. Automaty naprawcze potrafiły naprawiać prawie wszystko, ale nie można mieć maszyn do naprawiania maszyn naprawczych. I tutaj wkraczali inżynierowie serwisu.

Jednak konkurencja w tym zawodzie była ogromna i tylko nieliczne wybitne umysły otrzymywały dyplom. Billy był wprawdzie inteligentnym chłopcem, ale nie zdradzał jakichś wybitnych uzdolnień technicznych.

- To możliwe, synu. Wszystko jest możliwe

- Ale czy to jest możliwe dla mnie?

- Nie wiem - odpowiedział Carrin najuczciwiej, jak mógł.

- A ja wcale nie chcę być inżynierem serwisu - powiedział Billy rozumiejąc, że odpowiedź brzmi nie. - Chcę być pilotem kosmicznym.

- Pilotem kosmicznym? - spytała Leela wchodząc do pokoju. - Przecież wiesz, że nie ma żadnych pilotów kosmicznych.

- Właśnie, że są - upierał się Billy. - W szkole pan powiedział, że rząd wyśle ekspedycję na Marsa.

- Mówią tak od stu lat - powiedział Carrin - ale jeszcze nic nie zrobili.

- Teraz zrobią

- A dlaczego właściwie chcesz lecieć na tego Marsa? - spytała Leela robiąc oko do meza. - Nie ma tam ładnych dziewcząt.

- Nie obchodzą mnie dziewczyny. Chcę polecieć na Marsa i tyle.

- Na pewno by ci się tam nie podobało, kochanie - powiedziała Leela. - Paskudna stara planeta bez powietrza.

- Jest tam trochę powietrza i chcę tam polecieć - upierał się ponuro chłopiec. - Mnie się nie podoba tutaj.

- Co to ma znaczyć? - spytał Carrin podrywając się w fotelu. - Czy ci czegoś tu brakuje? Chciałbyś coś mieć?

- Nie, ojcie. Mam wszystko. - Ilekroć Billy nazywał go „ojcem”, Carrin wiedział, że coś jest nie w porządku.

- Posłuchaj, synu, kiedy byłem w swoim wieku, ja też chciałem lecieć na Marsa. Chciałem robić różne wielkie rzeczy. Chciałem nawet zostać inżynierem serwisu.

- To dlaczego tego nie zrobiłeś?

- Bo dorosłem. Zrozumiałem, że są ważniejsze rzeczy. Najpierw musiałem spłacić dług, który odziedziczyłem po ojcu, potem poznałem swoją matkę...

Leela zachichotała.

- ...i zapragnąłem mieć własny dom. Z tobą będzie tak samo. Spłacisz swój dług i ożenisz się tak jak wszyscy.

Billy przez chwilę milczał. Półem odgarnął z czoła włosy - ciemne i proste jak u ojca - i oblizał wargi.

- A dlaczego ja mam dług, ojcie?

Carrin wszystko mu cierpliwie tłumaczył. Że rodzina potrzebuje wielu rzeczy, żeby żyć w sposób cywilizowany. Że trzeba za to płacić i że jest w zwyczaju, żeby syn, kiedy dorasta, przejmował część długu ojca.

Milczenie Billy'ego irytowało go. Zupełnie, jakby chłopak miał do niego pretensje, po tym jak on latami harował, żeby zapewnić temu niewdzięcznemu szczeniakowi wszelkie luksusy.

- Synu - powiedział surowo - uczyłeś się w szkole historii? To dobrze. W takim razie wiesz, jak to było w przeszłości. Wojny. Chciałbyś być rozerwanym na strzępy?

Chłopak nie odpowiadał.

- Albo czy chciałbyś giąć grzbiet przez osiem godzin dziennie przy pracy, którą powinna wykonywać maszyna? Albo chodzić stale głodny? Albo marznąć i moknąć bez dachu nad głową?

Zrobił przerwę na odpowiedź, nie otrzymał jej i ciągnął dalej.

- Żyjesz w najszcześniejszych czasach w całych dziejach ludzkości. Otaczają cię wszelkie cuda nauki i sztuki. Najwspanialsza muzyka, najlepsze książki i obrazy są w zasięgu twojej ręki. Wystarczy tylko nacisnąć guzik. - Zmienił ton na łagodniejszy. - No i co na to powiesz?

- Zastanawiam się, jak polecieć na Marsa - powiedział chłopiec. - Chodzi o ten dług. Pewno nie da się od tego wykreć?

- Oczywiście, że nie.

- Chyba, żebyś poleciał na gape.

- Ale tego nie zrobisz.

- Jasne, że nie - powiedział chłopiec, ale jakoś jakby bez przekonania.

- Zostaniesz tutaj i ożenisz się z miłą i ładną dziewczyną - stwierdziła Leela.

Jasne - powiedział Billy. - Oczywiście. - Uśmiechnął się nagle. - Z tym Marsem to ja żartowałem. Naprawdę.

- Ciesze się - powiedziała Leela.

- To było tylko tak sobie - Billy uśmiechnął się z przymusem, wstał i pobiegł na górę.

- Pewnie poszedł bawić się swoimi raketami - zauważyła Leela. - Mały urwis.

Carrinowie zjedli w spokoju kolację, po której Carrin musiał iść do pracy. W tym miesiącu miał nocną zmianę. Pocałował na pożegnanie żonę, wsiadł do super-turbo i z rykiem silnika pomknął do fabryki. Automatyczna brama zidentyfikowała go i wpuściła. Zaparkował wóz i wszedł do hali.

Automatyczne tokarki, automatyczne prasy, wszystko było tu zautomatyzowane. Fabryka była wielka i jasna, maszyny mruczały cicho same do siebie wykonując swoją pracę i wykonując ją dobrze.

Carrin poszedł na koniec taśmy montażowej pralek automatycznych, żeby zmienić pracującego tam człowieka.

- Wszystko w porządku? - spytał.

- Jasne - odpowiedział tamten. - W tym roku nie miałem ani jednego braku. Te nowe modele nie mrugają już lampkami, ale mają wmontowany głos.

Carrin usiadł w fotelu i czekał na pierwszą pralkę. Jego praca była szczytem prostoty. Siedział, a maszyny defilowały przed nim. Przy każdej przyciskał guzik i sprawdzał, czy działa. Działały zawsze. Minąwszy go pralki szły do pakowania.

Właśnie podjechała na wałkach pierwsza. Wcisnął włącznik.

- Gotowa do prania - odezwała się pralka automatyczna.

Carrin przycisnął inny guzik i pralka odjechała.

Ten mój chłopak, myślał Carrin. Czy dorosnie i podejmie swoje obowiązki? Czy dojrzeje i stanie się odpowiedzialnym członkiem społeczeństwa? Wątpliwe. Ten chłopak był urodzonym buntownikiem. Jeżeli ktoś kiedyś poleci na Marsa, to właśnie on.

Ta myśl jakos go nie zasmuciła.

- Gotowa do prania - zgłosiła się następna pralka.

Carrin przypomniał sobie coś w związku z Millerem. Ten pełen życia człowiek często mówił o innych planetach, o wyprawach i o ryzyku. Ale tylko mówił. A potem popełnił samobójstwo.

- Gotowa do prania.

Carrin miał przed sobą osiem godzin, poprawił się więc w fotelu i rozluźnił pasek. Osiem godzin przyciskania guzików i słuchania maszyn obwieszczających swoją gotowość do pracy.

- Gotowa do prania.

Przycisnął guzik.

- Gotowa do prania.

Carrin oddalił się myślą od swojej pracy, która, prawdę mówiąc, nie wymagała zbyt wiele uwagi. Nagle uświadomił sobie, co go dreczyło.

Przyciskanie guzików go nie bawiło.



Philip K. Dick

Czy androidy
marzą
o elektrycznych owcach?

BLADE RUNNER

Philip K. Dick napisał powieść „Czy androidy marzą o elektrycznych owcach?” w roku 1968.

Tak się złożyło, że w Polsce napierw stał się dostępny oparty na niej film „Blade Runner”.

Zamieszczone tu dwa pierwsze rozdziały powieści, stanowiące jakby dwa krótkie, odrębne opowiadania, pozwalają wczuć się w atmosferę utworu i dają pojęcie o istotnej różnicy między powieścią i filmem.

„Czy androidy marzą...?” wyraża w sposób bardzo czytelny dwa obsesyjne tematy twórczości Dicka. Jeden to przeciwstawienie sztucznego (fałszywego, podrabianego, złego) i naturalnego (prawdziwego, dobrego).

Sztucznie programowane stany emocjonalne (przez narkotyki lub elektronikę), sztuczne zwierzęta i wreszcie najwyższy stopień oszustwa – sztuczni ludzie. Oto budowana rękami ludzi jeszcze jedna kurtyna między nimi i rzeczywistością, między człowiekiem i prawdą. Zamiast dążyć do prawdy, zrywać zasłony ułud (dla Dicka ważny tu był grecki termin dokos, odpow. „dnik hinduskiej mai”), ludzie odcinają się od prawdziwej rzeczywistości jeszcze jedną, technologiczną barierą.

Drugim tematem przewijającym się przez twórczość Dicka jest problem Mesjasza. Jak zwykle jest to mesjasz podejrzany, najprawdopodobniej też fałszywy. Tutaj jest nim Wilbur Mercer, który ma coś z Mojżesza (znaleziony w nadmuchiwanej łódce) i Chrystusa (umęczenie i zmartwychwstanie).

Wyznawcy podłączając się do aparatury przeżywają jego mekę, wychodząc z realnymi stygmatami (śladowi kamienowania). Niby wszystko pięknie, tylko to pośrednictwo elektroniki...

Pierwszy rozdział, który śmiało mógłby się ukazywać w antologiach opowiadań, demonstrowa Dickowski talent do kreślenia komedii obyczajowej z życia klas średnich, odwiecznych nieporozumień między mężem i żoną, z których każde nadaje na innej fali. I oczywiście, rzecz rozgrywa się w ulubionym przez Dicka krajobrazie spustoszonego, jakże odmiennym od kipiącej życiem wizji filmowej (o filmie piszemy na str. 53).

Powieść ukaże się w całości w jednym z najbliższych wydań kwartalnika PSMF „Feniks”. (L.J.)

Timowi i Serenie Powers,
Mym najdroższym przyjacielom.

Auckland

W dniu wczorajszym zdechł żółw ofiarowany królowi Tonga w 1777 roku przez słynnego podróżnika, kapitana Cooka. Zwierzę miało nieomal 200 lat. Żółw, zwany Tu’imalila, zdechł na terenie królewskiego pałacu w stolicy Tongi, Nuku, wyspa Ałoga. Naród tongański uważał zwierzę za wodza; do doglądania go wyznaczono specjalnych opiekunów. Żółw oślepił kilka lat temu podczas pożaru buszu. Radio Tonga poinformowało, że ciało Tu’imalili zostanie przesłane do Muzeum w Auckland, Nowa Zelandia.

Reuter, 1966

I

Przyjemny, delikatny elektryczny impuls automatycznego budzika wysłany przez stojący przy łóżku programator nastroju obudził Ricka Deckarda. Zdziwiony – zawsze dziwiło go, że niespodziewanie zupełnie nie chce mu się spać – wstał z łóżka ubrany w swą wielobarwną piżamę i przeciągnął się. Leżąc w swoim łóżku jego żona Iran otworzyła szare, niewesołe oczy. Mrugnęła, jęknęła cicho i znowu zamknęła powieki.

– Nastawiłaś swojego Penfieldda na zbyt słaby impuls – powiedział Rick. – Przeprogramuję go, obudzisz się i...

– Nie dotykaj mojego programatora. – Jej głos był nieprzyjemnie ostry. – Wcale nie chce się obudzić.

Usiadł na krawędzi łóżka, pochylił się i zaczął przekonywać ją łagodnie: – Jeżeli zaprogramujesz odpowiednio silny impuls, będziesz zadowolona, że się obudziłaś. Na tym polega cały problem. Przy ustawieniu programu na pozycję C, impuls odblokowuje świadomość. Wiem to po sobie. – Przyjaźnie, bowiem czuł się zyczliwie usposobiony do całego świata, (jego program ustawiony był na D), poklepał jej nagie, nieopalone ramie.

– Trzymaj swoje łapy przy sobie, glino – burknęła

– Nie jestem gliną. – Poczul przyptyw irytacji, choć wcale go nie zaprogramował.

– Jesteś czymś gorszym – oznajmiła żona. Oczy miała zamknięte. – Jesteś mordercą wynajętym przez gliny.

– Nigdy w życiu nie zabiłem ludzkiej istoty. – Jego irytacja polegowała się, stawała się wyraźną wrogością.

– Tylko te biedne andki – odparła Iran.

– Chciałbym zauważyć, że nigdy nie wahałaś się wydać pieniędzy, które dostałem za zrealizowanie listu gończego, na pierwszą lepszą rzecz, jaka ci wpadła w oko. Wstał i podszedł do konsoli swego programatora nastroju. – Zamiast oszczędzać, żebyśmy mogli kupić prawdziwą owcę i zastąpić nią tę elektryczną imitację. Zwykle, elektryczne zwierzę, za moje ciężko wypracowane przez lata zarobki. – Zawahał się, czy zaprogramować tranquilizację międzymózgowia (która usunęłaby jego wściekłość) czy też stymulację (co z kolei podrażniłoby go w sposób wystarczający, by wygrać tę sprzeczkę).

- Jeżeli nastawisz - oznajmiła Iran, patrząc nań uważnie - na większą agresję, nastawie to samo. Nastawie na maksimum i będziesz miał taką drake, przy której zbłądną wszystkie nasze dotychczasowe sprzeczki. No, spróbuj. - Wstała gwałtownie, podskoczyła do swego programatora nastoju i stanęła przy nim, wpatrując się w Ricka z wściekłością.

Westchnął. Jej groźba podziałała. - Nastawie to, co mam zaplanowane na dziś. - Odszukał na tabeli 3 stycznia 2021 i zobaczył, że przewidziana jest poważna, profesjonalna postawa. Jeżeli zaprogramuje zgodnie z planem - zapytał przezornie - czy zrobisz to samo? - Czekal, nie chcąc wykonać pierwszego kroku, zanim żona nie zgodzi się pójść w jego ślady.

- W moim planie na dziś mam sześć godzin depresji połączonej z samooskarżeniem - odparła Iran.

- Co? Dlaczego to wprowadziłaś? - Taki pomysł unicestwiał całą koncepcję programatora nastroju. - Nie miałem pojęcia, że można zaplanować coś takiego - dodał posepie.

- Siedziałam tu pewnego popołudnia - odparła Iran - i oczywiście włączyłam Przyjacielskiego Bustera i Jego Przyjacielskich Przyjaciół. Mówił o wielkiej rewelacji, którą ma zamiar wkrótce ogłosić i wtedy właśnie puszczili tę wstępną reklamówkę, tę, której nie cierpie, wiesz - o Ołowianych Ochroniaczach Mountibanka. Wtedy włączyłam na chwilę dźwięk i wtedy usłyszałam dom, ten dom. Usłyszałam... - wykonała reka.

- Puste mieszkania - powiedział Rick. Czasem sam je słyszał w nocy, kiedy powinien był spać. A przecież obecnie na wpol zamieszkały budynek mieszkalny zajmował wysokie miejsce w statystyce zagęszczenia; tam gdzie przed wojną były kiedyś przedmieścia, można było znaleźć całkowicie puste budynki - tak w każdym razie słyszał. Nie zweryfikował tej informacji; jak większość ludzi nie zależało mu na sprawdzeniu tego bezpośrednio.

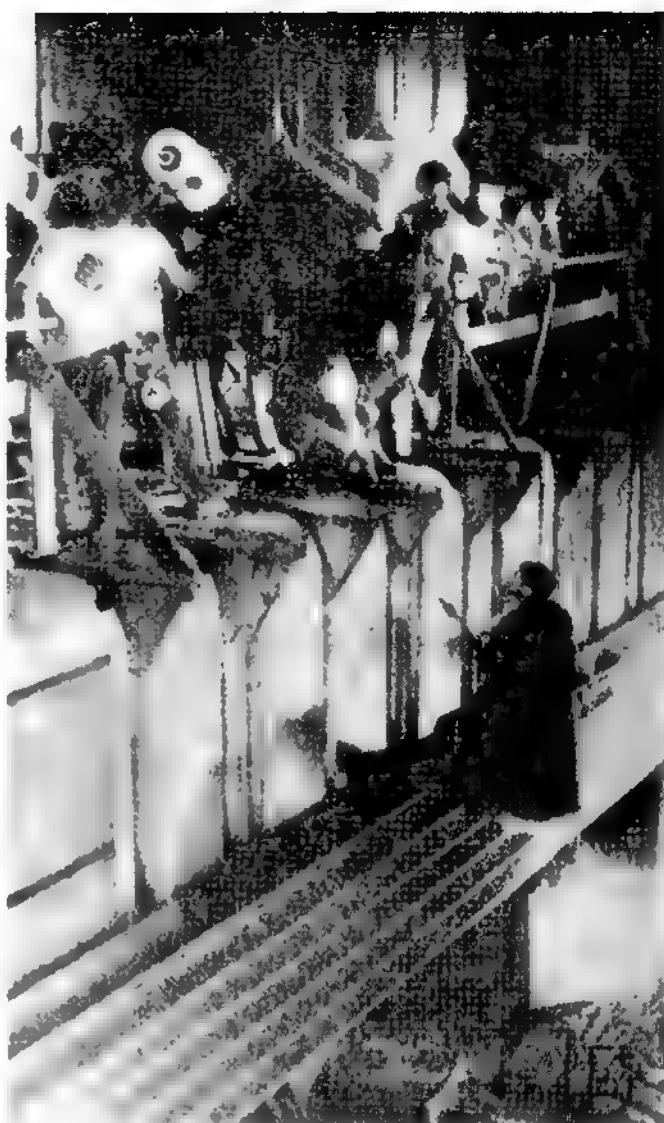
- W chwili, gdy wylączyłam w telewizorze fonie - powiedziała Iran - byłam w nastroju 382, właśnie go nastawiłam. Tak więc, choć odbierałam tę pustkę intelektualnie, nie czułam jej. Moją pierwszą reakcją było uczucie wdzięczności, że stać nas na programator nastroju Penfielda. Ale kiedy uświadomiłam sobie jak niezdrowe jest to odczuwanie nieobecności życia, nie tylko w tym budynku, ale wszędzie i odreagowywanie tego... rozumiesz? Mam wrażenie, że nie. Ale przyjęło uważać to za oznakę choroby umysłowej, nazwano to „brakiem właściwego oddziaływania”. Pozostawiłam więc wylączoną fonie, usiadłam przy programatorze i zaczęłam eksperymentować. I wreszcie znalazłam, jak ustawić rozpacz. - Na jej smagłej, zuchwałej twarzy pojawił się wyraz zadowolenia, jakby udało się jej osiągnąć coś godnego uwagi. - Włączyłam więc ją do mojego planu, dwa razy w miesiącu. Sądzę, że to sensowny okres, by odczuć beznadziejność wszystkiego, beznadziejność pozostawiania tu, na Ziemi, podczas gdy wszyscy rozgarnięci ludzie wylegali, nie uważasz?

- Ale przy takim nastroju - odparł Rick - możesz mieć skłonność do pozostawiania w nim, niewyprogramowania się z niego. Taka rozpacz, obejmująca całkowitą realność, ma tendencję do samopowtarzania.

- Programuję automatyczne przestawienie na 481 trzy godziny później - odparła gładko. - Świadomość otwierających się przede mną rozlicznych możliwości, nowa nadzieja, że...

- Znam 481 - przerwał jej. Wielokrotnie nastawiał tę kombinację, miał do niej wielkie zaufanie. - Posłuchaj - rzekł siadając na łóżku. Ujął ją za ręce i przyciągnął do siebie. - Nawet przy automatycznym wylączeniu narażanie się na jakiegokolwiek depresję jest niebezpieczne. Zapomnij o tym, co zaplanowałaś, a ja zrobię to samo. Nastawimy oboje 104 i przeżyjemy to razem, potem pozostaniesz w tym nastroju, a ja przestawię swój na normalny, urzędowy sposób bycia. Potem chciałbym wskoczyć na chwilę na dach i zobaczyć co z owcą, a później udam się do biura. Będę w ten sposób miał pewność, że tymczasem nie siedzisz tu myśląc nie wiadomo o czym i nie oglądając telewizji. - Puścił jej długie, smukłe palce, przeszedł przez całe rozległe mieszkanie do saloniku jeszcze pachnącego ledwo uchwytnie ostatnimi papierosami wypalonymi w nocy. Pochylił się, by włączyć telewizor. Z sypialni dobiegł go głos Iran.

- Przed śniadaniem nie trawię telewizji.



- Nastaw 888 - powiedział Rick, czekając aż aparat się nagrzej. - Pragnienie oglądania telewizji, bez względu na to, co w niej nadają.

- Nie mam obecnie ochoty nastawiać czegokolwiek - odparła Iran.

- No to nastaw 3.

- Nie mogę nastawiać programu, który pobudzi w mojej korze mózgowej pragnienie nastawiania! Jeżeli nie chce nastawiać, to przede wszystkim nie chce nastawiać tego programu, ponieważ wtedy będę chciała nastawiać, a pragnienie nastawiania jest w tej chwili najbardziej obcym pragnieniem jakie mogłabym sobie wyobrazić. Chce po prostu siedzieć na łóżku i gapić się w podłogę. - Jej głos sławał się ostrzy i ponury, jakby dusza jej zastygła powoli. Iran zamarta, jak gdyby opadł na nią olbrzymi ciężar wyczuwalnej, wszechobecnej cieniutkiej warstewki niemal całkowitego bezruchu.

Podkreślił dźwięk w telewizorze i głos Przyjacielskiego Bustera ryknął, wypełniając cały pokój: - ... hej, hej, kochani. A teraz pora na krótką prognozę pogody. Satelita „Mangusta” informuje, że opad radioaktywny nasili się szczególnie koło południa, po czym będzie się zmniejszał. A więc ci z was, którzy odważą się wyjść...

Iran pojawiła się obok niego w swej długiej, włokącej się po ziemi koszuli nocnej i wylączyła telewizor. - W porządku, poddaje się. Nastawie. Nastawie cokolwiek zechcesz. Może ekstatyczny orgazm? Czuje się tak paskudnie, że zniósę nawet to. Do diabła. W końcu, co to za roznica.

- Nastawie dla nas obojga - odparł Rick i zaprowadził ją z powrotem do sypialni. Tam zaprogramował na jej konsoli 549 - pełne zadowolenia uświadomienie niepospolitej wszechwiedzy męża. Na swojej konsoli nastawił twórcy i pełny odwagi stosunek do pracy, choć w gruncie rzeczy nie potrzebował tego. Była to jego wrodzona, zwykła cecha, nie wymagająca odwoływania się do sztucznego pobudzania mózgu.

Po zjedzonym w pośpiechu śniadaniu – stracił czas na dyskusję z żoną – wyjechał, ubrany do wyjścia (miał również na sobie Ołowiane Ochraniające Mountibanka typu Ajax) na dach, gdzie na osłoniętym pastwisku „pa-sła się” jego elektryczna owca, wymyślna, skomputeryzowana maszyna do nabierania innych mieszkańców budynku.

Oczywiście, niektóre z ich zwierząt również niewątpliwie były elektronicznymi imitacjami. Rzecz jasna, nigdy nie wtykał nosa w te sprawy, podobnie jak oni, jego sąsiedzi, nie interesowali się prawdziwymi zasadami działania jego owcy. Chyba nie było czegoś bardziej niegrzecznego. Pytanie „Czy pańska owca jest prawdziwa?” byłoby większym nietaktem niż dowiadywanie się, czy czyjes zeby, włosy albo wewnętrzne organy są rzeczywiście autentyczne.

Buchnęło nań, drażniąc powonienie, szare, pochmurne powietrze z wirującymi pyłkami radioaktywnego kurzu. Mimowolnie wciągnął nosem ten ślad śmierci. No nie, to zbyt silne określenie, uznał idąc w stronę fragmentu trawnika, który należał doń wraz ze znajdującym się poniżej nazwiskiem mieszkaniem. Nasilenie tego dziedzictwa Ostatniej Wojny Światowej wyraźnie zmalało; ci, którzy nie zdołali przeżyć opadu radioaktywnego przed wieloma laty odeszli w niebyt, pył zaś – słabszy i oddziaływający na silniejsze, uodpornione jednostki – niszczył jedynie umysły i wypaczał właściwości genetyczne. Mimo ołowianych ochraniaczy, kurz niewątpliwie dzień po dniu osiadał na skórze, przedostając się do wnętrza Ricka, gromadząc niewielkie dawki plugawej nieczystości dopoty, dopoki nie uda mu się wyemigrować. Jak dotąd comiesięczne kontrole medyczne potwierdzały, że jest normalnie – mężczyzną zdolnym do prokreacji w granicach określonych przez prawo. Jednakże w każdym miesiącu badania przeprowadzane przez lekarzy z Komendy Policji San Francisco mogły wykazać coś wręcz przeciwnego. Za sprawą wszeobecnego pyłu dotychczasowi normalnie wciąż przekształcali się w nowe odmiany specjali. Obiegowe hasło, które wciskały obecnie plakaty, reklamy telewizyjne, rządowe ulotki przysyłane pocztą, brzmiało: „Emigruj, albo się degeneruj! Wybór należy do ciebie!” Zupełnie słusznie, pomyślał Rick, otwierając bramkę prowadzącą na jego małe pastwisko i zbliżając się do elektrycznej owcy. Ale ja nie mogę emigrować, rzekł do siebie. Ze względu na moją pracę.

Zawołał go właściciel przyległego pastwiska, sąsiad z budynku – Bill Barbour. Podobnie jak Rick był już ubrany do pracy, ale również zatrzymał się, by sprawdzić jak się ma jego zwierze.

– Moj kon – oznajmił rozpromieniony Barbour – jest w ciąży. – Wskazał wielkiego perszerona, który stał patrząc tępo w przestrzeń. – Co na to powiesz?

– Powiem, że wkrótce będziesz miał dwa konie – odparł Rick. – Dotarł już do swojej owcy. Leżała, przeżuując, wpatrywała się weń uważnie badając, czy nie przyniosł owsianych bułeczek. Miała wmontowany obwód owsotropiczny – widząc jakikolwiek wyrób z tego zboża, zerwałaby się i podbiegłaby do niego.

– Od czego zaszła twoja klacz? – zapytał Barboura. – Od wiatru?

– Kupiłem trochę najwyższej jakości plazmy inseminacyjnej, jaką można znaleźć w Kalifornii – poinformował go Barbour. – Dzięki moim prywatnym znajomościom w Stanowym Biurze Zootechnicznym. Pamiętasz, jak w ubiegłym tygodniu ich inspektor badał Judy? Bardzo chcą, żeby się ożrebiła, ona nie ma sobie równych. – Barbour poklepał pieszczotliwie kark klaczy, a ona pochylała głowę w jego stronę.

– Czy myślałeś kiedykolwiek o sprzedaży konia? – zapytał Rick. Marzył o tym, by mieć konia albo na dobrą sprawę, jakiegokolwiek zwierze. Czuł, że posiadanie i obrządzanie imitacji w jakiś sposób stopniowo go demoralizowało. Mimo to jednak, ze społecznego punktu widzenia, nie posiadając autentyku tak właśnie powinien był postępować. Nie miał najmniejszego wyboru, musiał to ciągnąć dalej. Nawet gdyby jemu samemu na tym nie zależało, pozostawała jeszcze żona. Iran zaś zależało – i to bardzo.

– Sprzedaż konia – odparł Barbour – byłaby niemoral-

na. – No to sprzedaj żrebie. Posiadanie dwóch zwierząt jest bardziej niemoralne, niż nieposiadanie żadnego.

– O co ci chodzi? – spytał zaskoczony Barbour. – Wiele osób ma dwoje zwierząt, nawet trzy, cztery, a Fred Washborne, właściciel zakładów przetwórstwa alg, gdzie pracuje mój brat, aż pięć. Czy nie czytałeś artykułu o jego kaczkach we wczorajszej „Chronicle”? Przypuszczają, że jest to najcieńszy i największy okaz kaczkki piżmowej na Zachodnim Wybrzeżu. – Jego oczy zaszkliły się marzycielsko na samą myśl o posiadaniu czegoś takiego. Stopniowo pogrążył się w trans.

Rick przeszukał kieszenie płaszcza i wyciągnął wymięty, wielokrotnie przeglądany egzemplarz styczniowego dodatku do Katalogu Zwierząt i Ptaków Sidneya. Spojrzał do indeksu, znalazł żrebaki (patrz konie, potomstwo) i wkrótce miał już najczęściej spotykane krajowe notowania cen. – Mogę kupić od Sidneya żrebaka perszerona za pięć tysięcy dolarów – oznajmił.

– Nie, nie możesz – odparł Barbour. – Przyjrzyj się jeszcze raz notowaniom, są podane kursywy. To znaczy, że nie mają żadnego na składzie, ale gdyby mieli, cena byłaby właśnie taka.

– Zalóżmy – powiedział Rick – że przez dziesięć miesięcy będę ci płacił po pięćset dolarów. Dostaniesz pełną cenę katalogową.

– Zupełnie się nie orientujesz, Deckard, jak wygląda sprawa z końmi – rzekł Barbour z politowaniem w głosie. – To nie przypadek, że Sidney nie ma żadnego żrebaka perszerona. One nie zmieniają właścicieli ot, tak sobie – nawet po cenach katalogowych. Są zbyt wielką rzadkością, również i te stosunkowo gorszej jakości. – Przechylił się, gestykulując, przez ogrodzenie. – Mam Judy od trzech lat i przez cały ten czas nie widziałem mogącej się z nią równać kobyły tej rasy. Aby ją zdobyć, musiałem lecieć do Kanady i przywieźć ją tu osobiście, by mieć pewność, że jej nie ukradną. Pokażesz się z takim zwierzęciem gdzieś w Colorado czy Wyoming i rozwalą ci głowę, żeby ją zdobyć. Wiesz dlaczego? Bo już przed O.W.Ś. było ich zaledwie kilkaset...

– Ale – przerwał mu Rick – to, że masz dwa konie, a ja nie mam żadnego, podważa fundamenty teologicznej i moralnej struktury merceryzmu.

– Przecież masz swoją owcę. Do licha, możesz prowadzić Wspinaczkę w swym życiu osobistym i kiedy ujmiesz dwa uchwytów empatii, przystępujesz do tego uczciwie. Oczywiście, gdybyś nie miał tej swojej owcy, wtedy mógłbym dostrzec pewne logiczne przesłanki twojego stanowiska. Oczywiście, gdybym miał dwoje zwierząt, ty zaś nie miałbyś żadnego, mógłbym przyczynić się do odbierania ci możliwości prawdziwego zespolenia Mercerem. Ale każda rodzina w tym budynku – poczekaj; około pięćdziesięciu, jedna na trzy mieszkania, o ile dobrze liczę – każde z nas ma jakieś zwierze. Graveson trzyma tam swego kurczaka. – Wskazał na północ. – Oakes z żoną mają tego dużego, rudego psa, który szczerka nocami. – Zamyślił się. – Mam wrażenie, że Ed Smith ma w swoim mieszkaniu kota. W każdym razie tak utrzymuje, ale nikt go jeszcze nie widział. Możliwe, że tylko udało się.

Rick podszedł do swojej owcy i pochylił się nad nią. Grzebał w gestej, białej wełnie – przynajmniej runo było prawdziwe – aż wreszcie znalazł to, czego szukał: ukryty mały pulpit sterowniczy. Czując na sobie wzrok Barboura otworzył pokrywę pulpitu, odsłaniając wnętrze. – Wiesz? – rzekł do sąsiada. – Teraz rozumiesz, dlaczego tak bardzo chcę mieć twojego żrebaka?

– Biedaku – Barbour odezwał się po krótkiej przerwie.

– Czy to zawsze tak było?

– Nie – odparł Rick zamykając pokrywę. Wyprostował się, odwrócił i spojrzał sąsiadowi prosto w twarz. – Początkowo miałem prawdziwą owcę. Dał nam ją mój teść, bezpośrednio przed tym jak wyemigrowałem. A później, mniej więcej rok temu, pamiętasz, wtedy wziąłem ją do weterynarza – byles tu tego ranka, kiedy przyszedłem i zobaczyłem, że leży na boku i nie może się podnieść.

– Postawiłeś ją na nogi – przypomniał sobie Barbour i skinął głową. – Tak, udało ci się ją podnieść, ale chodziła tylko minutę albo dwie i znowu upadła.

– Owce cierpią na dziwne choroby – powiedział Rick. – Albo ująłbym się inaczej. Owce zapadają na wiele chorób, ale objawy są zawsze takie same – owca nie może się podnieść i nie sposób ocenić, do jakiego stopnia jest to poważne, czy skreśliła nogę, czy zdycha na tęczę. Moja padła właśnie na tęczę.



- Teżec? Tutaj? - zapytał Barbour. - Na dachu?

- Siano - wyjaśnił Rick. - Nie wyjąłem wtedy z beli wszystkich kawałków drutu. Jeden został i Groucho - tak ją nazywaliśmy - zadrapała się i w ten sposób zaraziła się teżcem. Zabrałem ją do weterynarza i zdechła. Długo o tym myślałem, aż wreszcie poszedłem do jednego z tych sklepów, w których produkują sztuczne zwierzęta i pokazałem im fotografię Groucho. Zrobili mi to. - Wskazał leżące pseudozwierzę, które w dalszym ciągu przeżuwało uważnie, stale oczekując na jakikolwiek ślad owsa.

- Wspaniała robota. I poświęcam jej równie wiele czasu i opiekuję się równie starannie, jak wtedy, kiedy była prawdziwa. Ale... - Wzruszył ramionami...

- To nie to samo - skończył za niego Barbour.

- Ale prawie. Przy obrządzaniu jej czuje się to samo. Trzeba wciąż bardzo na nią uważać, podobnie jak wtedy, kiedy była naprawdę żywa. W przeciwnym razie popsuje się i wtedy wszyscy w całym domu się zorientują. Musiałem sześć razy wozić ją do warsztatu. Przeważnie były to drobne usterki, ale gdyby ktoś je zobaczył - na przykład wtedy, gdy zerwała się, czy jakoś zaplątała taśmą i owca beczala bez przerwy - mógłby zorientować się, że jest to mechaniczne urządzenie. Ciężarówka z warsztatu naprawczego - dodał - jest oczywiście oznakowana „Jakaś tam klinika dla zwierząt”. I kierowca ubrany jest jak weterynarz, cały na biało. - Spojrzał nagle na zegarek, przypominając sobie o czasie. - Muszę iść do pracy - rzekł do Barboursa. - Zobaczymy się wieczorem.

Gdy ruszył w stronę swego pojazdu, Barbour zawołał z pośpiechem w ślad za nim. - Hej. Nic nie powiem żadnemu z tutejszych mieszkańców.

Rick zatrzymał się, by podziękować, ale w tej samej chwili poczuł, jak dotyka go jakaś część owej rozpacz, o której mówiła Iran i rzekł: - Bo ja wiem. Może nie ma to żadnego znaczenia.

- Ale przecież będą patrzeć na ciebie z góry. Nie wszyscy, ale niektórzy tak. Wiesz, co ludzie myślą, jeżeli ktoś nie opiekuje się zwierzęciem. Uważają to za niemoralne i nieempatyczne. Oczywiście, teoretycznie nie jest to przestępstwem, tak jak tuż po O.W.S., ale emocje pozostały te same.

- O Boże - rzekł Rick beznadziejnym tonem i machnął ręką. - Przecież chcę mieć zwierzę. Próbuje je kupić. Ale przy mojej pensji, przy zarobkach miejskiego urzędnika... - Gdyby, pomyślał, znowu mi się poszczęściło w pracy. Tak jak dwa lata temu, kiedy udało mi się w jednym miesiącu upolować cztery andki. Gdybym wtedy wiedział, pomyślał, że Groucho zdechnie... ale to było przed teżcem. Przed tym dwucalowym, ostrym jak igła kawałkiem drutu.

- Możesz kupić kota - zaproponował Barbour. - Koty są tanie, możesz sprawdzić w swoim Sidneyu.

- Nie chcę domowego zwierzęcia - odparł cicho Rick. - Chcę mieć to, co miałem poprzednio - duże zwierzę. Owce albo jeżeli uda mi się zdobyć pieniądze, krowę czy wołu, albo to, co ty masz - konia. - Nagroda za usunięcie pięciu andków by wystarczyła, uzmysłowił sobie. Po tysiąc dolarów od sztuki, dodatkowy dochód poza moją pensją. A wtedy mógłbym dostać od kogoś to, czego pragnę. Nawet jeżeli w Zwierzętach i Ptakach Sidneya wydrukowali cenę kursową. Pięć tysięcy dolarów - ale, pomyślał, najpierw te pięć andków musi się przedostać na Ziemię z którejś planety-kolonii. Nie mogę mieć na to wpływu, nie mogę ich zmusić, by tu przyleciały, a nawet gdybym mógł, są jeszcze inni łowcy, którzy na całym świecie współpracują z policyjnymi organami. Andki musiałyby specjalnie upodobać sobie Północną Kalifornię, a starszy łowca w tym rejonie, Dave Holden, musiałby akurat umrzeć albo się wycofać.

- Kup sobie świerszcza - zaproponował Barbour dowcipnie. - Albo mysz. Hej, za dwadzieścia pięć zielonych możesz sobie kupić dorosłą mysz.

- Twój koń może niespodziewanie zdechnąć - odparł Rick - tak jak zdechła moja Groucho. Kiedy wrócisz wieczorem z pracy do domu, możesz znaleźć swoją kobyłę leżącą na grzbiecie, z nogami sterczącymi w powietrzu, jak chrabąszcz. Jak ten świerszcz, o którym mówiłeś.

- Przepraszam, jeżeli cię uraziłem - powiedział Barbour nerwowo.

Rick Deckard w milczeniu otworzył drzwiczki swego Spinnerera - turbinowego pojazdu pionowego startu i lądowania. Nie miał już nic do powiedzenia sąsiadowi, myślał o swojej pracy, o czekającym go dniu.



II

W gigantycznym, pustym, chylącym się ku ruinie budynku, gdzie mieszkały niegdyś tysiące ludzi, po jedynym telewizorze wydierał się w bezludnym pokoju.

Ta bezpanska ruina przed Ostatnią Wojną Światową była zadbanym i utrzymywanym w dobrym stanie blokiem mieszkalnym. Tu właśnie były przedmieścia San Francisco, położone od centrum w odległości krótkiego dojazdu szybka, tranzytowa koleją jednoszynową. Cały półwysep jak drzewo pełne ptaków świegował życiem, dzwieczył wyrażanymi opiniami, prośbami i zażaleniami, a teraz pieczołowici właściciele albo poumierali, albo wyemigrowali do kolonii, na inne planety. Najczęściej poumierali – ta wojna drogo kosztowała mimo buńczucznych prognoz Pentagonu i jego zadowolonego z siebie naukowego wasala, jakim była mieszcząca się niegdyś niedaleko stąd Rand Corporation. Korporacja, podobnie jak właściciele mieszkań, odeszła, najwidoczniej na dobre. Nikt nie odczuwał jej braku.

W dodatku, nikt już dziś nie pamiętał ani jaki był powód tej wojny, ani kto ją wygrał. Pył radioaktywny, który zatruł większą część powierzchni planety nie zrodził się w żadnym konkretnym kraju i nikt, nawet ówczesny przeciwnik, nie zaplanował takiego rozwoju wypadków. Dziwne, ale pierwsze wyginęły sowy. Wtedy wydawało się to nieomal śmieszne. Grube, puchate, białe ptaki leżały tu i tam, na podwórkach i ulicach. Kiedy jeszcze żyły, pojawiały się nie wcześniej niż po zmroku i przez to nie rzucały się w oczy. Morowe powietrze w średniowieczu dawało o sobie znać w podobny sposób – pod postacią wielkiej liczby martwych szczurów. Ta zaraza jednak przyszła z góry.

Po sowach przyszła oczywiście kolej na inne ptaki, ale wtedy tajemnica została już wyjaśniona i zrozumiana. Jeszcze przed wojną rozpoczęto realizację skromniutkiego programu osiedlenczego, ale teraz, gdy słońce przestało świecić nad Ziemią, kolonizacja weszła w całkowi-

cie nową fazę. W związku z tym również i sprzęt bojowy, jakim był Synteletyczny Żołnierz Wolności został zmodyfikowany.

Zdolny do działania na obcych planetach humanoidalny robot, czy też raczej organiczny android, stał się siłą napędową programu kolonizacyjnego.

Zgodnie z oenztowskim prawem, każdy emigrant automatycznie otrzymy-

wał na własność androida wybranego typu i w 2019 roku różnorodność odmian przeszła wszelkie wyobrażenia, podobnie jak miało to miejsce z amerykańskimi samochodami w latach szeszedziesiątych XX wieku.

Stało się to ostatecznym bodźcem skłaniającym do emigracji – służący-android był marchewką, radioaktywny opad – batem. ONZ czyniła emigrację łatwą, pozostanie zaś trudnym, jeżeli nie niemożliwym. Potencjalnie, waleśanie się po Ziemi oznaczało możliwość raptownego, znalezienia się w grupie osób biologicznie niepożądanych, stanowiących zagrożenie dla dziedziczności rasy. Obywatel, którego już raz zaszufladkowano jako specjalę, nawet jeżeli zgodził się na sterylizację, wypadł z gry, w gruncie rzeczy przestawał być częścią rodzaju ludzkiego. Mimo to jednak tu i owdzie ludzie odmawiali wyemigrowania; było to nawet dla tych, których dotyczyło bezpośrednio, czymś zadziwiająco irracjonalnym. Zgodnie z logiką, każdy normalny powinien był już wyemigrować. Być może Ziemia, choć tak oszpecona, pozostawała czymś bliskim, czymś czego należało się trzymać. Albo,

**BLADE
RUNNER**

być może ci, którzy nie chcieli emigrować wyobrażali sobie, że warstwa pyłu w końcu ulegnie rozproszeniu. W każdym bądź razie pozostały tysiące osób, które najczęściej zgromadziły się w miejskich regionach, tam, gdzie mogły widzieć się nawzajem, czerpać otuchy ze wspólnej obecności. Sprawiali oni wrażenie stosunkowo zdrowych umysłowo. A poza tym, jako wątpliwej wartości dodatek do nich, pewne szczególne jednostki pozostały na całkowicie opuszczonych przedmieściach.

John Isidore, który golił się w łazience, podczas gdy w salonie wydierał się nan telewizor, był jednym z nich.

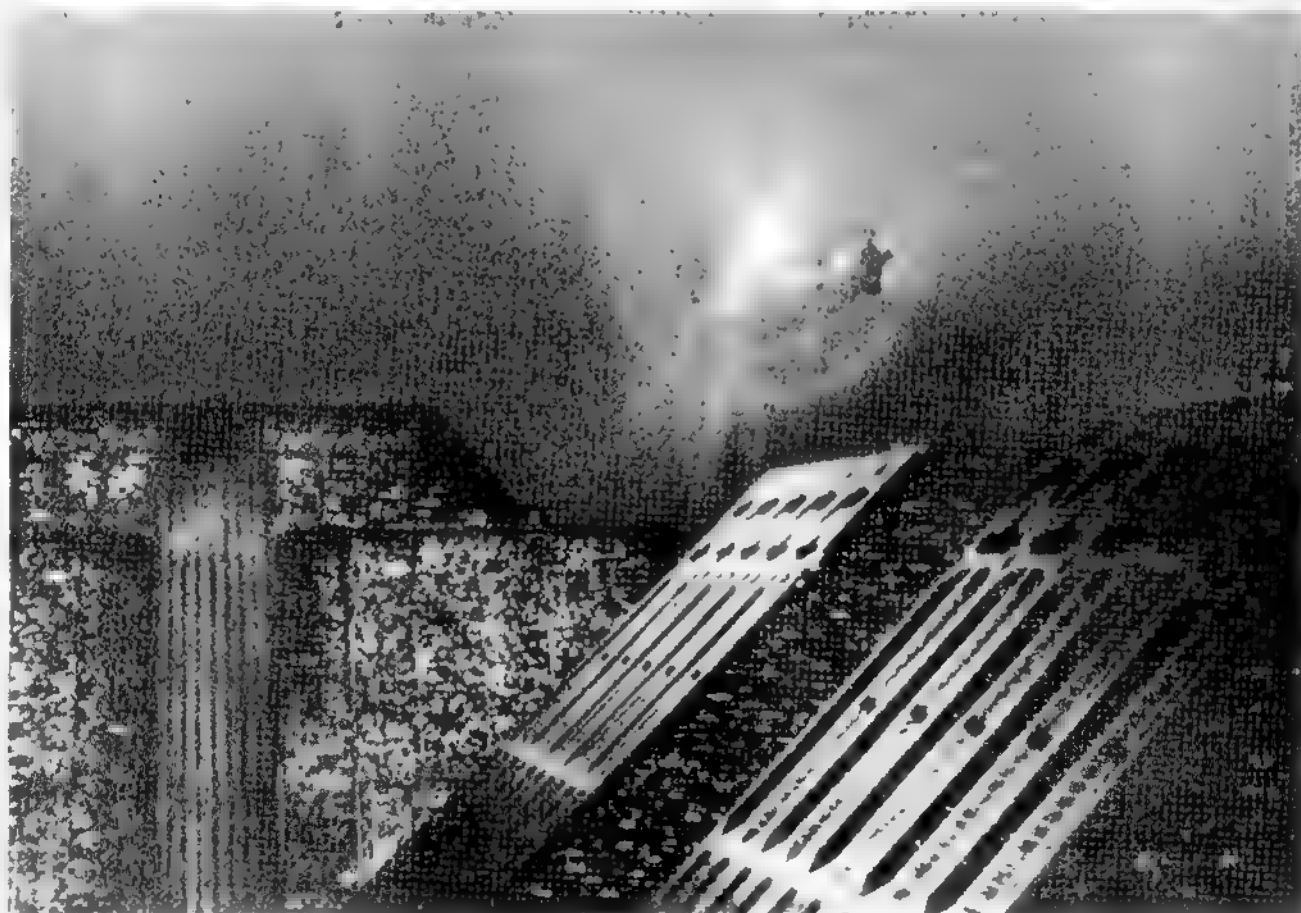
Po prostu zabrakło tutaj wkrótce po wojnie. W tych złych czasach nikt właściwie nie wiedział, co robi. Ludność, oderwana od swych zwykłych miejsc przez wojnę, włączyła się, osiedlała na jakiś czas to w jednym regionie, to znów w drugim. W owych czasach opady radioaktywne były rzadkie i bardzo zmienne – w niektórych stanach nie występowały prawie wcale, inne otrzymywały dużą dawkę. Uchodzcy wędrowali, gdy przesuwali się opady pyłu. Połwysep na południe od San Francisco początkowo był czysty i wiele osób wykorzystało to i osiedliło się w tym miejscu. Gdy pojawił się pył, część umarła, część zaś odeszła. J.R. Isidore pozostał.

głównego osiedla Stanów Zjednoczonych na Marsie. Jego zaś niezbyt sprawny aparat odbierał tylko kanał, który został znacjonalizowany podczas wojny. Rząd w Waszyngtonie i jego program kolonizacyjny był jedynym sponsorem programu, którego Isidore zmuszony był słuchać.

– Posłuchajmy pani Maggie Klugman – zaproponował spiker Johnowi Isidore, który chciał tylko dowiedzieć się, która godzina. – Pani Klugman, która przybyła niedawno na Marsa i zamieszkała w Nowym Nowym Jorku, w swym wywiadzie nagrany na żywo powiedziała nam co następuje. – Pani Klugman, jak mogłaby pani porównać swą egzystencję tam, na zatrutej Ziemi, z życiem tutaj, w świecie bogatym we wszystkie dające się wyobrazić możliwości? – Chwila ciszy, a następnie zmęczony, oschły głos kobiety w średnim wieku odpowiedział: – Sądze, że ja i moja trzyosobowa rodzina najsilniej odczuwamy godność.

– Godność, pani Klugman? – zapytał spiker.

– Tak – odparła pani Klugman, obecnie z Nowego Nowego Jorku. – To trudno wyjaśnić. Posiadanie służącego, na którym można polegać w naszych trudnych czasach... to mi dodaje otuchy.



Odbiornik telewizyjny darł się:

...powtarza błogosławione czasy Południa przed Wojną Secesyjną! Czy to jako personalny służący, czy też nieustrudzony pracownik rolny, wykonany specjalnie na zamówienie humanoidalny robot – zaprojektowany został wyłącznie dla TWYCH POTRZEB – DLA CIEBIE I TYLKO DLA CIEBIE! Otrzymasz go całkowicie bezpłatnie natychmiast po przyjeździe, zgodnie z obietnicą daną ci przed opuszczeniem Ziemi. Ten lojalny, niekłopotliwy towarzysz w największej, najbardziej zuchwałej przygodzie podjętej przez człowieka w jego najnowszej historii, zapewniam... – I tak dalej, i tak dalej.

Ciekawe, czy spóźniłem się do pracy, zastanowił się Isidore podczas golenia. Nie miał zegarka i uzależniony był od sygnałów czasu nadawanych przez telewizję, dziś jednak był najwidoczniej Dzień Kosmicznych Perspektyw. W każdym bądź razie telewizja twierdziła, że jest to pięta (a może szósta) rocznica założenia Nowej Ameryki,

– Czy dawniej, na Ziemi, pani Klugman, nie obawiała się pani również tego, że zostanie zaliczona, hmm... do specjalistów?

– Och, mój mąż i ja zamartwialiśmy się tym prawie na śmierć. Oczywiście, gdy tylko wyemigrowaliśmy, ten problem zniknął, całe szczęście, na zawsze.

Dla mnie również zniknął, pomyślał kwaśno John Isidore, i wcale nie musiałem w tym celu emigrować. Od ponad roku był już specjałem i to nie tylko ze względu na swe zniekształcone geny. Co gorsza, oblał test na minimalny poziom inteligencji i dzięki temu stał się osobnikiem zwanym potocznie kurzym mózdzkiem. Spadła nań pogarda wszystkich trzech planet, ale mimo to jakoś udało mu się przeżyć. Pracował, prowadząc ciężarówkę w zakładzie naprawczym sztucznych zwierząt. Klinika Zwierząt Van Ness i jej posepny, niesamowity szef Hannibal Sloat uznali go za człowieka, on zaś potrafił to docenić. *Mors certa, vita incerta*, jak to od czasu do czasu



Wszystkie zdjęcia zostały wykonane podczas przygotowań oraz w trakcie realizacji filmu

BLADE RUNNER

oznajmiał pan Sloat. Isidore, choć słyszał ów zwrot wiele razy, miał jedynie mgliste pojęcie co on oznaczał. W końcu, gdyby kurzy mózdek rozumiał po łacinie, przestałby być kurzym mózdzkiem. Kiedy panu Sloatowi zwrócono na to uwagę, przyznał rację. W

końcu istniały kurze mózdzki nieporównywalnie głupsze niż Isidore, takie, które nie były w stanie wykonywać żadnej pracy i przebywały w zakładach zamkniętych zwanych osobliwie „Instytutami Specjalnych Umiejętności Zawódowych w Ameryce”. Słowo „specjalnych” jak zawsze musiało się tu w takiej czy innej formie znaleźć.

– ... mąż pani nie czuł się wystarczająco zabezpieczony – ciągnął dalej spiker – mimo że posiadał i stale nosił drogi i niewygodny ochraniacz antyradiacyjny, nieprawdaż, pani Klugman?

– Mój mąż – zaczęła pani Klugman, ale w tej właśnie chwili Isidore skończył się golić, wkroczył do salonu i wyłączył aparat.

Cisza. Wybuchła z framug drzwi i okien, ze ścian, poraziła straszliwą, całkowitą potęgą, jakby wytwarzaną przez olbrzymią siłownię. Unosiła się z podłogi całkowicie pokrytej wystrzepioną szarą wykładziną. Wyrwała się z całkowicie lub częściowo popsutych akcesoriów kuchennych, martwych urządzeń, które nie działały nigdy, od kiedy mieszkał tu Isidore. Sączyła się z bezużytecznej, stojącej lampy w salonie, przeplatając się z sobą samą sączącą się bezgłośnie z upstrzonego przez muchy sufitu. W istocie potrafiła wylać się z każdego przedmiotu znajdującego się w zasięgu wzroku, jakby miała ona,

cisza, zamiar wyrugować wszystkie namacalne przedmioty. Stąd też atakowała nie tylko jego uszy, ale i oczy; gdy stał tak przy martwym telewizorze, odczuwał ciszę jako coś widzialnego, i na swój sposób, żywego. Żywego! Już poprzednio często czuł, jak zbliża się surowo i groźnie; gdy zjawiała się, wybuchała bez najmniejszej subtelności, najwidoczniej niezdolna czekać. Cisza tego świata nie mogła pohamować swej zachłanności. Już ani chwili dłużej. Już nie wtedy, kiedy właściwie zwyciężyła.

Zastanawiał się wówczas, czy inni ludzie, którzy pozostali na Ziemi, odczuwają pustkę w ten sam sposób. Czy też jest to coś ściśle związanego z jego specyficzną, biologiczną tożsamością, fenomen wytworzony przez jego niesprawne zmysły? To ciekawe pytanie, pomyślał Isidore. Z kim jednak mógłby skonfrontować swoje spostrzeżenia? Mieszkał sam w tym rozkładającym się, ślepym gmachu o tysiącu nie zamieszkanym mieszkań, który podobnie jak wszystkie inne do niego podobne, dzień po dniu stawał się coraz większą entropijną ruiną. Ostatecznie, wszystko w tym budynku połączy się, stanie się bezosobowym i identycznym, zwyczajnym kisielowatym chłamek wypełniającym każde mieszkanie aż po sufit. A potem, ten zaniedbany budynek również straci swój kształt, zostanie pogrzebany pod wszechobecnym pyłem. Do tej pory, rzecz jasna, on sam będzie już martwy, kolejne wydarzenie, które ciekawie jest przewidywać stojąc tu, w tym porażonym salonie sam na sam z pozbawioną płuc, wszystko przenikającą, władczą światłością.

Może lepiej byłoby włączyć telewizor. Ale reklamy adresowane do pozostałych normalni budziły w nim strach. Powiadały go o niezliczonych przejawach rozwoju w dziedzinach, w których on, specjal, był kimś niepożądanym. Był bezużyteczny. Nie mógł, nawet gdyby chciał, wyemigrować. Po co więc tego słuchać? – zadał sobie pytanie, poirytowany. Do diabła z nimi i ich kolonizacją. Mam nadzieję, że tam też wybuchnie wojna, w końcu teoretycznie było to możliwe, i skończy się tam tak, jak na Ziemi. I każdy, kto wyemigrował, zostanie specjalem.

Dobra, pomyślał, trzeba się zabierać do roboty. Dotknął klamki, która otwierała przed nim drogę do nie oświetlonego korytarza i cofnął się, gdy dostrzegł pustkę pozostałej części budynku. Czaiła się tam oczekując na niego siła, która – jak wyczuwał – pracowniczo przenikała do jego mieszkania. O Boże, pomyślał i zamknął drzwi. Nie był jeszcze przygotowany do wędrowki tymi dudniącymi metalicznie schodami na płaski dach, gdzie nie miał żadnego zwierzęcia. Echo jego wspinaczki, echo nicości. Czas, by ująć uchwyty, powiedział do siebie i przeszedł przez salon, do czarnej skrzynki empatycznej.

Gdy włączył ją, z zasilacza wydobył się charakterystyczny, słaby zapach jonów ujemnych. Wciągnął je skwapliwie do płuc czując się już podniesiony na duchu. W tym czasie kineskop rozjarzył się słabą imitacją obrazu telewizyjnego, powstał kolaż utworzony z pozornie przypadkowych kolorów, linii, kształtów, które do chwili ujęcia uchwytów nic nie znaczyły. Nabral więc głęboko powietrze w płuca, by się uspokoić i ujął oba uchwyty.

Obraz ustalił się. Zobaczył natychmiast znajomy krajobraz, brunatny, nagięte wznieśnienie z kępami wyschniętych na pieprz traw sterzących ukośnie w blade, pozbawione słońca niebo. Pojedyncza postać, mniej więcej o ludzkich kształtach brnęła pod górę; stary człowiek odziany w wyszarzałą, bezkształtną szatę, okrycie tak niedzne, jakby urwane z wrogiej pustki nieba. Człowiek ten, Wilbur Mercer, posuwał się z trudem przed siebie, i gdy John Isidore zaciskał uchwyty czuł, jak stopniowo znika widok salonu, w którym stał. Zniszczone umeblowanie, ściany rozplynęły się i przestał je zupełnie dostrzegać. Zamiast tego, jak zawsze, znalazł się na brunatnym wzgórzu, pod bezbarwnym niebem. Jednocześnie przestał już widzieć wspinaczkę starego człowieka. Teraz jego własne stopy przesuwają się, szukają oparcia wśród znajomych, luźnych kamieni, czuł te same, daw-

ne, sprawiające ból, nierówności pod stopami i znowu poczuł drażniące opary w powietrzu – powietrzu nie Ziemi, lecz jakiegoś obcego, odległego, ale dzięki empatycznej skrzynce natychmiast dostępnego miejsca.

Przedostał się tam w sposób, który jak zawsze wprawiał go w zdumienie. Nastąpiło fizyczne zespolenie, podobnie jak umysłowa i duchowa identyfikacja z Wilbur Mercerem. Podobnie działo się ze wszystkimi, którzy trzymali uchwyty czy to tutaj na Ziemi, czy też na którejś ze skolonizowanych planet. Czuł ich, łączył w sobie bełkot ich myśli, słyszał w swym mózgu hałas ich wielu pojedynczych istnień. Oni i on dbali tylko o jedno – to zespolenie umysłów zwracało ich uwagę na wzgórze, na wchodzenie po zboczach, na konieczność wspinaczki. Krok za krokiem przekształcało się, tak wolno, że omal niepostrzegalnie. A było. Wyżej, pomyślał, podczas gdy kamienie grzechocząc toczyły się spod jego stóp. Dziś jestem wyżej niż wczoraj, a jutro... – on sam, zbiorcza postać Wilbura Mercera, spojrziała do góry, by popatrzeć na leżące przed nią podejście. Nie sposób dotrzeć do samego końca. Za daleko. Ale to nastąpi.

Cisnięty w niego kamień uderzył go w ramię. Poczuł ból. Zrobił półobrót i kolejny kamień przeleciał obok niego, chybiając. Uderzył w ziemię i ten odgłos zaskoczył Johna. Kto? – pomyślał, próbując dostrzec swego dręczyciela. Dawni przeciwnicy ukazali się na granicy jego pola widzenia. Szli jego śladem na wzgórze i pozostaną aż do samego szczytu...

Przypomniawszy sobie wierzchołek, niespodziewanie płaski szczyt wzgórza. Tam kończyło się podejście i rozpoczynała następna część. Ile razy szedł tą drogą? Kolejne podejścia zamglily się, przyszłość i przeszłość, zamglily się, to czego doświadczył i czego będzie doświadczał połączyło się tak, że nie pozostało nic poza tą chwilą, w której stał i odpoczywał masując skałeczone kamieniem ramie. Boże, pomyślał zmęczony. Jakże może to być słuszne? Dlaczego jestem tu sam, torturowany przez coś, czego nawet nie mogę zobaczyć? W tej samej chwili, rozlegający się w jego wnętrzu gwar wszystkich znajdujących się w zespoleniu rozproszył złudzenie samotności.

Czuliście to również, pomyślał. Tak, odparty głosy. Zostaliśmy uderzeni, w lewe ramie; boli jak diabli. W porządku, odpali. Lepiej będzie, gdy ruszymy dalej. Zaczął iść i wszyscy natychmiast przyłączyli się do niego.

Kiedys, przypomniał sobie, było inaczej. Zanim spadła klątwa; wcześniejszy, bardziej szczęśliwy okres życia. Jego przybrani rodzice, Frank i Cora Mercer znaleźli go płynącego w nadmuchanej, gumowej łódce ratunkowej koło wybrzeży Nowej Anglii... a może był to Meksyk, niedaleko portu Tampico? Teraz nie mógł przypomnieć sobie okoliczności. Dzieciństwo miał przyjemne, kochał wszystkie przejawy życia. Szczególnie zwierzęta i w rzeczy samej potrafił od pewnego czasu sprawić, że martwe zwierzęta stawały się takie jak poprzednio. Żył wśród królików i żuczków, obojętne gdzie to było, na Ziemi, czy na którejś planecie-kolonii, tego również nie mógł sobie teraz przypomnieć. Ale pamiętał morderców, bowiem aresztowali go jako szajbusa, specjalnie większego od jakiegokolwiek innego. I przez to właśnie wszystko się zmieniło.

Miejscowe prawo zabraniało korzystania z umiejętności odwracania czasu, dzięki której martwi wracali do życia. Oznajmiono mu o tym, gdy miał szesnaście lat. Przez następny rok robił to w tajemnicy, w pozostałych jeszcze lasach, ale stara kobieta, której nigdy nie widział ani o niej nie słyszał, doniosła. Bez zgody jego rodziców, oni – ci mordercy – zbombardowali wyjątkowy guzek, który wykształcił się w jego mózgu, zniszczyli go radioaktywnym kobaltem i ten czyn cisnął go w zupełnie inny świat, którego istnienia nigdy nie podejrzewał. Była to jama pełna zwłok i kości, z której latami starał się wydostać. Osioł i ropucha – zwłaszcza ropucha – istoty dla niego najważniejsze, zniknęły, stały się stworzeniami wymarłymi, pozostały po nich tylko rozkładające się

szczętki - tu bezoka głowa, tam znow fragment łapy. Wreszcie ptak, który przyleciał tam, by umrzeć, powiedział mu, gdzie się znajduje. Zapadł się do świata grobów. Nie mógł się z niego wydobyć, dopóki rozrzucone wokół niego kości nie staną się znowu częścią żywych istot. Został przyłączony do procesu przemiany materii innych istot i dopóki one nie powstaną, on także nie będzie w stanie powstać.

Nie zdawał sobie sprawy, jak długo trwała owa część cyklu. Ogólnie rzecz biorąc nic się nie działo, nie było więc też poczucia czasu. Wreszcie jednak kości pokryły się ciałem, wypełniły się puste oczodoły i nowe oczy przejrzały, a w tym samym czasie odtworzone dzioby i paszcze gdały, szczekały i miauczały. Być może on tego dokonał, być może odrósł ów pozazmysłowy organ. Albo może nie miał w tym udziału; bardzo prawdopodobne, że mógł to być naturalny proces. W każdym razie nie pogrążał się już, zaczął wchodzić do góry, razem z innymi. Już dawno temu stracił ich z oczu i obecnie stwierdził, że najwidoczniej wspina się sam. Ale oni byli tutaj. Wciąż mu towarzyszyli i co dziwne, czuł ich wewnątrz siebie.

Isidore stał, trzymając dwa uchwyty i czuł jak zawiera w swym jestestwie każdą żyjącą istotę, aż wreszcie, niechętnie otworzył dłonie. Musiało się to, jak zawsze, skończyć, a w każdym razie ręka w miejscu, w którym uderzył kamień bolała i krwawiła.

Obejrzał ramię, a potem, niepewnym krokiem przeszedł do łazienki, by obmyć ranę. Nie było to pierwsze obrażenie, jakie otrzymał w czasie zespożeń z Mercerem i zapewne nie było ostatnie. Ludzie, zwłaszcza ci bardziej leciwi, umierali, zwłaszcza później, na szczycie wzgórza, gdzie meczarnie zaczynały być prowadzone na ostro. Ciekawe, czy zdołam znowu przejść przez tę część, rzekł do siebie wycierając skaleczenie. Możliwość zatrzymania pracy serca. Lepiej by było, pomyślał, gdybym mieszkał w mieście, gdzie każdy z takich budynków ma w pogotowiu lekarza z aparaturą do elektrycznego pobudzenia serca. Tutaj, w samotności, to zbyt ryzykowne.

Wiedział jednak, że musi podjąć to ryzyko. Tak jak zawsze czynił to poprzednio. Jak czyniła to większość osób, nawet słabi fizycznie starszuskowie.

Osuszył Kleenexem zranione ramię.

I usłyszał stłumiony i odległy telewizor.

W tym domu jest ktoś poza mną, pomyślał ogarnięty dzikim popłochem, nie mogąc w to uwierzyć. To nie mój telewizor, mój jest wyłączony i czuje drgania podłogi. To jest niżej, na zupełnie innym piętrze!

Już nie jestem tu zupełnie sam, uświadomił sobie. Wprowadził się jeszcze jeden lokator, zajął któreś z opuszczonych mieszkań i to tak niedaleko, że może go słyszeć. To musi być poziom drugi albo trzeci, na pewno nie niżej. Trzeba sprawdzić, pomyślał gorączkowo. Jak się postępuje, gdy wprowadza się nowy lokator? Zachodzi się do niego i coś pożyczka, czyż nie tak? Nie mógł sobie przypomnieć. Doład nic podobnego mu się nie zdarzyło, czy tu, czy też gdziekolwiek indziej. Ludzie wyprowadzili się, emigrowali, ale nikt nigdy się nie sprowadzał. Musze im coś zanieść, postanowił. Kubek wody albo raczej mleka; tak mleka, albo maki, albo może jajko - a właściwie, ich namiastki.

Zajrzał do lodówki, której spreżarka od dawna już nie działała i znalazł podejrzaną kostkę margaryny. Trzymając ją w ręku ruszył w podnieceniu, z łomoczącym sercem, na niższy poziom. Musze być spokojny, uzmysłowił sobie. Nie mogę dać mu poznać, że jestem kurzym mózdzkiem. Jeżeli zorientuje się, że jestem kurzym mózdzkiem, nie będzie chciał ze mną rozmawiać, zawsze się tak dzieje z jakiegoś powodu. Ciekaw jestem dlaczego?

Pobiegł wzdłuż korytarza.

Przełożył Sławomir Kędzierski



Rubryka filmowa zadomowić się już w „Fantastyce” na dobre. Staramy się pisać tutaj o filmach zupełnie nowych, zarówno tych, które obejrzeć można w kinach, jak i tych dostępnych jedynie na kasetach wideo. Ale chcemy również wracać od czasu do czasu do obrazów nieco starszych, które wpisały się trwale w historię filmowego gatunku SF. Jednym z nich jest nakręcony w 1981 roku przez Ridleya Scotta „Blade Runner”, według powieści Philipa K. Dicka z 1968 roku „Do Androids Dream of Electric Sheep?” (Czy androidy marzą o elektrycznych owcach?).

Scott odszedł daleko od dickowskiego tytułu. I nie bez powodu. Na pokazanej w książce Ziemi 2021 roku pozostała już tylko garstka ludzi, niezdolnych do emigracji na planety-kolonie. Wyginęła także większość zwierząt. U pozostałych na Ziemi ludzi zrodziła się gwałtowna miłość i chęć posiadania jakiegoś przedstawiciela innego gatunku – psa, kota, owcy, a nawet pająka. Pomieważ jednak przeżyły nieliczne ich egzemplarze, zwierzęta stały się niesłychanie kosztowne i wiele osób musi zadowalać się elektrycznymi imitacjami, które do złudzenia przypominają prawdziwe zwierzęta.

Ridley Scott zrezygnował z tego wątku, koncentrując akcję na innych postaciach wykreowanych przez człowieka – androidach, nazywanych replikantami. Zostały one stworzone po to, aby służyć ludziom, wyręczając ich w ciężkiej pracy, na przykład w kopalniach i zakładach przemysłu zbrojeniowego.

Androidy Dicka i Scotta niewiele różnią się od ludzi. Zwłaszcza ich ostatnia generacja – Nexus 6. Jej przedstawicieli można rozpoznać jedynie przez zastosowanie testu na empatię, czyli odczuwanie braterstwa ze światem zewnętrznym, którego sztuczni ludzie nie znają. Replikanci należący do tej grupy osiągnęli już taki poziom rozwoju, że zaczynają zyskiwać świadomość gatunkową. Na początku filmu dowiadujemy się, że czworo z nich uciekło z kolonii na Marsie (bunt ciemności i walki wyzwolenie są najchwalebniejszymi wydarzeniami w historii ludzkości, jak więc powinniśmy traktować bunt androidów?).

Po przybyciu na Ziemię replikanci odnajdują swoich twórców, aby wydobyć od nich tajemnicę przedłużenia swego życia. Inżynieria genetyczna nie potrafi bowiem poradzić sobie z procesami starzenia się komórek i sztucznie stworzeni ludzie mogą żyć jedynie cztery lata. To, czego poszukują – nieśmiertelność – jest odwiecznym marzeniem ludzkości. Pragnienia replikantów są zatem metaforą pragnień człowieka.

Co więcej, androidy Scotta przypominają do złudzenia żywych ludzi i to nie tylko zewnętrznie. Czują empatię w stosunku do siebie i do ludzi. Uczucie między połączonymi na zbudowanych niewoim ków policjantem Rickiem Deckardem i piękną przedstawicielką najdoskonalszej grupy replikantów – Rachaelą jest znakiem, że granica między tymi dwoma gatunkami już się zaciera.

„Blade Runner” opowiada o problemach ludzi w konwencji „lustrzanego odbicia”, słowami nader często w utworach science fiction. Stwarzając takie postacie jak androidy, roboty, przenosząc miejsce akcji na inne planety lub w nieznane przyszłość, autorowi łatwiej jest stanąć z boku i opisywać sytuacje, które pozornie niezerzeczywiste, jak lustrzane odbicia, pokazują jednak ludzi i ich problemy. Podobnie jak w lustrze, w którym widac tyk wycinek rzeczywistości, autor może pokazać wybrany fragment, odrzucając całą resztę.

„Blade Runner” został doceniony przez miłośników science fiction, czego dowodem mogą być dwie nagrody, jakie otrzymał w 1983 roku. Hugo i przyznana mu przez British Science Fiction Union nagroda w kategorii najlepszej adaptacji dramatycznej. Nie zdobył jednak uznania szerokiej publiczności, która po filmie SF oczekuje jedynie szybkiej akcji i zaskakujących efektów. A przecież mogłoby się wydawać, że same nazwiska twórców powinny były przyciągnąć tłumy widzów. Reżyser filmu, Ridley Scott, miał już za sobą sukces „Obcego” ósmego pasażera Nostromo” (Alien). Muzykę do filmu skomponował znany kompozytor Apollonasson Vangelis. W roli tapacza wystąpił Harrison Ford, który zdobył ogromną popularność u międzynarodowej widowni rolą ko-

smicznego przemytnika Solo w „Gwiezdnych wojnach”.

Jest przy tym paradoksalne, że scenariusz filmu nie podał z trytyki książkowej tego, co stanowiło o jego przynależności do prozy SF. Oczywiście przy założeniu, że replikanci to tylko „zmetaforyzowany” obraz ludzi (co zresztą jest w filmie wielokrotnie sugerowane, na przykład w scenie kiedy Rachael pyta tapacza Deckarda, czy przeprowadził kiedykolwiek test na empatię na sobie).

Akcja filmu toczy się w Los Angeles – mieście, w którym tradycyjnie umiejscawiane są historie kryminalne. To właśnie tutaj rozwiązywał swoje zagadki detektyw-samoświat Philip Marlowe, a i dziś z filmowych kryminałów proponują nam „Życie i umiarkowanie” w Los Angeles. Ale Los Angeles w wizji Ridleya Scotta (a właściwie Syda Meada, on to bowiem stworzył filmowy wizerunek miasta) różni się znacznie od dzisiejszego. Wiecznie padający deszcz, smog, zapchane uliczki China Town – obojętność pod parasolami. Wzrost miasta przyszłości przedstawiona w „Blade Runnerze” nie zgadza się również ze sterylnym obrazem futurystycznych wizji pokazywanych w innych filmach. Artyści uznali, że w wielkich miastach, takich jak Nowy Jork czy Chicago, gdzie nasycenie urbanistyczne jest bardzo znaczne, zbyt drogie byłoby burzenie budynków, podobnie jak wymiana ich instalacji. Sądziło, że jedyną realną drogą rozwoju jest dobudowywanie nowych konstrukcji na zewnątrz starych. Syd Mead został zatrudniony, żeby zaprojektować pojazdy, a szkice miasta kreślił początkowo jako tło dla nich. W rezultacie stworzył obraz środowiska miejskiego będącego dziwną mieszaniną nowych technologii i starych elementów zaadaptowanych do nowych warunków. Ulice zostały zatłoczone ludźmi, bezbarwnym tłumem pracującym naprzód jak kolumna mrówek lub rzeka, o której nie myślimy, że składa się z miliardów szarych kropli. W tej scenarii spotykamy Philipa Marlowa przyszłości – tapacza Ricka Deckarda, byłego policjanta, który wtajemniczył swoją wolę zostaje zmuszony do wystąpienia raz

jeszcze w nie odpowiadającej mu już roli. I choć swoje zadanie wypełnił on do końca, nie potępiały go, lecz raczej współczujemy mu. Wina nie leży ani po jego stronie, ani po stronie replikantów mordujących ludzi i w ten sposób wyrabujących sobie drogę do wolności. Oni są również kroplami wielkiej rzeki i nie od nich zależy, w którym kierunku płynie. O tym decydują, lub zdecydowali kiedyś inni.

Intrygująca linia narracyjna filmu osiąga dwukrotnie punkt kulminacyjny. Po raz pierwszy w scenie, w której przywódca replikantów Roy Batty (świetna rola Rutgera Haura) rozmawia ze swym twórcą Tyrellem, witając go jak mamrotałownego syna, lecz nie dającym nadziei na spełnienie bolesnego pragnienia „ojcze, choć więcej życia”. Po raz wtóry w scenie pojedynku Roya z Deckardem, w którym moraina i fizyczna wygrana jest po stronie tego pierwszego, ale do niego należy również przegrana.

„Blade Runner” nie gościł jeszcze na ekranach naszych kin, ale należy do filmów, którym nie szkodzi mały ekran telewizora. Recenzenci zarzucali Scottowi, że tworzy obrazy, zastępując brak akcji wielością detali dekoracyjnych (tendencja ta potwierdziła się w jego ostatnim utworze „Legendzie” o której pisałam w „Fantastyce” 6/87). Niemniej jednak „Blade Runner” jest obrazem bogatym w treści, przemawiającym nastrojem i zmuszającym do myślenia. Jest wybitną pozycją w filmotece kina SF i przy okazji innych filmów będziemy się do niego odwoływać.

Dorota Malinowska

BLADE RUNNER. Reżyseria Ridley Scott. Scenariusz Hampton Fancher i David Peoples według powieści Philipa K. Dicka „Do Androids Dream of Electric Sheep?” (1968). Zdjęcia Jordan Cronenweth, Robert Thomas. Muzyka Apollonasson Vangelis. Obsada: Harrison Ford (Rick Deckard), Sean Young (Rachael), Joanna Cassidy (Zhora), Daryl Hannah (Pris), Rutger Hauer (Roy Batty) i inni. USA, 1981.



Reprodukcja Zbigniew Łajlata

film i fantastyka

Androidy, czyli my

Jerzy Jarzębski, adiunkt w Instytucie Filologii Polskiej Uniwersytetu Jagiellońskiego, debiutował w 1971 r. artykułem o twórczości Gombrowicza zamieszczonym na łamach „Pamiętnika Literackiego”. W 1979 r. obronił pracę doktorską również dotyczącą Gombrowicza. Krytyk, teoretyk, historyk literatury, jeden z czołowych znawców twórczości Stanisława Lema. Szkice i rozprawy o autorze „Solaris” publikował Jarzębski w „Ruchu Literackim” (1977), „Pamiętniku Literackim” (1983), oraz w „Fantastyce” (nr 5/86); swoje prace przekładał również na język angielski i niemiecki.

Esej, przedstawiony na łamach naszego miesięcznika, jest referatem, który wzbudził ogromne zainteresowanie podczas ubiegłorocznego seminarium krytycznego w Warszawie (Dni Fantastyki 1986).

(an)

STANISŁAWA LEMA podróż do kresu fabuły

Jerzy Jarzębski

Jak wiadomo Lem nie lubi literatury science fiction. Najwybitniejszy w Polsce, a podług niektórych i na świecie, twórca tego gatunku kała wciąż własne gniazdo w licznych wywiadach i wypowiedziach esejistycznych z widocznym rozdzieleniem odcina się wciąż od rzeszy twórców i miłośników fantastyki naukowej, z najwyższą niechęcią daje się zapraszać gremiom profesjonalistów i fanów, choćby rankor ten kosztować go miał skandale podobne groteskowej awanturze wokół przyznania, a następnie pozbawienia go honorowego członkostwa organizacji Science Fiction Writers of America.

Dziwacznym to – trudno zaprzeczyć. Król Szwecji, który nie chce być Szwedem, laureat Nobla w dziedzinie fizyki, który oświadcza, że z fizyką nie ma nic wspólnego – taka jest mniej więcej skala oryginalności tego stanowiska. Nie wystarczy go jednak odnotować i zepchnąć do rzędu cuniosów Lem przecie, choć przeciętnej fantastyki nie ceni, czuje się jednak za nią odpowiedzialny. Niby to chciałby być pisarzem spoza getta, pisarzem tout court, a przecież gatunku science fiction nie porzuca, mało, pragnie być jego teoretykiem i pra-

wodawcą, a obok krytycznych dialgów tworzy wciąż programy pozytywne

Streszczając w paru zdaniach postulaty twórcy „Solans”, spróbujemy następnie zastanowić się nad ich praktycznymi konsekwencjami, a zatem nad tym, jak program wpłynął na kształt fantastyki samego Lema. Zauważano wielokrotnie, iż coraz mniej przypomina ona fantastykę klasyczną, tłumacząc to często w duchu subiektywno-psychologicznym. Miałby się o to pisarz „znudzić” snuciem przyszłościowych, awanturniczych fabuł i zamienić je na z lekka tylko beletryzowaną esejistykę bądź eksperymenty. Chciałbym tu udowodnić, że artystyczne środki *musiały się* u Lema zmienić, że wymusiła to po prostu nowa problematyka i koncepcja literatury

Bez wątpienia słowem-kluczem Lemowego programu jest „modelowanie”. Pisarz-fantasta „naukowy” postępowac wniem jak badacz-eksperymentator, który w mechanizm znanego sobie z empirii świata wprowadza jakiś nowy czynnik i rozważa, jakie zmiany spowoduje jego pojawienie się w funkcjonowaniu owego mechanizmu. W

tym właśnie sensie Lem jest „realistą”, punktem wyjścia jest dlań bowiem zawsze rzeczywistość dana mu w doświadczeniu, fizyka, biologia i socjologia naszego uniwersum. Ale właśnie dlatego modyfikacja zasad funkcjonowania świata, która nowy czynnik powoduje, jest w jego piśmiństwie tak radykalna, pisarz próbuje bowiem doszreć i przedstawić wszelkie możliwe konsekwencje projektowanej innowacji. Żaden z motywów fantastycznych nie jest u niego jedynie ornamentem konwencjonalnym sztafżem czy wystrojem

Czy więc jest tak, że świat Lema wywodzi się z demokrytyjskiej wizji, w której – jak pamiętamy – każdy ruch atomów przesądzony jest jednoznacznie przez ich ruchy wcześniejsze? Ołóż laka własne mechanistyczne wersja determinizmu jest pisarzowi zdecydowanie obca. A zatem innowacje wprowadzane w obręb znanego nam porządku świata muszą mieć jakieś skutki, choć jakie dokładnie – nie zawsze wiadomo. I tak na przykład na planie Enji z „Wizji lokalnej” w istniejących tam biologicznych, kulturowych i środowiskowych realiach powstają organizmy społeczno-polityczne tak radykalnie odmienne jak spełnane nakazami ideologii, prymitywna Kurdiandia i cierpiąca inaczej, z przyczyn technologicznego rozpazania Luzania.

Lemowa doktryna modelowania mówi więc tylko, że fantastyczna modyfikacja urządzeń naszego świata *musi mieć konsekwencje*, tzn. że w odmienionej rzeczywistości nie można odgrzewać w nieskończoność tych samych stereotypów fabularnych. Pisarz-modelator nie tworzy jednak jakiegś wszechobowiązującej wizji przemian, a jedynie eksperymentuje nad różnymi drogami rozwoju świata, wybierając spośród możliwych, realizujących się na mocy przypadku, wariantów. Obowiązkiem jego nie jest bezbłędna zdolność przewidywania, lecz logiczna i funkcjonalna koherencja wyprodukowanych modeli, ich potencjalna fizyczna, socjologiczna, kulturowa ziszczalność.

Brzmi to bardzo rozsądnie i łatwo przychodzi uwierzyć, że takie literackie modelarstwo powinno przynieść istotne poznawcze skutki. Nie obawiałbym się nawet zarzutu, że pisarz wchodzi tym samym w kompetencje badacza, uczonego, próbując wyręczyć go na swój dyktancki sposób. Ostatecznie zmiana tworzywa, w jakim się modelowanie odbywa, ma dla poznawczych zysków niebiałe znaczenie. Inaczej, niż w przypadku „czystej nauki”, literatury operuje materialem silnie nacechowanym aksjologicznie, materiałem w którym wieki rozwoju społeczeństw odcisnęły swe piętno. Dlatego postępując się substratem literackiej formy czy konwencji pisarz-futurolog wchodzi od razu bezwiednie w dialog z utrwaloną w formach „ludzkością” – rozumianą tu jako system pojęć, przeświadczeń, aksjologicznych opcji, tego wszystkiego, co tworzy naszą gatunkową specjes

Modelowanie zatem, któremu się Lem oddaje, nie jest działalnością etycznie obojętną, a literacka konwencja, której ślepą wierność skrytykował u innych, pozostaje u pisarza stale potrzebna – nie tyle jako wzorec, podług którego przyrządza swe fantazje, ile jako system odniesienia dla projektów innowacji. W tym sensie gra konwencją – tak dobrze widoczna w „Cyberiadzie” i „Bajkach robotów” – jest próbą związania najbardziej fantastycznych rojeń z ich ludzkim punktem wyjścia

Modelowanie wszelako naprawdę interesuje Lema dopiero wtedy, gdy połączone jest z próbą rozwikłania tajemnic Bytu i przyszłości – wtedy właśnie z intelektualnego ćwiczenia zmienia się w coś więcej w wytyczanie dróg przed cywilizacją, ludzkością, rozumem. Ale gdy autor chce na-

krytycy o fantastyce

prawdę w przyszłość zarzucić, coś dziwnego dzieje się z literacką formą, której używa. Wszystkie utwory Lema dadzą się podzielić na grubsza na „zamknięte” i „otwarte”. Te pierwsze operują wyrazistym zakończeniem, puentą, czasem zgola moralą, te drugie rozpylają się w nieokreśloność i lub dają pozorne zamknięcie akcji, które niczego w gruncie rzeczy do końca nie wyjaśnia, pozostawiając bohaterów i czytelników przed niedocieczoną tajemnicą.

Skąd rodem to zamknięcie i otwarcie? Pierwsze – zapewne z literackiej, formy, która domaga się by konstrukcja fabuły rozwiązać w zakończeniu, nadając jej przez to wyrazisty sens, drugie – z doświadczeń futurologa, który przed sobą widzi edwie słabo rozwinięty mrok i wzdraga się przed ferowaniem jakichkolwiek niepodważalnych orzeczeń. „Zamknięte” są tedy powieści i opowiadania skonstruowane zgodnie z modelem prozy przygodowo-awanturkowej („Eden”, „Niezwycięzony”, „Opowieści o pilocie Pirxie”) lub wcielające wzorce baśni, czy powiastki filozoficznej („Baśnie robotów”, „Cyberada”, niektóre opowiadania z cyklu „Dzienników gwiazdowych”), „otwarte” – dzieła, w których centrum tkwi problem poznania, przyszłości, społeczeństwa, ewolucji. Rozumiemy to („Głos Pana”, „Śiedziwo”, „Pamiętnik znaleziony w wannie”, „Wizja okalna”, „Podróż dwudziesta pierwsza z Dzienników gwiazdowych”, „Golem XIV”). Niektóre z utworów ludzą nas zamknięciem pozornym – jak w „Kalarze” lub „Masce” – tam właśnie wyświeła się tajemnica i bohaterka wypelnia narzucone jej zadanie o żadnym jednak rozwiązaniu intelektualnych pytań nie może być mowy.

Do książek o dwóch zakończeniach należałoby właściwie zaliczyć także „Solans”. W zależności od tego, co uznamy za jej wątek naczynny (traktować ją można bądź jako dzieło zamknięte, wątek romansowy) bądź jako utwór otwarty (wątek poznawczy) jako „romans”, „Solans” jest utworem doskonale i konsekwentnie skonstruowanym. Kolejne fazy uczucia Kriśi psychiczna ewolucja Harey – wszystko to prowadzi logicznie do dramatycznego finału, który jest puentą całej historii i daje się na różne sposoby interpretować. Gdyby jednak wziąć z powagą ostrzeżenia Lema pod adresem science fiction, owa wzruszająca i piękna baśń o miłości miałaby jedną podstawową wadę: mogłaby się zdarzyć na Ziemi w zupełnie innych okolicznościach. Zrobimy z oceanu czarnoksięznika lub magnetyzera, z Harey – fantomem wytworzony sztuką bądź magią, bądź parapsychologią, a pośmiertny romans snuć można w najlepsze bez większych zmian. Wszak perypetie kochanków, jak zauważyli krytycy, mają wyraźnie konwencjonalną, romantyczną literacką metrykę.

Byłoby więc tak, że się Lem sprzeniewierza własnym założeniom? Być może istotnie – gdyby akcja romansowa stanowiła, jako prozatorskie powieści Tymczasem wydaje się, że historia Kriśi i Harey pełni w „Solans” rolę fabuły pretekstowej lub zgola „falszowej”. Czymże jest bowiem ten tragiczny romans w najgłębszym stopniu? Jakże przecież fragmentem dzieła „solaryjnego” – próbą nawiązania do kontaktu z „mystycznym oceanem”? Fragment ten przybiera formę dosyć konwencjonalnej, historii miłosnej – ale to konwencjonalne zamknięcie czy spuentowanie fabuły, nie jest tym, mniej znaniem poznawczego sukcesu, lecz raczej klęską. Oto kolejna próba porozumienia się z oceanem wyczerpała się w formach czysto zmysłowych i ludzkich. Fabuła romansowa „Solans” rozpływa się, tedy w szerszych ramach historii o kontakcie, usiłując stać się fabułą ostateczną, najważniejszą – nie dziwnego zresztą, skoro ona tylko operuje kodem powszechnie wśród czytelników zrozumiałym i ma – by tak rzec – wstęć rozwinięte, zakończone.

Przecież jednak na przykładzie „Solans” widać najlepiej niewystarczalność formuły klasycznej powieści. Lem obarcza ją zadaniami, pod którymi jej forma pęka, także tu w końcu tworzyć dzieło, którego tematem są próby opisania nieopisywalnego? W tej sytuacji fabuła romansowa „Solans” staje się niejako wewnętrznym rusztowaniem, na którym rozpina się dość bezkształtna opowieść o procesie poznania i jego psychologii, socjologii,

Autor powieści świadom jest szerszych, kulturowych i społecznych funkcji powieści, nie

„Solans” to nie jest powieść, która

jednak nigdy nie może stać się całkowitą. Z estetycznego zezwolenia literatura próbuje przywołać – dzieła – to co analityczne, analityczne nie nieprzymienne. Tak powstają jej struktury interpretacyjne. () Dzieło takie nie ukazuje swoich

wość stanowi strukturalny odpowiednik Tajemnicy egzystencjalnej, nie będzie wytworzonej właśnie tą konkretną niedecydowalnością ostateczną, jaka dzieło strukturalne własną ustala.

W

W

W

W

„Solans” to najpełniejszy w twórczości Lema portret „mroku”, zarazem wyjątkowo trafna analiza problemów, które zdradza sam hipotezytyczny kontakt. W innych utworach pisarz modeluje odmienne sytuacje graniczne, w których dochodzi się do „krawędzi przestrzeni” opisanej ludzkimi kategoriami rozumienia. Tak w „Głosie Pana” problem kontaktu rozpatrzony zostanie z innej strony – jako pomowne w kategoriach moralnych i filozoficznych spotkanie człowieka z hipotezytyczną wyższą cywilizacją. Tu również fabuła jest jedynie

rusztowaniem dla refleksji o porządku Bytu, o determinizmie i indeterminizmie wraz z ich etycznymi konsekwencjami. W „Pamiętniku znalezionym w wannie” żywa pełna niezwykłych zdarzeń akcja prowadzi bohatera niejako wstecz; od wiary w sens rzeczywistości do semantycznego szaleństwa odwzorowującego stan krancowej niepewności co do wszelkiego sensu i wszelkich wykładni. W „Wizji lokalnej” podobnie akcja nie prowadzi do żadnego rozwiązania: Tichy może tylko poznać osobliwości planety, żaden z istotnych problemów jej mieszkańców nie może, jednak na jego oczach ulec rozwiązaniu. I nic dziwnego – Encjanie przecież wyszorował się tylko trochę dalej niż ludzie w społecznym rozwoju, zaplątani są jednak w takie same dylematy, dla których Lem nie widzi zadowalających rozstrzygnięć. I wreszcie „Golem XIV”. Tu fabuła istniejąca już tylko w postaci szczątkowej, Książkę wypełnia refleksje maszynowej nadinteligencji, która od swych słuchaczy bierze jedynie język i kategorie myślenia, nie szuka w nich jednak partnerów dialogu – nie mówiąc już o jakimkolwiek partnerstwie w działaniach.

Zachodzący w pisarstwie Lema proces sukcesywnego pozerania fabuły przez esesystyczny dyskurs był już wielokrotnie zauważony i komentowany. Czas doszrzec w nim pewną prawidłowość ogólniejszej natury, która związana jest z Lemową wizją zadań stojących przed fantastyką naukową. Ma ona, zdaniem pisarza, modelować istotne nowe sytuacje społeczne i kulturowe. Póki ambicje Lema nie sięgały zbyt daleko, potrafili oni w nowej rzeczywistości modelować odpowiednie sytuacje fabularne, gdy jednak coraz śmielej sięgał w rejony nieludzkości, w obszary, na których zawodzić poczynają ludzkie kategorie logiki, sensu i wartości fabuły zarazem zostają w emocjach i atrofii. Dlaczego? Czy dlatego, że w nieludzkiej sferze żadna ludzka historia nie daje się pomyśleć? A może dlatego, że modelowanie procesów społecznych czy kosmicznych w skalę, która Lema interesuje, nie daje się pomyśleć w obrębie skończonej egzystencji jednostek? Dzieje ewolucji „fabuły” nie są, ta bowiem wymaga przynajmniej względnej tożsamości bohaterów, natomiast metapoziom, z którego ową ewolucję można oglądać, jest już w widomy sposób baśń owy lub rodem z wolterjańskiej powiastki, na nim więc udają się fabuły bądź szczątkowe i poronne, bądź ściśle właśnie na wzór baśni owy, konwencjonalne.

Charakteryzując w „Fantastyce i futurologii” trzy możliwe rodzaje science fiction, uszeregowane podług rosnącej komplikacji, Lem, jako przykład trzeciego typu daje pomysł opowiadania o Nowej Kosmogonii (zrealizowany po części w „Doskonałej próżni”). Inaczej niż dwa pierwsze, ten trzeci typ fantastyki wymaga zasadniczej modyfikacji tradycyjnych struktur fabularnych.

zamiar () zbeletyzowania trzeciego konceptu wydaje się niemożliwy – przynajmniej dopóty, dopóki obowiązują tradycyjne struktury narracji, nieodjemne od postaci sytuacyjne powiązań bohaterów. Przygody bowiem myślowe ludzi, którzy pospół utworzyli Nową Kosmogonię, nie mieszczą się w granicach tradycyjnej akcji, operującej naturalistycznym lub realistycznym zbliżeniem. (...) Nie może tu już być mowy o społeczno-ideowym tle, na którym się toczą wypadki czysto osobowo zlokalizowane; pomysł prosi się o kronikę przygody pewnej idei, a nie o kronikę życiowych przypadłości garstki ludzi. (...) Potrzeba tu więc raczej zupełnie innej struktury narracji – podług wzorca dawnego dzieła historycznego albo zbioru biografii uczonych, czy takim kolosem, który zawiera jednocześnie i fragmenty tekstów naukowych, i wyzniki prasowe, i przemówienia noblistów, i mnóstwo innych sztucznych fascamiów.



Trudno zaprzeczyć, że model powyższy sam Lem realizuje w swoich utworach – i to coraz bardziej konsekwentnie

Jest jednak jeszcze jedna, może równie ważna, przyczyna kryzysu fabuły u Lema. Szukac jej należy w sferze poglądów autora na przyszłość ludzkiego gatunku. Otóż są one dość pesymistyczne. I jeśli w fabule widzieć będziemy realizację elementarnego modelu równowaga-nierównowaga-równowaga, to pisarzowi wychylenemu w przyszłość brak jakby wiary w zszczęnienie się trzeciego członu równania. Bohaterowie Lema, postawieni przed rozjaśnionymi do ostatnich granic problemami poznania, socjotechnicznymi, etyki czy ewolucji, zatrzymują się w punkcie maksymalnej nierównowagi, czyli tam, gdzie rozstrzygnięcie stojących przed nim, zagadnień wymagałoby skoku w nieładność, w inną ontologię i aksjologię. Rozwiązanie tego typu może zostać w obrębie utworu zasugerowane, ale już nie na sposób fabularny zrealizowane. Wymagałoby bowiem radykalnego zerwania więzów pomiędzy światem, w którym akcja się rozpoczyna, a rzeczywistością, w której się zamyka. Po drodze, mocą konsekwencji, utwor gubiłby wszelkie związki nie tylko z czytelnikiem, ale i z samym autorem, który ze swą pełną ograniczeń „ludzkością” pozostać by musiał „po tamtej stronie”. Rzecz jasna, taki paradoksalny model utworu, który ucieka samemu pisarzowi, umyka jego ograniczonym kategoriom, pozostaje zaledwie teoretycznym konstruktem, choć daje się pomyśleć, o czym świadczyć może przykład „Golema XIV” którego bohater tytułowy właśnie „uciekł” w pewnym momencie, czyli zamknął pogardliwe, odmańjąc ludziom wglądu w swą dalszą ewolucję (a zapowiedział ucieczkę dalej jeszcze exodus wyemancypowanego Rozumu poza znany nam wszechświat).

Wyzwanie, jakie Lem rzucił fantastyce naukowej zaprowadziło go w końcu – może nawet wbrew spodziewaniu – w sferę gdzie literatura, po mowa prozodusznie jako sztuka opowiadania historii, przestaje być możliwa, przekształca się bądź w metaliteraturę, bądź w esejistykę z lekką tylko przerośniętą nitkami fabuły poronnych Pisarz jak się zdaje, świadom jest pewnych niebezpieczeństw tego stanu rzeczy i jego ostatnia powieść, jeszcze w Polsce nie drukowana, wy pełnia warunka, pełna niezwykle przygod akcją. Ale rozwiązań będących czymś więcej, jak domknięciem cyklu awantur, i tam brak. Pisarstwo Lema, rozpoczęte w aurze naiwnego często pozytywnego optymizmu i idące za nim fałszywość fabularyzowania, stanęło w punkcie, w którym refleksja autora nad światem i człowiekiem doprowadziła do radykalnej rewizji poetyki gatunku.

Jerzy Jarzębski

Przypisy

1. Blizsze informacje na ten temat daje zbiór wypowiedzi i dokumentów pt. *Stanisław Lem and the SFWA*, „Science Fiction Studies” vol. 4, part 2, July 1977, s. 126-144.
2. Por. S. Lem, *Fantastyka i futurologia*, Kraków 1970, t. 2, s. 332-333.
3. Tamże, s. 420-421.
4. Por. i. Csicsery-Ronay Jr. *The Book is the Alien. On Certain and Uncertain Readings of Stanisław Lem's Solari*, maszynopis w posiadaniu Wydawnictwa Literackiego, s. 15.
5. Por. M. Rose, *Alien Encounters*, Cambridge, MA, 1981, Harvard University Press, s. 82-95. D. Ketterer, *New Worlds for Old. The Apocalyptic Imagination: Science Fiction, and American Literature*, Bloomington and London 1974, s. 192-202. D. Suvin, *The Open Ended Parables of Stanisław Lem and Solari* (postawione do) S. Lem, *Solari*, trans. by J. Kilmarin i S. Cox, New York and Berkeley 1970, Walker, s. 212-223. S. J. Potts, *Dialogues Concerning Human Understanding. Empirical Views of God from Locke to Lem*, w: *Science and Literature: Bridges to Science Fiction* pod red. Sussnera i in., Carbondale 1979, Southern Illinois University Press, P. Parndt, *The Black Wave. Science and Social Consciousness in Modern Science Fiction*, „Radical Science Journal” 1977, nr 5.
6. S. Lem, *Fantastyka i futurologia*, t. 2, s. 411-412.

Norwid Cyprian Kamil

(1821-1883)

**Poeta, dramatopisarz,
prozaik**

Urodził się 24 września 1821 r. w Laskowie, Głuchach pod Radzyminem w rodzinie szlacheckiej. W latach 1831-1837 uczęszczał do gimnazjum w Warszawie, następnie do szkoły majarskiej A. Kokulara i pracowni J. K. Minasowicza. W 1842 r. wyjechał z Warszawy do Włoch, podjął studia rzeźbiarskie, zaangażował w politykę Hotelu Lambert. W czasie pobytu w Niemczech, oskarżony przez władze pruskie o powiązania z wydarzeniami rewolucyjnymi na ziemiach polskich (1846), przebywał miesiąc w więzieniu, z Berlina wyjechał do Brukseli przyjmując status emigranta. W okresie Wiosny Ludów przebywał w Rzymie, w 1849 r. przybył do Paryża, nawiązał znajomości z przedstawicielami emigracji: Słowackim, Mickiewiczem, Chopinem, Zaleskim, Czartoryskim. W tym czasie, w utworach i artykułach publicystycznych sformułował swój program ideowy i artystyczny (m.in. traktaty poetyckie „Wigilia”, 1848, „Niewola”, wyd. 1864, dramat „Zwłoni”, wyd. 1851, poetycki traktat o sztuce „Promethidion”, wyd. 1851; cykl artykułów „Listy o emigracji”, 1849). W swoich utworach kwestionował przydatność kontynuacji romantyzmu w jego dotychczasowym, mickiewiczowskim kształcie, stwierdzając, że dzieło romantycznych poprzedników koncentrowało uwagę na męczeństwie narodu kosztem codziennego rzeczywistości, człowieka, jego ogólnoludzkich powinności. Nawiązując do filozofii A. Cieszkowskiego i B. Trentowskiego postulował stworzenie nowej sztuki i „literatury czynu”, która przezwycięzyłaby romantyczny odwrót od rzeczywistości, przekształciła świadomość społeczną, odrzuciła natchnienie na rzecz spraw sztuki.

Pisarstwo Norwida, wykraczające poza kwestie „czystej sztuki”, dbające o sprawy sztuki, z założeniami nastawionymi na współczesność, przyniosło pierwszy rozdział między poetą a czytelnikami. Zarzucano Norwidowi niejasność myśli, obrazów, wyrazów, manierność jego poezji.

W 1852 r. Norwid, coraz bardziej lekceważony

przez krytykę, trapiiony kłopotami finansowymi, u pokorzonego niepowodzeniami natury osobistej (podrzucona miłość do Marii Kaleris) wyjechał do Ameryki. Zarabiał w Nowym Jorku jako rysownik i rzeźbiarz. W 1854 r. przez Londyn powraca do Paryża. Ponawia tu próbę sformułowania własnych koncepcji twórczych dając im manifestacyjnie ostentacyjny kształt nowej praktyki poetyckiej. W latach 1855-1857 przygotowuje do druku poemat „Quidam” kreujący (w opozycji do romantycznego i indywidualistycznego) nowy typ bohatera (quidam = ktoś, jakiś człowiek). W okresie 1856-1857 ogłasza „Czarne kwiaty” i „Białe kwiaty”, rozprawę „O sztuce (dla Polaków)”. W 1863 r. ukazuje się w lipskim wydawnictwie F. A. Brockhausa (w serii „Biblioteki Pisarzy Polskich”) jego jedyny (opublikowany za życia) wybór twórczości – wydanie to nie spotkało się z zyciowym przyjęciem krytyków, przeszło bez echa. Brockhaus wycofał się z umowy na następny wybór poezji (był to przygotowany przez Norwida w latach 1865-1866 najoryginalniejszy zbiór liryków „Vade-mecum”). Nie udaje się również Norwidowi opublikować żadnego z dużych dramatów powstałych w ostatnim dwudziestolecu (Noc tyś siaczną i druga”, „Wanda”, „Krakus”), a także „wysokich komedii” (m.in. „Pierścień wielkiej damy”), tragedii historycznych („Kleopatra”). Nie powodzeniem kończą się próby uczeszczenia w życiu narodu po powstaniu styczniowym. Zgłasza autor „Promethidion” w dziesiątkach listów i memoriałów projekty natury politycznej, ale nie spotykają się one z zainteresowaniem współczesnych. Ceniony jest natomiast jako deklamator, mówca, autor prac artystycznych (rysunków i akwarel – sprzedaż tych prac stanowi jego główne źródło utrzymania). Pod koniec życia zyskuje opinię dziwaka, żyje w osamotnieniu, w 1877 r. zamieszkuje na paryskim przedmieściu Ivry w Zakładzie Św. Kazimierza przeznaczonym dla polskich sierot i weteranów. Umiera 23 maja 1883 r. w Paryżu, pochowany na cmentarzu w Ivry, w 1888 r. zostaje przeniesiony do zbiorowego grobu na polskim cmentarzu w Montmorency pod Paryżem.

Cyprian Kamil Norwid, jeden z najoryginalniejszych i najwzrostniejszych polskich pisarzy i myślicieli, ostatni z wielkich poetów romantycznych, dążący do stworzenia nowej formy romantyzmu polskiego, dysponujący rozległą wiedzą, zwłaszcza z zakresu historii kultury – tworzył w epoce przejściowej u progu narodzin pozytywizmu. Spośród tych czynników sprawił, że w swojej, jakże bogatej twórczości, publicystyce politycznej i społecznej, esejistyce filozoficznej, krytyce literackiej i artystycznej wypowiadał się z ogromnym sceptycyzmem na temat dalszych losów na-

Wiedział o tym Norwid, że rozświetlami otaczające nas mroki nie bez bohaterskiego wysiłku, skazani na postępowanie krok za krokiem w naszym poszukiwaniu prawdy, świadomi – i nierzadko daremnie uświadamiający powierzchownych obserwatorów życia – że uzyskana na jakimś odcinku naszych badań i dociekań jasność, to zaledwie nikły blask poznania. Toteż nie na opornie dające się przenikać ciemności winniśmy narzekać, ale na naszą niecierliwość w dążeniu do rozszerzania i pomnożenia kręgów jasności i prawdy.

Aniela Kowalska, „Wiersze Cypriana Norwida”, Wyd. Szkolne i Pedagogiczne, Warszawa 1983.

O wynalazkach powiedział Norwid, że „satellitami sztuk są”. A więc

maszyna, która jest wynalazkiem, ma w sobie coś z istoty sztuki, jest po prostu pewnym swoistym rodzajem sztuki. Dlatego ją aprobował, chociaż przestrzegał przed jej deifikacją i eksterioryzacją. O możliwości tragicznych skutków takiego stosunku do maszyny i mechanizacji, do technicyzmu i cywilizacji wynoszonej ponad kulturę humanistyczną mówi Norwid w alegorycznym wierszu „Na zgon ś.p. Jana Gajewskiego politycznego-polskiego emigranta (inżyniera francuskiego) zabitego eksplozją maszyny parowej w Manchester 1858 lipca”. Ta maszyna parowa symbolizuje tutaj cywilizację techniczną, która jak gdyby przegrzana temperaturą nieroztropnej apoteozy może swym wybuchem zagrozić istnieniu świata.

Zaiste, że Norwid był pierwszym w literaturze polskiej twórcą, który w mies-



słownik polskich autorów fantastyki

szej cywilizacji. Przed powszechną technicyzacją życia ostrzegał zwłaszcza w dwóch utworach: przypowieści fantastycznej z roku 1882 („Ostatnia bajka”) i rozprawce filozoficznej z roku 1870 napisanej po francusku „La philosophie de la guerre”. W „Ostatniej z bajek” mówiącej o oparciu świata przez technikę zrodzoną z pierwotnego rzemiosła zwracał się do czytelnika takimi oto słowy

Tylko człowiek pacholę rozpocznie próbować przyszłego rzemiosła swego to jest ażeby wszystko podstępem ująć, zamordować, obe-drzeć i dla samego siebie – z-użytecznić (…). A! o! człowiek ow, od wysoko latającego płaka do ostatniego małego grzybka pod piaskiem zjadając wszystko jednak i jeszcze wszystkich ludzi-braci nie nakarmi (…). Może on jeszcze nigdy nie jadł – może on dopiero pokąsał wszystko i wyszał? Dlatego to i nie nakarmi swoich wszystkich! On dziecię potrzeb, nędzy, szaleństwa, nagle, bezbronne, głodne – syn zakopciałych i zalechłych miast jałowej lub wycieńczonej gleby i kartowatych drzew. On przepisujący ją właśnie nędzą swoją prawa bytom!

Człowiek, zdaniem Norwida, powinien stać się opiekunem Przyrody, jedynego, najważniejszego źródła swojego istnienia. Ale wówczas musiałby zrezygnować z dotychczasowych sposobów niehumanitarnego zawiąskowania świata, wyrzec się wojen podbojów, agresji. W swojej rozprawce filozoficznej, na temat wojny, pierwszej tego typu w literaturze polskiej (!), Norwid wyróżnia pojęcie wojny, którą nazywa samowolą i pojęcie walki, którą czyni zasadą życia. Cywilizacja europejska pisze – pojdzie wyżej i wywikła się z węzłów śmierci: wówczas tylko, jeżeli przyjmie i praktykować będzie heroizm w liczniejszych niż dotąd od-mianach i stopniach pracy społecznej. W praktyce oznacza to zrównanie pracy fizycznej z pracą umysłową i wzajemne jej uzależnienie, które oka-że się gwarancją postępu. Już w pierwszych la-tach swojego pobytu za granicą dostrzegł Norwid z całą ostrością cynizm zachodniego świata po-stępu opartego na gwałtownie rozwijającym się przemyśle, który degradował humanistyczne war-tości człowieka, sprowadzał jego reakcje do za-chowania obsługującego maszyny – robota. W wierszu „Do mego brata Ludwika” pisał

w doczesności się pijanej gubie
Nie śmiejąc w wiek iem nazwać – i osadzić
Że taki ogrom czasu można – błędzić
i dalej:

Mówią, że Postęp nas bogaci co wiek
Bardzo mi to jest miło i przyjemnie
Niestety! co dnia mniej się cieszę ze mnie
Śmiertelny człowiek!

cie, maszynie, masie ujrzał reprezenta-tywne symbole naszej współczesności, wyróżniki jej nowoczesności. Można więc powiedzieć pół żartem, pół serio, że był także prekursorem owych słynnych Peiperowskich trzech M, ale prekursor-em nie jednostronnie euforycznym, lecz przewidującą krytycznym, a przez to najbardziej nam współczesnym.

Marian Piechal, „Mit Pigmaleona. Rzecz o Norwidzie”, PIW 1974.

Sądze, że wiele spośród proble-mów poruszających Norwida pozo-staje i dla nas aktualnych. A przede wszystkim jego sposób widzenia – krytyczny i bezkompromisowy, u-miejący wyzwolić się od aktualnych konwencji i banału, od „powszech-nego mniemanie” (...). Nasz wiek

W rozprawce o Juliuszu Słowackim dopowa-dał bardziej otwarcie Nie godzi się, aby machin doskonałość okupować człowieka degradacją. A potem przytaczał słowa Byrona wypowiedziane w parlamencie angielskim Nie poświęcajcie czło-wieka dla machinacji i dla machin

Obawa Norwida o losy przyszłej cywilizacji zrodziła również jeden z bardziej zastanawiają-cych, wieloznacznych liryków zbioru „Vade-mecum” – „Źródło” (powstałe ok 1861 r.). Warto przypomnieć, że autor „Ostatniej z bajek” w in-nym, wcześniejszym wierszu „Zapał” z ironią pi-sał o konsumencie wynalazków praktycznych, re-zygnującym z podejmowania ambilnych zadań, śmiesznie dumnym z faktu, że niezawodne w działaniu i tanie mamy zapalki chemiczne. Ale „Zapał” dotyczył mimo wszystko współczesności – „Źródło” ukazywało natomiast zdumiewającą, wręcz futurologiczną (!) wizję nadchodzącej epoki wynalazek i cywilizacyjnych bezdroży. W czterdziestu wersach, nie dzielonych na strofy przez metalory zageszczone aluzjami historycznymi lite-rackimi wskazywał Norwid na pogłębiający się rozbrat między kulturą i cywilizacją, prawdziwymi postulatami, dążeniami i tęsknotami ludzkości. Piekło dni nadchodzących – zdaniem poety – oka-że się przeciwieństwem piekła Dantieskiego. W skrótlowych obrazach przedstawiających omentar-zysko dogasających wielkości oglądamy sceny absurdu i bezsensu, w których pełni się pospoli-ta, zadulana w sobie małość, oczekująca wyro-znień memolta, gdzie królują kobiety prozne, stroj-ne, niezdolne do głębszych uczuć, a zakładanie, niesprawiedliwość i zbrodnia osławiane są wyro-kami prawa. Dwadzieścia pięć końcowych wer-sów „Źródła” wypełnia wiza „Bez-bożej”, opu-śtoszalej, martwej, zgola widmowej Maryi. Por-ażające to proroctwo, zwłaszcza jeśli pamiętać, że powstało z górą sto lat temu, na początku lat sie-demdziesiątych XIX stulecia.

Przenikliwą ostrość „Źródła” można docenić w pełni, jeśli porówna się wymowę tego wiersza z nieco wcześniejszą wypowiedzią włoskiego pisa-rza Cesarego Pavese. W swoim „Dzienniku” pod datą 15 października 1845 r., tak oto pisał na temat oczekującej nas przyszłości

Co powiedzieć, jeśli pewnego dnia zjawiska naturalne – źródła, lasy, wznice, pola zostaną wchłonięte przez miasto, znikną i jeśli spotykać się je będzie jedynie w starożytnych tekstach? Będą sprawa i wrażenie Theor (bogów), nimf, natu-ralnych świętości, jakie wywołują się czasem z wierszy greckich. Wówczas zwykłe zdanie było raz pewne źródło – będzie wzruszać.

Jakże znamienne jest wobec tych słów proro-c-two Norwida zrulowane w daleką przyszłość

techniki jest i wiekiem utopii – słu-chamy więc głosów poety wśród in-nych głosów: miłości, ostrzeżenia, pamięci. Postać Norwida jest nam bliska, jako postać „człowieka zbun-towanego” i to tym bardziej, że to nie był tylko bunt romantyczny. A jego trudna, zmuszająca do wysił-ków myślowych poezja kryje w so-bie również wiele impulsów i dla nas. Dzieło sztuki zawsze było w gruncie rzeczy – utopią i zabawą. Najlepsze utwory Norwida mają dla nas chyba ten właśnie magnes: są utopią i propozycją gry intelektual-nej.

Elżbieta Feliksiak, „Norwidowski świat myśli” (w:) „Polska myśli filozoficzne i społeczna, t. I, red. A. Walicki, Warszawa 1973.

Wizja wypalonego świata, o czerwonych, gasną-cych gwiazdach, przeżywającego grozę całkowi-tej zagłady środowiska naturalnego jest straszli-wym snem napawającym zwątpieniem, każącym zegnąć się z wszelką nadzieją. Jedyntym ratun-kiem i wybawieniem – podobnie jak u Pavese – wydaje się siad źródła. Niestety również i ono zostaje spługawione. Człowiek-zjawia, brutalny i odpychający w swojej zwierzęcej nienawiści może ostatni z ludzi (?) z mściwą satysfakcją dep-cze „modrą źródła żyłę”. Jego okrzyk dzielnego trumfu jest okrzykiem bluźniercy przeświadczo-nego że ujarzmił ostatecznie wroga naturę

W czasach kiedy rodziło się „Źródło” coraz większe trumny świeciła filozofia Maxa Stirnera, przekreślająca wszelkie normy moralne, głoszą-ca, że należy żyć dbając przede wszystkim o do-bra doczesne, skoro miarą rzeczy jest zmienność i przemijająca jaźń ludzka. Rozwijający się pozytywizm niewiele poświęcał uwagi zagadnieniom teorii wartości, etyki, religii. Tymczasem w rozu-mieniu Norwida ambicją wszelkiej filozofii winno być rozjaśnianie zagadek bytu i „uczynienie czło-wieka moralnie szczęśliwym”. Dopiero na tym tle możemy w pełni ocenić wymowę i znaczenie „Źródła”. W jego przesłanku zostało zawarte groź-ne memento – ostrzeżenie znieprawionej, zakla-manaj, oślepiionej sukcesami techniki ludzkości przed bezczeszczeniem ostatnich źródeł nieujarzmionej przyrody

Spuszczając rękopisem Norwida, w tym jego rozważania o przyszłości cywilizacji, ocalił „odkrywca”, badacz i komentator poety – Zenon Przesmycki publikując inedita w „Chimerze” (1901–1907) i opracowując – przerwane dwu-krotnie przez wybuch I i II wojny światowej – edy-cję zbiorową („Pisma zebrane”). Jego prace kon-tynuował m. in. S. Pigoń, po 1945 r. także W. Boro-wy (wydawca faksimile autografu „Vade-mecum”, 1947) i J. W. Gomulicki (wydawca m. in. pięciotom-owego wyboru i bogato komentowanego zbioru liryków, 1966, oraz – po raz pierwszy ukończo-nego pełnego wydania)

Bibliografia wybrana:

- J. W. Gomulicki Wprowadzenie do biografii Norwida. Warszawa 1965 (zob. też tom I „Dzieł zebranych”) i „Pisma wybranych” nowa wersja w tomie II „Pisma wszystkich”).
- M. Piechal, Mit Pigmaleona. Rzecz o Norwidzie, Warszawa 1974.
- J. Trznadel Czytanie Norwida, Warszawa 1978.

Cóż tedy własnego wnosi Norwid do Literatury?... On świadomie przeciw-stawia się ogólnemu tonowi wulgaryzacji w twórczości poetyckiej, akcentując po-trzebę sztuki niezależnej od tendencji u-tylitarnych i popularyzacyjnych, sztuki będącej własnością właściwą, przezna-czonej dla wybranych, „dla kasty wied-nej”, czyli ukształtowanej artystycznie... Norwid świadomie sam jeden tylko twor-zył dla górných dziesięciu tysięcy... z głębokiego przeświadczenia, iż zadaniem prawdziwego twórcy jest odkrywanie prawd nieznanych jeszcze, odsłanianie stron rzeczywistości jeszcze nieujawnio-nych.

Stanisław Cywiński, „O gwiazdzisty diament Norwida”, Włno 1935.



Cyprian Kamil Norwid

Źródło

Kiedy błądziłem w Piekło, o którym nie śpiewam,
Dlatego, że mi klątwy się wpierw w usta kleją,
Jak muchy brzydkie, które ze skwarów szaleją –
I nie śpiewam dlatego, że nim pocznę, ziewam;
Kiedy błądząc przeszedłem kolumnadę-nudów,
Długą i prostą – tudzież kaprysów-przedsienia
I nie dogastyh w piasku cmentarz-wielkoludów,
Rusających się sennie pod brukiem z kamienia;
Gdy pomierzyłem kroki mymi przedpokoje –
Nerwów głupich, co ciągle przemierzają stroje,
A nie są nigdy na czas ubrane weselny!...
– Gdy przestąpiłem nędzy próg, kłamstwa-podwoje
I mijalem już zbrodni-labirynt bezzelny,
Po-oklejany zewsząd wyrokami prawa –
Znalazłem się na miejscu, gdzie pod stopą lewa
Stygła – i szedłem dalej w powietrzu i porze,
I światło, które były rzetelnie bez-Boże!...
– Na podobieństwo łańców zwęglonych wulkanem
Lub morza, co zatechło postepem wstrzymanym,
Morze fal, które stojąc, poglądały wzajem,

Zadziwione niezwykłym głębi obyczajem
Jak Sfinksy-- zaś nad nimi pelikanów nieco
Z otwartymi gardłami, co schły od pragnienia,
I gwiazd parę czerwonych, które w otchłań leca,
Gasnąc...

... tam szedłem (spomnieć trudno bez wytchnienia!...)
Szedłem tam – kedy?... – wątpiąc... – gdy roślinka drobna,
Błada i do niewprawnie wyszytej podobna,
Szepnęła mi: „Jest źródło”... – a dalej, w parowie,
Poczułem coś jak wilgoc.

Z tejże samej strony
Śmiech mię doleciał gorzki i szmer przytłumiony.
I obaczyłem Meza z rekami na głowie,
Jak kiedy kto przenosi całą swoją siłę
W stopy własne – ten deptał modrą Źródła żyłę,
Jakoby wstęga, która mu sandał oplotła,
Lub szargała się w prochu, gdzie ją stopa wgniotła.
Śmiech człowieka był wściekły – wymowa odrębna:
Coś – jak tętno za trumną noszonego bębna,
Którym wybrzmiewał sarkazm, chrypiąc z nienawiści:
„Patrzcie! ... jak Duch-stworzenia obuwie mi czyści!...”

C.K. Norwid, „Źródło” – tekst ze: Cyprian Kamil Norwid, *Pisma wszystkie*. Zebrał, tekst ustalił, wstępem i uwagami krytycznymi opatrzył Juliusz W. Gomułki, t. I-X, Warszawa 1971, PWN.

Według znanych mi faktów odkrycie bioformanta należy do Rosjanina, Kiriła Bułyczowa, ale wcześniej zabawiła się tym ulepcem fantastyki amerykańska, nazywając go cyborgiem. Bioformant vel cyborg – kto to taki? Człowieka przyszłości będzie się przeobrażał na rozmaite sposoby mechaniczne, genetyczne, cybernetyczne i perswazyjne, a wszystko to, by umysłowo i cielesnie być w stanie sprostać okolicznościom XXI wieku. Cyborg – wynalazek wcześniejszy, był też prymitywniejszy jako idea. Chodziło o takie wzmocnienie ludzkiego ciała elementami mechanicznymi, aby cybernetyczny ORGANIZM sprostał trudom podróży kosmicznej (te lata spędzone w ciasnocie, przebieżeniu pasy promieniowania itp.) i aby zadowalał się kroplą wody, koską koncentratu oraz haustem powietrza raz na tydzień. Hermetyczne pudła przujące do gwiazd nie będą odpowiednim miejscem dla subarytów czy innego pokroju hedonistów. Kosmos zdobęda dla nas bezkroćki asceti, o ścięgniach ze stali a nie rumiani pyszałkowie, mdlejący na widok ostatniej butelki coca-coli w lodówce.

Bioformant, czyli cyborg udoskonalony, został powołany do życia przez nieco bardziej lineyjne myślenie. Po prostu zwykła ludzka postać przedziwna czy później stanie się barierą poznawczą – nie w sensie niemożności wciśnięcia się do każdego dziury na obcej planecie, ale w sensie zrozumienia fenomenów za bardzo niehumanicznych (a takich, sugerują różni autorzy, w kosmosie ma być większość). Bioformant więc to taki cyborg, który jakoś przetrzymał trudy podróży, a teraz wyładował na nieznaną planetę i zaraz zaczyna popisywać. Jego zadanie polega na rozszyfrowaniu miejscowych dziwów na jak najskuteczniejszym działaniu w warunkach krańcowo obcych, przy których niewygody macierzystego statku wydają się ciepło wymoszczoną kołyską.

I po co mi tak się pochamy w te jaskinie Kereni? Człowiek, nieszczęsne indywiduum, chcąc uwierzyć, chcąc się o czymś przekonać, musi nieestetycznie doznać Syndromu niewiernego Tomasza, przesładować ludzkość od zarania, ale dopiero w dobie kosmicznej okazać się może, że ciekawość naprawdę pierwszym stopniem do piekła. Ktoś nie znający się na ziemskich dowcipach może porządnie przytrzeć nam nosa, ślotejście jednak wydaje się spóstrzeżeniem, iż możliwości poznawcze istoty ludzkiej mają proporcjonalnie do grubości murów odgradzających badacza od tajemnicy. Innymi słowy skafander kosmiczny jest złem koniecznym, ale jeszcze gorzej, nie wyłazi z rakiety a najgorzej, wyrokować o gwiazdach z podziemnego schronu. Badanie kosmosu za pomocą automatów ma swoje zalety, ale i wyraźne granice: chcąc je przekroczyć trzeba cisnąć człowieka prosto w metanowe wiry Jowisza, oczywiście w jakimś batyskafie, nie nagiego. Nie ma wątpliwości, że antylopa wie o sawannie więcej od urzędnika magistratu, a szybownik o powietrzu i jego ruchach – od czołgisty.

Tak więc na pewnym etapie badawczym gdy po cieśnocie przychodzi pora na subtelności, człowiek nieodwołalnie musi się znaleźć w centrum obcych światów. Musi obalić tyle z otaczających go murów, by nie ryzykować własnego bezpieczeństwa, lecz jednocześnie wyjść w stronę Nowego, zwanego także Nieznanym, jak najbardziej, gdyż otwarto bezbronny. A jeśli to możliwe, musi, przeobrazić się wewnątrz i zewnątrz, rozobrać bardziej niż do rosołu, niejako „na drugą stronę” – przyjmując takie formy fizyczne, które pasują do nowego środowiska równie akuratnie, jak ciekokształtna forma (fizjologia, logika, doświadczenie) są w nim nie na miejscu.

Od takiego „w” poskowania tylko krok do bioformanta. Jeszcze z 50 lat a zółw z Ganimeda, przigwin z Tytana padną sobie w objęcia z okrzykiem „Bracie!” Gdy na planecie gorąco, w mig przerobi się kosmonautów na zuki, z mocną skorupą na grzbiecie i wydolnym systemem chłodze-

nia. Kiedy oceany z formaldehydu, załoga G składać się będzie z rekinów wyposażonych dodatkowo w parę rąk – itp. itd. Przypuśćmy, że nauka z techniką uporządkują się metodami dokonywania takich przeobrażeń. Pozostaje drobniak, jak nakłonić dziecięcych chłopców z ONZ, by wreszcie gnawali z pięknych i atletycznych łosów i różnych wyspecjalizowanych instrumentów przydatnych do uwodzenia panien? Ha, można im wydać rozkaz. Można kusić pieniążem, postawić pod ścianą – w perswadowaniu konieczności tego typu rasa ludzka ma bogatą tradycję. W każdym razie pole rozciąga się szerokie i malownicze w sam raz dla literatury.

Piektio bioformanta

U Bułyczowa („Bałe skrzydła Kopciuszka”) proces przebiega bezproblemowo. Bioformantami stają się uczeni, których do zmiany kształtu ciała (i wszystkiego, co z tym związane) popycha żądza wiedzy. Ołaria jest zresztą krótkotrwała, gdyż zabieg należy do odwracalnych. Nie musi to być łatwe, czekać zamienić w knura, a potem z powrotem – ale da się zrobić. Z pewnego punktu widzenia posiedzieć w ciele świni to nawet ciekawie doświadczenie. Tak więc problem ołarii z człowieczeństwa (w dużej mierze ułożsamanego z kształtem, z postacią ludzką) u Bułyczowa nie istnieje. Niczego nie trzeba składać na ołtarzu nauki. Oj, pachnie mi tu wykretem, fałszem diabełnym, bo nawet za skarby króla Salomona nie dałbym się zamienić w mojego sąsiada, a co dopiero w psa jego, Burka.

To, przed czym unik zrobić radziecki autor, stało się podstawowym tematem powieści Fredenka Pohla „Człowiek Plus”. Tytuł oznacza nazwę oficjalnego programu kosmicznego USA, którego celem jest zasiedlenie Marsa. Samo zasiedlenie jest mało ważne, nabiera dopiero znaczenia w kontekście sytuacji politycznej. Różne wydarzenia na ówczesnej scenie politycznej powodują, że sery rządząca w USA w „Człowieku Plus” upatruje jedynie, nadziei Ameryki i świata na wybrnięcie z matni. Takie administracyjne zdobywanie planet ma precedens, w swoim czasie John Kennedy wezwał do gabinetu odpowiednich ludzi i pokazuąc przez okno Księżyc na niebie powiedział: „Chcę, żeby Amerykanin postawił tam stopę”. Tak zrodził się projekt Apollo i tak może zrodzić się projekt Człowiek Plus.

I oto bioformant, ten Chrystus narodów XXI wieku rozpoczyna swoją Golgotę, aby ocalić świat. W ogóle nie przypomina człowieka. Zamiast oczu ma świecące kule z czerwonymi fałsetami. Nozdrza otwierają się w ładach ciała podobne do kreciego ryla z gwiazdką nosa. Sztuczny naskórek ma barwę naturalnej, głębokiej opalenizny, lecz wygląd skóry przywodził na myśl nosorożca. Nic, co dało się w nim zobaczyć, nie przypominało tego, z czym się urodził. Trochę tak, jak gdyby dla odkupienia potworności współczesnej cywilizacji: mało było konwencjonalnego rozpięcia na krzyżu. Dlatego Willy ego Hartneta, a po nim Rogera Tonawaya zgromadzą macherów w białych kitlach stopniowo wydziedziczając z ciała w sterujących kłódkach. Pohl sygnalizuje jedynie bezmiar bólu i poniżenia, jak, temu towarzyszy, gdyż zdaje sobie sprawę, że tej nowej zbrodni ludzkości oddać ani ogarnąć szczegółowym opisem nie sposób. Już wówczas skórę brało się niejako z metra. Tyle jej szkło jeszcze na Willy’ego

Hartneta (), że teraz nowe przeszczepy fastrygowano do ciała Rogera w takim tempie, w jakim chirurgzy odzierali go z powłoki, w której przyszedł na świat.

„Człowiek Plus”, przykład rzadko u nas tłumaczonej fantastyki „dla dorosłych” powieści, problemowej, uprzedzającej, trenowej i zjawiska, jest właściwie historią człowieka wpłatanego w układ. Służąc bożkowi mamony, luksusu, oddając się przyjemnościom wynikającym z zazywania sławy, posiadania pięknej żony, koneksji i bogactwa, nie zdaje sobie sprawy, że w pewnym momencie zostanie wezwany do zapłaty rachunku.

Trzeba będzie stracić wszystko, co się posiadało, i sporo jeszcze ponad – dać się strącić w marsjańskie piekło w imię idei tak obłądnej, że jak najbardziej na miejscu w całym już obłąkanym świecie. Na nic tu cienie koniowarstwa, że miejsce człowieka wśród gwiazd Człowieka? Na ile deformanta, któremu ekupy dowolnie wymieniają segmenty ciała i bloki umysłu, można jeszcze nazwać tym górnym mianem?

Zdumiewające, że produkcja Człowieka Plus nie towarzyszy żaden reżym mas-medów, milczą, kaznodzieje, nie organizują się demonstracji. Ba, obecny cały czas na pierwszym planie powieści książkowej przygląda się kreowaniu bioformanta jakby w odurzeniu, budzi się raz tylko, gdy w rozmowie z siostrą Kioyldą, swoją prawie narzeczoną, stwierdza:

(...) – Jest coś w tym manipulowaniu jego zmysłami, co mnie niepokoi. Jego postrzeganie świata ()

– Zmysły kłamają, Donnie. Tak mów. Pismo Świełe

– Och, z pewnością. Ale czy Brad ma jakiegokolwiek prawo dyktować zmysłom Rogera, jak mają kłamać?

Czasem myślę sobie poządlwie, jak by to było fajnie, gdyby kinematografia amerykańska, korzystając ze swych sposobów, reżyserów i pieniędzy, nakręciła film według Lema. Oł, jakiś „Eden” albo „Powrót do gwiazd”. Dziś prawem rewanżu jak wyglądałyby „Człowiek Plus”, gdyby Stanisław Lem zajął się tym zagadnieniem niezależnie od Pohla? Moralnie byłby chyba bogatszy. Mam takie wrażenie, że metoda amerykańskiej SF nie przenosi całego bogactwa problematyki, że je redukuje, że w szalonym pośpiechu tamtego świata narasta pobieżność traktowania spraw, gnie refleksja i nie ma chwili na to, by przystanąć i frasować się nad konsekwencjami. Nawet jeśli ktoś, jak Pohl, decyduje się wydać krzyk-ostrzeżenie, to i tak go nie słuchają, a i on sam jakby nie wierzył, że jego głos przebiega się przez ogólny tumult.

Świat się zmienia, zapewne, i co dziś czy wczoraj było święte, jutro zostanie wyzule z sacrum i wykorzystane praktycznie, do granic trywialności. Wielce przynębiająco brzmi wyznaczenie autora, że prawdziwym powodem powołania Człowieka Plus były po prostu względy oszczędnościowe. Można przecież było wyznaczyć na Marsa normalnych ludzi i na miejscu zapewnić im odpowiednie warunki do przetrwania, gdyby nie koszty. Taniej przełomować człowieka, skalkulowali księgowi, przyszłość, taka jak się rysuje, należy do księgowych. Wszystko drożeje, podczas gdy oszczędność nakazuje chwilę – i cóż dziwnego, że oczy szefów rozmaitych programów spoczną w końcu na tym, co najbliższe na człowieku. Mój się na baczności mój czytelniku. Mówiąc wprost, jesteś najtańszym materiałem konstrukcyjnym, jako we Wszechświecie, tak i na Ziemi. I najbardziej uniwersalnym – można z ciebie zrobić wszystko, od mydła po Marsjanina.

Marek Oramus

Fredenik Pohl „Człowiek Plus”. Tłumaczył Marek Marszał. Sena Fantastyka-Przygoda. Iskry, Warszawa 1986. Cena 200 zł.

Z początkiem kwietnia bieżącego roku ukazał się w serii „Fantastyka polska”, wydawanej przez Wydawnictwo Literackie w Krakowie tom opowiadań pod tytułem „Trzecia brama”. Piętnaście zawartych w nim utworów zostało wybranych przez pięćosobowe jury i ponad tysiąc osób, set prac nadesłanych do „Fantastyki” w roku 1982.

W tym przypadku długość procesu produkcyjnego książki (od momentu oddania maszynopisu do drukarni do zakończenia druku prawie dwa lata), daje możliwość oceny dalszego rozwoju autorów zamieszczonych opowiadań oraz porównania trendów, jakie pojawiły się w literaturze science fiction w ciągu tych kilku lat.

Autorzy omawianego zbioru, jak ich określił w swoim postawie Maciej Parowski, należą do naj młodszej, tzw. czwartej generacji twórców SF: uczniów, maturzystów, studentów, młodych absolwentów uczelni. Należałoby więc sądzić, że ich twórczość będzie w jakimś stopniu stanowić o przyszłości tego gatunku literackiego. Będzie również określać charakter zapatrywania na świat i literaturę. Bo nie oszukujmy się – twórczość SF od dawna przestała być już tylko ciekawostką z pogranicza literatury rozrywkowej. Cóż więc jest za ta brama?

W prezentowanym zbiorze zawarte są właściwie wszystkie najważniejsze nurty SF, z wyjątkiem może jednego, najnowszego, jaki pojawił się w ostatnich latach w Europie Zachodniej, przede wszystkim w RFN, o czym później. Mamy więc i klasyczną SF, próby poszukiwania nowego języka, drążenie wewnętrznych światów psychiki ludzkiej, w której można odnależć przetworzone ślady wydarzeń rzeczywistych, utwory rozrywkowe i science fantasy.

Ich autorzy w przyzwoitym stopniu opanowali już warsztat pisarski, szczególnie w przypadku utworów o charakterze rozrywkowym. Dostatecznie nie radzą sobie z oporną materią, jaką jest słowo, choć niektóre próby eksperymentów językowych wydają mi się nieco chybione („Piłoci ultrafioletowych dali” Danusia Lebiody).

Zajmijmy się tym, co z mojego punktu widzenia jest najlepsze, zarówno warsztatowo, jak

pod względem konstrukcji i fabuły. Są nimi: własnie opowiadania o charakterze rozrywkowym. Materiały złożone na konkurs, co znalazło odzwierciedlenie w przedstawianej antologii, zasygnalizowały zjawisko, które jeszcze wyraźniej wystąpiło podczas spotkania z młodymi twórcami w roku 1985, w czasie Dni Fantastyki. Pojawia się bowiem cała seria utworów będących w istocie teletyrysią przygodowo detektywistyczną, dla niepoznaki zakamuflowaną dekoracjami z przyszłości (Widać w nich było nawet wpływy filmów zaliczanych do gatunku karate – tytułowa „Trzecia brama” Andrzeja Boryczki). Należały do nich na przykład utwory Leszka Kraskowskiego („Inspekcja”) i Andrzeja Augustyniaka („Atak”). Podczas wspomnianego spotkania z młodymi twórcami, grupa ta poszerzyła się o tak obiecujących autorów jak Rafał A. Ziemkiewicz. Później pojawili się następni, np. Włodzimierz Różycki ze swoim świetnym, również publikowanym w „Fantastyce” opowiadaniem „Weekend w mieście”.

W istnieniu tego nurtu (i o tej jakości) nie widzę nic złego. Uważam wręcz, że lepiej, aby czytelnik twórczość tego rodzaju, aniżeli całą masę publikowanych ostatnio utworów proweniencji rynkowo-erotycznej, jakich pełno w naszych tygodnikach, a nawet w wydawnictwach książkowych. Sądzę, że spośród tej grupy autorów mogą wyróżnić się kiedyś interesujący pisarze zajmujący się tzw. literaturą poważną. Przykładem może być zaistnienie w innych gatunkach literackich tak znanych nazwisk jak Andrzej Tużak czy wspomniany już Danusz Tomasz Lebioda.

W antologii opowiadań „Trzeciej bramy” są również przykłady nurtu ambiwalentnego, o charakterze introwertycznym, który nie zadowala się powierzchownymi konstatacjami, próbując prze-

tworzyć wydarzenia świata realnego, krytykując pozorny perfekcjonizm (?) cywilizacyjny i dehumanizację społeczną czy unifikację jednostki. Do autorów tego nurtu należą Maciej Gafaszek („Manual skazanego”) i Marek Hemmerling („Droga”). Ich opowiadania można zaliczyć także do nurtu ekologicznego, którego typowym przykładem jest „Świat za szkłem” Dariusza Romanowskiego. Wyraża jest tu obawa przed losami cywilizacji, której rozwój techniczny wyraźnie wyprzedził rozwój wewnętrzny człowieka. Dowodem na to mogą być słowa jednego z bohaterów historii Hemmerlinga, który w śniecie „*podaję, aby gdzieś tam – dalej – stoczyć się w okrutną nicność, decyduje się na życie, w wyniku którego nie będzie... musiał nigdzie gnać na złamanie karku i... będzie miał czas na rozmyślanie o tym co przeżył*”. Element nostalgicznej tęsknoty za spokojem, utraconymi wartościami duchowymi występuje w wielu utworach, których sztandarowym przykładem jest sprawne literacko opowiadanie Grzegorza Słotańskiego pt. „Kawałek końca”.

W zbiorze przedstawionym nam przez Wydawnictwo Literackie znalazło się nawet opowiadanie tak rzadko występujące w polskiej SF: nurtu fantasy („Mag” Feliksa W. Kresa). Jest ono doskonałym przykładem na to, że można napisać dobre opowiadanie fantasy, stosując pewne elementy eksperymentu językowego, co więcej, uzasadnione fabułą i konstrukcją utworu. To dziwne, ale właśnie oprócz „Maga” Kresa i opublikowanego w jednym z numerów „Fantastyki” w roku 1986 opowiadania Andrzeja Sapkowskiego „Wiedźmin”, nie spotkałem się jak do tej pory z innymi, znaczącymi utworami z gatunku fantasy. Tradycję literacką tego gatunku mamy przecież dobrą, jako że istniał nurt literatury rycerskiej i

Pierwsza Japonia!

Mówi się ostatnio, sam zrosłem to parę razy, że najnowsza fantastyka po skąd zafascynowana jest myślą Wschodu. Myśl Wschodu, buddyzm zaczynają być interesujące także dla nauk ścisłych, o czym świadczą między innymi: głosna książka Capry „Tao fizyki”. Przedtem (zaczęło się to jeszcze na przełomie lat 1950/60) przetoczyła się przez świat fala powodzenia japońskiego kina, nspirującego się japońską prozą, bądź interpretującego po swojemu europejską klasykę. Zresztą, niezależnie od tego, czy opowiadało owo kino o legendach i mitach o samurajach czy o współczesności – trwa to powodzenie do dziś. W 1968 roku japoński pisarz Kawabata Yasunari do stał nagrodę Nobla.

Ponowne spotkanie z niektórymi z tych miłośników autorów i pośrednio filmów – umożliwia nam wydany pięknie przez PIW w serii i grozy, zbiór niesamowitych opowiadań japońskich. Znakomitą nowelę tytułową pisał Fukazawy Shichiro, sfilmowana w 1983 roku przez Imamura przypomniała w czerwcu 87 warszawskie kino

„W edza”. Po lekturze książki poszedłem ponownie na film, by lepiej zrozumieć fenomen Wschodu, by spróbować go nazwać.

Film i nowela opowiadają o zagubionej w górach wiosce, w której ludzie żyjący na granicy grodu wytwarzają okrutne kodeksy zachowań i praw. Złodziej zwinności zakupuje się tu żywcem. Starców po siedemdziesiątce ich własne dzieci wynoszą na górę Narayamę, by tam w osamotnieniu umierał z głodu i chłodu. Ale to przynusowe zaborstwo-samobójstwo staje się ceremonią cementującą społeczność, ceremonią, w której może dochodzić do głosu zarówno strach, okrucieństwo, podłość, jak i godność, poczucie spełnienia i głębokiej solidarności starych z młodymi. W surowym, okrutnym, lecz uporządkowanym świecie u stop Narayamy jest miejsce na miłość i wielkość. Ale także na tchórzostwo, samooszustwo i pod tym względem świat Narayamy jest dziwnie podobny do naszego – owszem, kreuje swoisty świat świeckich świętych, ale również małych kanciarzy, dewiantów okrutników i fajdaków.

A różnica? Widać to i w filmie, i w noweli: Schichiro, i w pozostałych opowiadaniach tomu, że świat japońskiej literatury i filmu jest bardziej ostry, ascetyczny, bezwzględniejszy od naszego. Buddyzm jest religią surowszą dla swych wyznawców od chrześcijaństwa, mniej skoncentrowaną na indywidualnym szczęściu jednostki. Buddyzm zaprzecza istnieniu nieprzemijających monad duchowych, choć nie kwestionuje, że wszelkie czyni znajdują odplata (w ponownych narodzinach). Buddyzm proponuje technikę niszczenia cierpienia – smutku metodą godzenia się

na jedno i drugie i hamowania w sobie pożądań, nienawiści i gniewu. Buddyzm jest heroiczną religią beznadziejności, a więc na swój sposób haruje. W każdym razie w porównaniu z chrześcijaństwem, które oferując wielką nadzieję, zdaje się czasem rozleniwiać.

Nie porównuję po to, by wartościować ani by wybierać. Porównuję, by lepiej zrozumieć. Nie jest przecież przypadkiem, że na dwunastu aż trzech autorów tomu zginęło śmiercią samobójczą. Wynika to z japońskiego (buddyzm?) ethosu. Kawabata Yasunari skończył ze sobą w wieku 73 lat, można by powiedzieć, że sam zaprowadził się na Narayamę. Ale dwaj pozostali – Dazai Osamu i Akutagawa Ryunosuke (autor głosnej noweli „Rashomon”) – zdecydowali się na gest ostateczny przed ukończeniem czterdziestki. Filozofia pustki, niestałości rzeczy, wizja świata, w którym panują raczej bezosobowe prawa odplaty za dobro i zło niż miłosierne bóstwo – mogą, jak widać, być ciężkie od uniesienia. Dlatego to nie tylko Wschód, bywa fascynujący dla Zachodu (pięknym tego przykładem jest przedstawiona w tomie postać Japończyka z wyboru, Koizumi Yakumo, Europejczyka, prawdziwe nazwisko Lafcadio Hearn), ale i Zachód dla Wschodu. Dowodem tego, również przedstawione w tomie, postać i dzieło Endo Shusaku, japońskiego pisarza, który przeszedł na katolicyzm i uczynił ten problem tematem swojej twórczości.

Co wychodzi jeszcze w filmie i pozostałych opowiadaniach? Otóż w stopniu znacznie większym niż w naszym świecie czuje się człowiek w Japonii, częścią przyrody w większym chyba stopniu niż my akceptuje i przeżywa naturę. Nie

tworząc grozy, a jakoś nasi autorzy nie potrafili czy też obawiają się – jak można sądzić z nadsyłanych do wydawnictw maszynopisów – zająć tego rodzaju pisarstwem.

Autorzy najmłodszej fali SF zdecydowanie uciekają od ntryg technicznej i naukowej aczkolwiek posługują się jeszcze tym sztalagem podążając w stronę mistycyzmu czy surrealizmu. Ich utwory mają jeszcze jeden wspólny rys, który na zważyłbym jakże charakterystycznym dla dawnej XIX wiecznej twórczości fantastycznej, polskum romantyzmem SF. Nie uważam wcale tego zjawiska za negatywne wręcz przeciwnie takie próby rozwiązywania problemów współczesnego świata przy pomocy poetyckiej filozofii świadczą o krytycznym podejściu autorów do rewolucji technicznej i wynikających stąd zagrożeń społecznych i jednostkowych.

Brak mi jedynie utworów o charakterze tzw. real fiction czyli połączenia political i social fiction. Nurt ten, z założenia wywodzący się z protestu przeciwko degradacji i manipulacji środowiskiem naturalnym człowieka i nim samym, występujący wyraźnie w ostatnich latach na zachodzie Europy, łączy w konstrukcję fabularnej wydarzenia rzeczywiste i pozornie fantastyczne, których zaistnienie może nastąpić w każdej chwili, a może już nawet nastąpiło. Idzie tu przede wszystkim o eksperymenty genetyczne dokonywane na człowieku i przyrodzie.

Tak więc obraz świata widziany oczami twórców „Trzeciej bramy” i ich następców jest dość wyraźny i bardzo zroznicowany. W przeciwieństwie do przeważnie zachowawczych i jakby bojaźliwych tendencji literatury innych gatunków młodzi twórcy polskie SF są bardziej konsekwentni w przedstawianiu zastrzeżeń i obaw od swoich kolegów po piórze. Ktożby uciekał w totalny surrealizm. Nie da się chyba tego wytłumaczyć li tylko specyfiką gatunku science fiction.

Wawrzyniec Sawicki

Trzecia brama Opowiadania nagrodzone w konkursie miesięcznika „Fantastyka” 1982/83. Opracował Maciej Parowski. Wydawnictwo Literackie, Kraków 1987. Cena 350 zł.

Uważa się za jej władcę czy poskromiciela. Ponadto (czy może właśnie dlatego) w buddyzmie i w ogóle kulturze Wschodu bliższa jest łączność indywidualnego człowieka z miem, z bóstwem, z tajemnicą. W porównaniu z chrześcijaństwem buddyzm wydaje się religią mniej kapłanską, mniej scentralizowaną, mniej ortodoksyjną, znacznie mniej lekającą się herezji. Ale też religia bardziej okazjonalna, sporadyczna. Chrzześcijaństwo (zwłaszcza katolicyzm) wytwarza przepiękne kościoły, buddyzm także domowa i leśne kapliczki, czy czasem po prostu miejsca, w których można odmówić modlitwy do dobrych duchów na wyższym stopniu wcielenia. Albo trzeba się wystrzegać miejsc, w których przebywają duchy złe.

Dlatego właśnie, z powodu tej indywidualnej łączności z miem, z powodu tego nieortodoksyjnego rozproszenia, liczba współczesnych japońskich autorów uprawiających literaturę grozy czy mitu jest chyba liczniejsza niż w Polsce. Wspomniałem na początku o modzie na myśl i kulturę Wschodu również u nas. Wypadałoby się zastanowić co bardziej fascynuje barwną rekwizytornia czy heroiczna filozofia? Jest to zresztą temat na inne opowiadanie, na inną recenzję.

Maciej Parowski

Ballada o Narayanie – opowieści niesamowite z prozy japońskiej. Wybór, przekład, przypisy i noty o autorach. Błanka Yonekawa. Ilustrował Wiesław Rosocha. Seria Grozy PIW, Warszawa 1986. Cena 550 zł.

1977 (dokończenie)

1227. SUPERVIELLE Jules *Młody człowiek w niedzielę i w inne dni*. Tłum. [z franc.] Barbara Gałczyńska. Postowie Jan Pieszczachowicz. Kraków. Wyd. Literackie 16° ss 78, nrb 2 10 000 egz. – Seria Fantastyki i Grozy.

1228. TWAINE Mark *Pamiętniki Adama i Ewy*. Tłum. [z ang.] Teresa Truszkowska. Kraków. Wyd. Literackie 16° ss 48, nrb 4 50 000 egz.

1229. WOLFKIND Peter Daniel *Noc księżycowa*. Opowiadania. Wybór, tłum. [z niem.] i postowie Henryk Vogler. Kraków. Wyd. Literackie 16° ss 141, nrb 3. 10 000 egz. – Seria Fantastyki i Grozy.

1230. W ZACZAROWANYM zwierciadle *Opowiadania fantastyczne Ameryki Łacińskiej*. Aut. Adolfo Bioy Casares [i in.]. Red. Andrzej Soból-Jurczykowski. Postowie i noty biograficzne Jerzy Kuehn [tłum. z hiszp. i port.]. Kraków. Wyd. Literackie 16° ss 353, nrb 3 20 000 egz. – Seria Fantastyki i Grozy. – AF(ASF)W.

1231. ZAKIEWICZ Zbigniew *Czteropalcu*. Opowieść niesamowita. Warszawa. Czytelnik 16° ss 198, nrb 2 10 000 egz.

Horror (W):

1232. DZIWO morza *Niemiecka i austriacka nowela morska od romantyzmu do drugiej wojny światowej*. Aut. Wilhelm Hauff [i in.]. Red., wstęp i koment. Stefan H[ubert] Kaszyński [Tłum. z niem.]. Gdańsk. Wyd. Morskie 8° ss 297, nrb 3 10 000 egz. – Światowa Proza Morska. – Większość opowiadań fantast. – WAF.

1233. HOFFMANN Ernst Theodor Amadeus *Opowiadania*. Wyd. I w tym wyborze. Tłum. [z niem.] Jan Kleczyński [i in.]. Warszawa. Czytelnik 16° ss 477, nrb 3 30 000 egz. – Biblioteka Kłasyki Polskiej i Obcej.

1234. LE FANU Joseph Sheridan *Dom przy cmentarzu*. T. I/II. Tłum. [z ang.] Krystyna Korwin-Mikke. Kraków. Wyd. Literackie 16° T I ss 326, nrb 2, T II ss 330, nrb 2 20 000 egz. – Seria Fantastyki i Grozy.

1235. O DUCHACH opowieści prawdziwe. Aut. Ryunosuke Akutagawa [i in.]. Warszawa. Iskry 8° ss 373, nrb 3 20 000 egz.

1236. OPOWIEŚCI niesamowite groza i niesamowitość w prozie rosyjskiej XIX i początku XX wieku. Aut. Anton Pogorelskij [i in.]. Red., wstęp i noty o aut. René Śliwowski. Wyd. II. Warszawa. Państw. Inst. Wyd. 8° ss 450, nrb 2, tabl. 25.20 000 egz.

POŁOM S. *Siódmy*. – zob. AF.

1237. RADCLIFFE Ann *Italczyk albo konfesjonat czarnych pokutników*. T. I–III. Tłum. [z ang.] Maria Przymanowska. Postowie Zofia Sinko. Kraków. Wyd. Literackie 16° T I–II [współwyd.] ss 275, nrb 1, T III ss 171, nrb 1 20 000 egz. – Seria Fantastyki i Grozy.

1238. RADCLIFFE Ann *Tajemnice zamku Udolpho – romans strofami poezji przetykany*. Tłum. [z ang.] Wiesław Niepokólczycki. T. I–II. Warszawa. Państw. Inst. Wyd. 8° T I ss 370, nrb 1, tabl. 12, T. II ss 347, nrb 1, tabl. 12 35 000 egz. – Seria Grozy.

1239. WILDE Oscar *Upiór rodu Canterville'ów*. Tłum. [z ang.] Maria Przymanowska. Postowie Jan Prokop. Kraków. Wyd. Literackie 16° ss 82, nrb 2 30 000 egz. – Seria Fantastyki i Grozy.

W ZACZAROWANYM zwierciadle. – zob. AF.

Krytyka, biografie, film (R):

1240. BROTHERSTON Gordon *W granicach samotności. Nowa powieść Ameryki Łacińskiej*. Tłum. [z ang.] Kalina Wojciechowska. Czytelnik. Warszawa. 16° ss 178, nrb 2, bibliogr. 10 000 egz. – Na obwoł. wymieniono nazwiska omawianych twórców. – Dot. m.in. fantastyki.

1241. KAGARLICKI [J.] Julij [właśc. Ulj]. *Co to jest fantastyka naukowa?* Tłum. [z ros.] Krzysztof W[iesław] Mainowski. Warszawa. Iskry. 16° ss 504, nrb 4 10 000 egz.

1242. KOLBUSZEWSKI Jacek *Dziwne podróże, dziwni podróżnicy*. Warszawa. Nasza Księgarnia 4° ss 189, nrb 3 10 000 egz. – Dot. m.in. fantastyki.

***1243. MODE Heinz** *Siwory mityczne i demony – fantastyczny świat istot mieszanych*. Tłum. [z niem.] Anna M[aria] Linke. Warszawa. Wyd. Artystyczne i Filmowe 4° ss 296, nrb 2.

1244. RUSTOWSKI Adam Marian *Angielska powieść gotycka doby wiktoriańskiej*. Katowice. Uniwersytet Śląski 8° ss 1s19, nrb 4 830 egz. – Prace Naukowe Uniwersytetu Śląskiego nr141.

1245. TRYBUSIEWICZ Janusz *W poszukiwaniu państwa słońca*. Warszawa. Kraj. Ag. Wyd. 16° ss 188, nrb 4 50 000 egz. – Szczęśliwa Siódemka.

„Zagadki nauki” (MS):

1246. BORUN Krzysztof, MANCZARSKI Stefan *Tajemnice parapsychologii: eksperymenty – hipotezy – zagadki*. Warszawa. Iskry 16° ss 290, nrb 2 30 000 egz.

1247. FROMM Erich *Zapomniany język – wstęp do rozumienia snów, baśni i mitów*. Tłum. [z niem.] Jozef Marzęcki. Wstęp Krzysztof Teodor Toeplitz. Wyd. II. Warszawa. Państw. Inst. Wyd. 16° ss 246, nrb 1 20 000 egz. – Biblioteka Myśli Współczesnej.

1248. HERLINGER Juliusz Jerzy *Historie niewiarygodne*. Warszawa. Nasza Księgarnia 8° ss 244, nrb 4 30 000 egz.

1249. MOSTOWICZ Arnold *Biologia zmienia człowieka*. Warszawa. Iskry 16° ss 291, nrb 1 10 000 egz. – Dot. m.in. biologicznych „zagadek nauki” i jej przyszłości.

1250. OLSZEWSKI Andrzej *Na tropie kosmicznych braci*. Warszawa. Kraj. Ag. Wyd. 16° ss 102, nrb 2 50 000 egz. – Zdarzenia. Sensacje. Zagadki.

1251. SKARŻYŃSKI Janusz *Widma morskie*. Warszawa. Kraj. Ag. Wyd. 16° ss 158, nrb 2 70 000 egz. – Zdarzenia. Sensacje. Zagadki.

Futurologia (F):

1252. BANKA Józef *Przeciw szokowi przyszłości*. Katowice. Wyd. „Śląsk”. 8° ss 414, nrb 2 10 000 egz. bibliogr., err.

1253. FILAREWICZ Aleksander *Prognoza, program, plan*. Warszawa. Wiedza Powszechna 16° ss 214, nrb 1 5 000 egz.

1254. MESAROVIC Mihajlo, PESTEL Eduard *Ludzkość w punkcie zwrotnym. Drugi Raport dla Klubu Rzymskiego*. Tłum. [z ang.] Wiesław i Stanisław Rączkowski. Warszawa. Państw. Wyd. Ekon. 8° ss 211, nrb 1, mapa, tablice, wykry 5 000 egz.

1255. PODWYSOCKI Tadeusz *Cyborgi w szkole*. Warszawa. Iskry. 16° ss 205, nrb 3 6000 egz.

1256. TOFFLER Alvin *Ekospazm*. Tłum. [z ang.] Ewa Szymańska. Wstęp Wiktor Osiatyński. Warszawa. Czytelnik 16° ss 130, nrb 2, bibliogr. 10 000 egz.

1257. TUSZKO Aleksander *Wista przyszłości*. Warszawa. Książka i Wiedza 8° ss 207, nrb 1, tabl. 8, mapy, wykresy 3 000 egz. – Prognozy, Perspektywy.

1258. WŁODKOWSKI Lucjan *Łódź 2000*. Warszawa. Książka i Wiedza 16° ss 200, nrb 4, tabl. 4, mapy k 4, bibliogr. 4 000 egz.

28 stycznia 1986 r. nastąpiła największa katastrofa w dziejach kosmonautyki. „Challenger”, odbywający dziesiąty lot, eksplodował w 72 sekundy po starcie, jego siedmioosobowa załoga straciła życie.

Z dumą głosząc podbój kosmosu szybko wytarliśmy z naszej pamięci fakt, iż po tak wielu szczęśliwych startach nastąpił jeden zakończony katastrofą. Niczym strusie schowaliśmy głowy w piasek, by nie widzieć chmury dymu i twarzy rodzin załogi. Niemniej jednak katastrofa się wydarzyła. Dowiodła, że dopiero zapoczątkowaliśmy „podbój” kosmosu. Lotami, którym nadaliśmy miano „wspaniałych”, zaledwie musneliśmy skraj przestrzeni...

Loty załogowe mają za sobą dwudziestopięcioletnią historię. Przypomnijmy tych, którzy oddali życie za rozwój kosmonautyki...

Nándor Schuminszky

Największe przygody – największe dramaty

Czerwiec 1958 r. Iven C. Kinchloe (USA), który we wrześniu 1956 r. ustanowił rekord osiągając wysokość 38 465 metrów, leciał samolotem F-104, który nieoczekiwanie się zapalił. Pilot podjął bezskuteczną próbę katapultowania się z maszyny tracącej wysokość. Było już za późno. Kinchloe zginął.

23 marca 1961 r. Pierwsza dwudziestka radzieckich pilotów po przejściu starannych badań lekarskich była już przygotowana do odbywania lotów kosmicznych, gdy zachodnia prasa rozpowszechniła w świecie „sensację”: *Kolejny radziecki kosmonauta zginął w kosmosie!*

3 kwietnia 1961 r. Odpowiedzieli na to „J-zwiestia”. Faktycznie, śmierć poniósł pierwszy radziecki kandydat na kosmonautę, lecz nie zdarzyło się to w kosmosie.

Walentin W. Bondarienko – miał wówczas 24 lata – był najmłodszym członkiem grupy Jurija Gagarina. Ze spokojem i pewnością siebie odbywał dziesięciodniowy trening w dwiękoszcielnie odizolowanej kabinie. Do ciała miał przymocowane mnóstwo czujników aparatury medycznej. Ciśnienie w kabinie było obniżone, dlatego też powietrze zostało wzbogacone w tlen. Po dziesięciu dniach Bondarienko zaczął zdejmować z siebie kolejno końcówki przewodów, zaś skórę w miejscach ich podłączenia przemywał tamponem waty zwilżonej alkoholem. Być może myślimy, był już w kosmosie, gdy przez nieuwagę rzucił przesączony spirytusem tampon na rozżarzoną spiralę grzejnika. Z powodu obecności dużej ilości tlenu płomienie natychmiast objęły całą kabinę. Zapalił się bawełniany kombinizon kosmonauty. Bondarienko nie zasygnalizował jednak niebezpieczeństwa, tylko próbował ugasić ogień.

Ze względu na różnicę ciśnień ekipa ratunkowa nie mogła od razu otworzyć drzwi kabiny. W ciągu kilku sekund, które tymczasem upłynęły, Bondarienko odniósł śmiertelne obrażenia. Gdy go wynoszą, był jeszcze przytomny.

– Nie oskarżajcie nikogo, to moja wina! – szeptał.

Lekarze przez osiem godzin walczyli o jego życie, lecz nie byli już w stanie go ocalić. Pochowano go w jego rodzinnym mieście, Charkowie.

21 października 1964 r. Theodor C. Freeman (USA) o godzinie 10:01 wystartował samolotem T-38 z pasa startowego w Ellington. Leciał ponad czterdzieści minut, po czym o godzinie 10:47 rozpoczął podchodzenie do lądowania.

Gęś nadlatywała z południowego zachodu. Była duża, ważyła co najmniej 12 kilogramów. Z powodu upału niebo było zamgłone, tak więc zderzenie nastąpiło w chmurze. Dały się kolejno słyszeć dwa wybuchy i T-38 stanął w ogniu. Freeman nie stracił spokoju. Jako instruktor pilotażu wielokrotnie już lądował z płonącym silnikiem. Jednakże ogień coraz bardziej się rozprzestrzeniał i otaczając ze wszystkich stron kabinę przesłonił mu widok.

Pozostało mu jedynie skoczyć ze spadochronem. Wszyscy tego właśnie się spodziewali. A jednak Freeman nie wyskoczył. Leciał właśnie nad domami kosmonautów. Nie widział ich, lecz wiedział, że są pod nim. Próbuąc podciągnąć maszynę dalej stracił cenne, decydujące sekundy.

Kadłub T-38 pękł na dwoje i Freeman wypadł na zewnątrz. Spadochron nie otworzył się, lecz i tak nie byłoby już czasu na rozwinięcie czaszy. Pilot spadł na porośniętą koniczyną łąkę i tam umarł.

28 lutego 1966 r. Dwa samoloty treningowe T-38 leciały z Houston do St. Louis, gdzie mieści się firma produkująca statki kosmiczne „Gemini”. W pierwszej maszynie znajduje się przyszła załoga statku „Gemini-9”: Elliot M. See i Charles A. Bassett, w drugiej – załoga rezerwowa: Thomas P. Stafford i Eugene A. Cernan.

Pogoda nie sprzyjała kosmonautom. Chmury wisiały wyjątkowo nisko i utrudniały orientację.

Pierwsza maszyna źle podeszła do lądowania, wyszła z chmur leżąc na boku. Nie starczyło czasu na pchnięcie drążka steru, samolot uderzył w słup sieci elektrycznej, odwrócił się i runął na parking samochodowy przed lotniskiem. See i Bassett zginęli.

Stafford i Cernan wylądowali szczęśliwie. W czerwcu 1966 r. oni polecili statkiem kosmicznym „Gemini-9”.

27 stycznia 1967 r. 25 stycznia tego roku odbyła się pierwsza próba kontrolna załogi statku „Apollo-1”. Wszystko odbyło się zgodnie z planem, drugą próbę wyznaczono na 27 stycznia.

Wskazówki zegarów ustawiły się na godzinie 18 minut 31 czasu miejscowego, gdy na 10 minut przed zakończeniem próby kontrolnej nastąpiła tragedia.

Taśmy magnetofonowe zawierają zapis ostatnich minut życia Virgila I. Grissoma, Edwarda H. White’a i Rogera B. Chaffee’ego:

Godzina 18 minut 31 sekund 4. Tętno White’a ulega przyspieszeniu, kabina chwieje się w wyniku ruchów przebywających w środku kosmonautów.

Godzina 18 minut 31 sekund 5. Tętno White’a jest coraz szybsze, temperatura i ciśnienie powietrza w kabinie wzrasta. Słychać głośnie okrzyki:

– Czuję zapach spalenizny!

– Ogień w kabinie!

Godzina 18 minut 31 sekund 9. Chaffee krzyczy rozpaczliwie:

– Potężny ogień w kabinie!

Ciśnienie powietrza w środku nadal wzrasta, kabina coraz silniej się chwieje pod wpływem ruchów przebywających wewnątrz kosmonautów.

Godzina 18 minut 31 sekund 12. Chaffee wyłącza dopływ prądu z zewnątrz i melduje, że płomień jest coraz jaśniejszy. Późniejsze badania wykazały, że astronauci walcząc o życie próbowali otworzyć klapy.

Godzina 18 minut 31 sekund 14. Zaopatrzenie w tlen kabiny i skafandrów kosmicznych ulega coraz większym zakłóceniom, urywa się łączność radiowa. Ostatnie słowa, jakie wydostały się z kabiny, pochodzą od Chaffee’ego:

– Palimy się, wyciągnijcie nas stąd!

Godzina 18 minut 31 sekund 17. Temperatura w kabinie przekroczyła 500 stopni Celsjusza, ogień przestonił wszystko. W wyniku wzrostu ciśnienia uszkodzeniu ulega konstrukcja kabiny. Ogień zaczyna szarą powłokę kapsuły, jej wnętrze jest całkowicie wypalone.

Specjaliści ustalili, że pożar był spowodowany zwarcieniem instalacji elektrycznej, w wyniku którego trzykrotnie wzrosło ciśnienie atmosfery składającej się z czystego tlenu.

24 kwietnia 1967 r. Po zrealizowaniu przewidzianego programu Władimir M. Komarow lecący na pokładzie statku „Sojuz-1” podjął przygotowania do lądowania. Kabina kosmiczna bez żadnych kłopotów przebyła najtrudniejszy i najbardziej niebezpieczny odcinek drogi przez coraz gęstsze warstwy atmosfery ziemskiej. Jej prędkość zmalała z pierwszej szybkości kosmicznej do wartości przewidzianej w programie lotu. Jednakże na wysokości siedmiu kilometrów, gdy otworzyła się czasza głównego spadochronu, jej liny splątały się w wyniku obrotowego ruchu kabiny. Nie dało się też otworzyć zapasowego spadochronu. „Sojuz-1” zaczął spadać z zawrotną prędkością. Komarow zginął.

6 czerwca 1967 r. Edward G. Givens (USA), pilot programu „Gemini” zginął w wypadku samochodowym w El Largo, w pobliżu Houston.

5 października 1967 r. Clifton C. Williams miał być czwartym człowiekiem na Księżycu. Zgodnie z planem miał pełnić funkcję pilota księżycowego lądownika statku „Apollo-12”. Los pokrzyżował te plany: w czasie lotu treningowego samolotem

T-38 spadł w pobliżu miasta Tallahassee i stracił życie.

15 listopada 1967 r. Michael J. Adams był kolejnym pilotem mającym odbyć lot w programie X-15. Maszyna oznaczona numerem 3 zgodnie z planem oderwała się od samolotu-matki B-52, po czym stromo zaczęła się wznosić w górę. Po zaledwie dziesięciu sekundach lotu zaczęła opadać. Wtedy właśnie wpadła w nieoczekiwany korkociąg, z którego Adams nie potrafił jej wyprowadzić, i spadła w pobliżu bazy lotniczej Edwards.

8 grudnia 1967 r. Pilot programu MOL, Robert H. Lawrence, pierwszy czarnoskóry kosmonauta, runął w samolocie typu F-104 w pobliżu bazy lotniczej Edwards.

27 marca 1968 r. W wyznaczonym czasie Jurij Gagarin wyruszył w lot treningowy z doświadczonym instruktorem pilotażu, Władimirem Sieroginem. Samolot z lekkością zabawkę wzbił się w niebo. Trudno stwierdzić, co zdarzyło się później. MiG-15 zmienił kierunek lotu i zaczął spadać. Dosłownie skosił drzewa okolicznego lasu i wbił się w grunt.

Pierwszy kosmonauta świata poniósł śmierć.

10 stycznia 1970 r. Paweł I. Bielajew był dowódcą „Woschoda-2”. Z tego właśnie statku, jako pierwszy w świecie człowiek, wyszedł w przestrzeń kosmiczną Aleksiej A. Leonow. Po udanym spacerze kosmicznym podczas lądowania w działaniu systemu naprowadzania „Woschoda-2” wystąpiły jakieś zakłócenia i Bielajew sprowadził kapsułę kosmiczną na Ziemię za pomocą ręcznego sterowania. To niełatwe zadanie udało mu się szczęśliwie wypełnić, lecz nie był w stanie ustrzec się obrażeń. Zmarł w wyniku krwiaka żołądka.

13 maja 1970 r. „Apollo-13” z trzema astronautami: Jamesem A. Lovellem, Johnem L. Swigerem i Fredem W. Haise'em na pokładzie od dwóch dni leciał w kierunku Księżyca, gdy w budynku numer 8 houstonieckiego centrum dyspozycyjnego zatrzęszał się głośnie:

– Halo, Houston, mam kłopoty!

Dyspozytor podenwał głowę:

– Powtórz!

Lovell powtórzył z całkowitym spokojem:

– Mam kłopoty, nastąpiła przerwa w przekazniku B... – Po krótkiej chwili dodał: – Słychać było głośny huk...

W wyniku eksplozji, jaka nastąpiła w sekcji technicznej, kabina dowódcy statku została całkowicie pozbawiona dopływu energii elektrycznej. Inżynier kontrolujący pracę urządzeń krzyknął:

– Awaria!

Podczas gdy kosmonauci w ciemności i chłodzie lecieli dalej w kierunku Księżyca, na Ziemi gorączkowo szukano sposobu rozwiązania problemu. Rzecz jasna, zrezygnowano z lądowania na Księżycu – w kabinie dowódcy funkcjonowało jedynie radio, a i ono było zasilane z rezerwowego źródła. Fizyczne prawa rządzące ruchem w przestrzeni nie pozwalały na zawrócenie z drogi. Statek kosmiczny oddalał się więc od Ziemi. Jedyne nadzieję był sprawnie funkcjonujący prom, mający służyć do wyładowania na powierzchni Księżyca. Obliczenia potwierdziły tę nadzieję – po okrążeniu Księżyca „Apollo-13” mógł ruszyć w drogę powrotną z pomocą silników promu. Dane trajektorii w kierunku Ziemi zostały obliczone przez komputer, co zajęło 72 minuty. Matematyk używający papieru i ołówka strawiłby na to około miliona lat.

Żałoga znosiła sytuację zagrożenia z wzorowym opanowaniem. Nawiasem mówiąc, kosmo-

nauci zawsze usuwali ze swej świadomości nieuchronne niebezpieczeństwa. Śmierć, której cień unosi się nad ich życiem, nie stanowi wśród nich tematu rozmów.

17 kwietnia kabina „Apollo-13” opadła na powierzchnię oceanu. Struchlały świat mógł odechnąć – tym razem człowiek odniósł zwycięstwo nad techniką.

4 września 1970 r. James M. Taylor (USA) lecący w samolocie treningowym T-30 rozbił się w pobliżu miasta Palmdale w Kalifornii.

30 czerwca 1971 r. Po dwudziestu trzech dniach owocnej pracy załoga statku kosmicznego „Sojuz-11”: Georgij T. Dobrowolskij, Władisław N. Wołkow, Wiktor I. Pacajew, zaczęła się przygotowywać do powrotu na Ziemię. Ze stacji orbitalnej „Salut-1” przenieśli na pokład statku materiały obserwacji naukowych, filmy i dzienniki pokładowe. 28 minut po godzinie 21 rozłączyli oba obiekty. „Sojuz-11” oddalił się od stacji.

30 czerwca o godzinie 1.35 statek przyjął odpowiednie położenie, włączyły się silniki hamujące. Po ich unieruchomieniu łączność z załogą została przerwana. Zgodnie z automatycznym programem po hamowaniu w atmosferze otworzył się główny spadochron, zaś bezpośrednio przed dotknięciem gruntu włączone zostały specjalne silniki rakietowe zapewniające miękkie lądowanie. Ekipa ratownicza dotarła na miejsce w ciągu kilku minut, lecz po otwarciu klapy okazało się, że wszyscy trzej kosmonauci są martwi.

Powodem tragedii była usterka w systemie hermetyzacji kabiny.

5 kwietnia 1975 r. Kolejna grupa kosmonautów startowała zamierzając dotrzeć do stacji „Salut-4”. Wasilij G. Lazanew i Oleg G. Makarow zgodnie z programem oderwali się od płyty kosmodromu Bajkonur. W ósmej minucie lotu, na wysokości 192 kilometrów wystąpiły zakłócenia w funkcjonowaniu rakiety nośnej. Personel zawiadujący lotem postanowił przerwać podróż statku. „Sojuz-18-1” nie osiągając orbity zawrócił w stronę Ziemi i po 21 minutach i 27 sekundach lotu szczęśliwie wyładował 1700 kilometrów na północny wschód do Bajkonuru w okolicach miasta Gorno-Altajsk.

Rok 1981. W trakcie lotu treningowego samolotem MiG-21 runął na ziemię Bui Thanh Liem, kosmonauta wietnamski.

28 grudnia 1982 r. Cały świat niepokoił się o życie Johna L. Swigera (USA) lecącego na pokładzie „Apollo-13”. Po szczęśliwym lądowaniu Swiger zrezygnował z dalszych lotów i oddał się karierze politycznej. Na sześć dni przed wejściem do Kongresu Stanów Zjednoczonych zmarł – zapewne na raka.

27 września 1983 r. Dwaj mieszkańcy stacji kosmicznej „Salut-7” z niecierpliwością oczekiwali odwiedzin. Władimir G. Titow i Giennadij M. Striekałow byli przygotowani do startu w statku „Sojuz T-10-1”. Przez chwilę nawet sądzili, że startują zgodnie z planem.

Stało się jednak inaczej. W momencie uruchomienia silników, przy trzecim stopniu rakiety nośnej pojawił się ogień. Włączył się system ratunkowy, który dosłownie wyrwał kabinę z dwoma kosmonautami z płonącej rakiety i wyrzucił ją na wysokość 4 kilometrów. Tu otworzył się spadochron kapsuły i obaj członkowie załogi szczęśliwie wyładowali w bezpiecznej odległości od zniszczonej rakiety.

28 stycznia 1986 r. Tego dnia nastąpiła największa katastrofa w dziejach kosmonautyki: zniszczeniu uległ prom kosmiczny „Challenger”. W 62 sekundy po starcie pod brzuchem maszyny, pomiędzy zbiornikiem paliwa a prawą rakiętą pomocniczą pojawił się jasny punkt. W siedemdziesiątej drugiej sekundzie buchnął stamtąd ogień, po czym sylwetka promu skryła się w olbrzymiej chmurze dymu. Życie straciła siedmioosobowa załoga: Francis R. Scobee, Michael J. Smith, Judith A. Resnik, Ellison S. Onizuka, Ronald E. McNair, Gregory Jarvis i Christa McAuliffe.

W wyniku śledztwa, na podstawie analizy szczątków wydobytych z oceanu i przeglądu materiałów filmowych ustalono, co następuje:

Przepaliła się uszczelka pomiędzy trzecim a czwartym segmentem rakiety pomocniczej. Już w czasie startu dało się zauważyć wydobywający się stąd czarny dym. Później pojawił się ogień, który przepalił powłokę zbiornika paliwa. Wtedy nastąpiła nagła i gwałtowna eksplozja ciekłego wodoru. W zbiorniku było jeszcze około 70% paliwa...

Oprócz samej eksplozji do całkowitego zniszczenia promu przyczyniły się także efekty aerodynamiczne i zderzenia z rozrzuconymi w powietrzu szczątkami płonącego zbiornika. Zarówno błyskawiczny przebieg katastrofy, jak i brak skałdarów kosmicznych oraz foteli z katapultami sprawiły, że uratowanie życia załogi było niemożliwe.

★

Co czuje człowiek w czasie startu promu kosmicznego?

Jeden z poprzednich pasażerów „Challenger’a”, kosmonauta z RFN, powiedział:

– Od chwili odsunięcia rusztowania w promieniu 5 kilometrów nie ma żywej duszy. Wtedy w żołądku człowieka pojawia się drżenie. Siedzimy na bombie!

Upływają ostatnie sekundy odliczania. Teraz już tylko automaty mogą wstrzymać start. Włączają się główne silniki. „Challenger” kotłuje się. A więc ruszamy...

5...4...3...2...1... start!

Włączają się też rakiety pomocnicze. Jedyne rzecz, o której myślę, jest to, czy będą działać przez 2 minuty.

BĘDĄ DZIAŁAĆ!

Później, cokolwiek by się stało, jest możliwość uratowania się. Lotem ślizgowym można wrócić na Ziemię.

Po upływie tego czasu słychać tępy huk – rakiety zostają odrzucone. W tej chwili przepływa przeze mnie fala spokoju – najtrudniejsze już za nami...

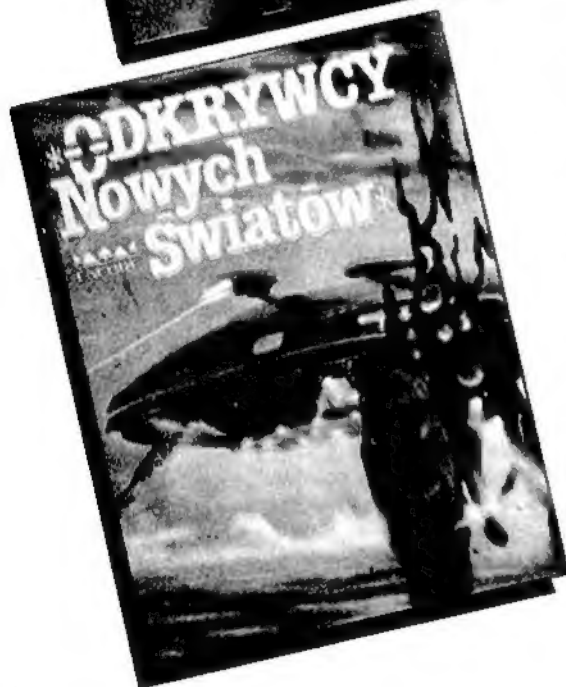
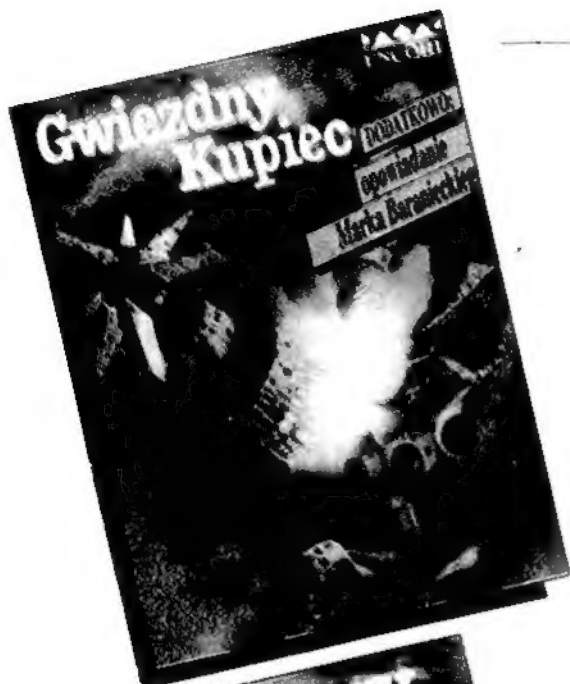
★

Do czasu pełnego zbadania i usunięcia błędu NASA zawiesza loty promów kosmicznych. Będzie to zapewne trwało od półtora do dwóch lat.

Ale nie ma i nie może być odwrotu. Człowiek jest w kosmosie potrzebny, nie zastąpią go tam żadne automaty.

Loty kosmiczne są pomostem w XXI wiek.

**Przełożył
Wojciech MaziarSKI**



Gdy fabularne i symulacyjne o tematyce fantasy i science fiction nie są u nas jeszcze zbyt popularne. Może dlatego, że są to gry skomplikowane, trudne do opanowania, wymagające od grających cierpliwości i dużego zaangażowania, a może po prostu dlatego, że – jak na razie – wydawane są w stosunkowo niewielkich nakładach przez jedną jedyną firmę „Encore”.

Maciej Makowski

Gra w fantazję

Gdy przed trzema laty udało mi się kupić grę „Labirynt śmierci” – bardzo starannie wydaną, chociaż w taniej, zeszytowej formie – nie sądziłem, że firma „Encore”, która ją wydała pozostanie na stałe na rynku. Złote kłopoty z papierem i poligrafia mogły spowodować szybkie jej zniknięcie. Ale na szczęście nie spowdowały. Po „Labiryncie śmierci” pojawiła się „Bitwa na polach Pelenoru” oparta na motywach „Władcy Pierścieni” J. R. R. Tolkiena (o obydwu tych grach pisaliśmy w „Fantastyce” nr 10/84), a następnie „Ratuj swoje miasto”. Co ciekawe, zawsze znajdowaliśmy zapowiedzi następnych – jak wynikało z krótkich notek – coraz ciekawszych i coraz bardziej skomplikowanych gier.

Ubiegły rok przyniósł nam „Gwiezdnego Kupca” – grę rekordową jeśli chodzi o stopień komplikacji, bardzo ładnie rozwiązana plastycznie i starannie wydana. Jest to, jak informuje wydawca, strategiczno-handlowa gra science fiction przeznaczona dla kilku (od 2 do 6) osób. Mamy w niej ogromną, bardzo kolorową planszę, 400 żetonów wytloczonych na tekturowym arkuszu i wreszcie długi i skomplikowany opis gry poprzedzony specjalnie napisanym opowiadaniem Marka Baranieckiego. Można oczywiście mieć pewne zastrzeżenia: plansza powinna być sztywniejsza, żetony wydrukowane na grubszej tekturze, w sumie jednak całość robi znakomite wrażenie. A jeśli starczy nam cierpliwości, by przebrnąć przez ową skomplikowaną instrukcję możemy rozpocząć ekonomiczny podbój galaktyki; możemy podróżować między sześcioma układami gwiazdowymi, walczyć z konkurentami o dominację na poszczególnych rynkach, budować statki kosmiczne, fabryki, magazyny, przewozić towary, wynajmować agentów i tak dalej. Rozgrywka „Gwiezdnego Kupca” może przebiegać według jednego z kilku scenariuszy i w zależności od tego trwać od 3 do 10 godzin.

Dwie najnowsze propozycje z serii gier science fiction to „Odkrywcy nowych światów” oraz „Trans Solar”. Są to gry zupełnie odmienne zarówno jeśli chodzi o zawartość merytoryczną, jak i formę edytorską. „Odkrywcy nowych światów” to gra dla jednej osoby. Grający jest dowódcą misji mającej na celu poszukiwanie pozaziemskich form życia. Prowadzi rozgrywkę na niewielkiej, ale bardzo kolorowej i wydrukowanej na znakomitej jakości kartonie planszy używając 100 żetonów. Atrakcją gry są tzw. paragrafy sytuacji ekspedycji. Są to opisy poszczególnych sytuacji w jakich może znaleźć się ekspedycja wraz z instrukcjami postępowania. Mnogość tych paragrafów sprawia, że gra się nie nudzi, wręcz przeciwnie, w miarę poznawania jej tajników staje się coraz bardziej atrakcyjna i wciągająca.

„Trans Solar” również przedstawia się imponująco. W pięknym, przyciągającym wzrok pudeł-

ku, z licznymi rekwizytami (karty losowe, karty kontraktowe, banknoty, żetony, kostki) i z wielką, znakomicie zaprojektowaną i wydrukowaną planszą ma tylko jedną, za to bardzo dotkliwą wadę – wysoką cenę. Gdy jednak otrzymuje się produkt tak wysokiej jakości łatwiej przychodzi zaakceptowanie wysokiej nawet ceny. Sama gra nie jest bardzo skomplikowana, powiedziałbym nawet, że jest to najprostsza z gier wydanych przez „Encore”. Gracze – a może ich być od 2 do 7 – podróżują po układzie słonecznym w zakupionych uprzednio frachtowcach kosmicznych. Na poszczególnych obiektach kosmicznych realizują zadania wyznaczone za pomocą kart kontraktowych, za co otrzymują określone premie pieniężne. O ostatecznym zwycięstwie decyduje suma zdobytych kapitałów.

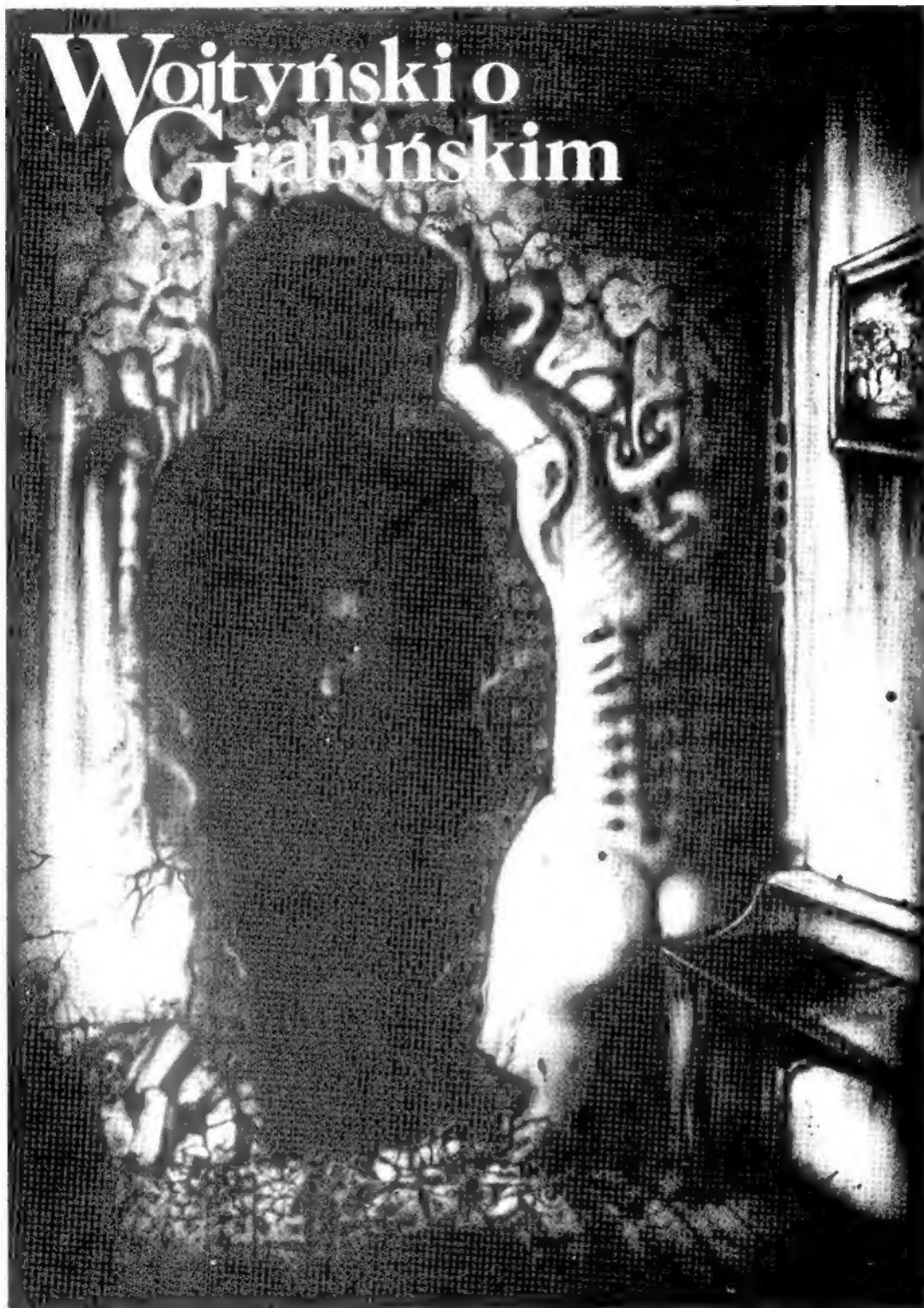
Na zakończenie wypada poruszyć jeszcze jedną, bardzo istotną kwestię. Jak to się dzieje, że gry, które opisałem, tak rzadko można oglądać na polkach sklepów. Aby uzyskać odpowiedź na to pytanie zwróciłem się do szefa firmy „Encore”, pana Jana Adamskiego. Okazuje się, że gry są wydawane w nakładach 20–30 tys. egzemplarzy. Nakłady mogłyby być znacznie większe, ale handel nie chce tych gier zamawiać. Wydawca oferuje swoje wyroby różnym przedsiębiorstwom handlowym i najczęściej spotyka się z brakiem zainteresowania skwitowanym stwierdzeniem: „to jest zbyt skomplikowane, tego nikt nie kupi”. Szkoda, że ci, którzy tak mówią nie widzieli kolejkę ustawiających się na przykład pod Salonem Wydawniczym MAW przy ul. Wilczej w Warszawie, gdy pojawia się tam nowa gra. W tej sytuacji firma „Encore” sprzedaje swoje wyroby tylko tym przedsiębiorstwom, które uda się do tego przekonać. W skali całego kraju dystrybucja jest zatem najczęściej zupełnie przypadkowa (na przykład którąś z gier zamawia „Dom Książki” z Opoli, Centralna Składnica Harcerska ze Szczecina, Rzemieślniczy Dom Towarowy z Gdańska i RSW „Prasa-Książka-Ruch” z Wrocławia). W tej sytuacji inicjatywę wykazało Polskie Stowarzyszenie Miłośników Fantastyki, które jako jedyna instytucja w kraju prowadzi sprzedaż wysyłkową gier.

Wydaje się również, że firma „Encore” przestanie już niedługo być w naszym kraju monopolistą w produkcji gier fantastycznych. Niedawno ukazała się wydana przez Spółkę „Medicat” „Bulwa” gra fabularna dla młodego odbiorcy, a pod koniec roku powinna pojawić się na rynku gra będąca wprowadzeniem do „role playing” pt. „Magia i miecz” wydana przez nową powstającą spółkę, która ma w swoich planach produkcję następnych gier. Pozostaje mieć tylko nadzieję, że treść i szata edytorska tych gier będzie co najmniej na poziomie dokonań firmy „Encore”.

Czym są gry fabularne, czym różnią się od tradycyjnych gier typu „Człuch” czy „Eurobusiness”? Jako się rzekło, są to gry bardzo skomplikowane i właśnie stopień komplikacji jest tu jednym z podstawowych wyróżników. Instrukcja do gry (zwykle liczy od kilkunastu do kilkudziesięciu stron) jest nie tylko opisem czynności, które podejmują gracze. Musi być także wprowadzeniem do wymyślanego świata, w którym gra się toczy. Dzięki niej gracze wchodzi w ten świat, wcielają się w jego bohaterów, aby brać udział w fantastycznych, mrozących krew w żyłach przygodach. Bardzo często zdarza się, że gracze (których może być kilku, a niekiedy nawet kilkunastu) nie grają przeciwko sobie, ale wręcz przeciwnie, aby osiągnąć stawiane w grze cele muszą ze sobą współpracować i wzajemnie się wspierać.

Charakterystyczną cechą gier fabularnych jest również to, że element losowy jest w nich znacznie ograniczony, a o powodzeniu rozgrywki decyduje przede wszystkim umiejętność analizowania powstających w grze sytuacji i wyciągania właściwych wniosków. Coraz częściej kostka do gry jest zastępowana przez minę lub bardziej skomplikowany system tabel, współczynników i modyfikatorów. Zanim nauczymy się korzystać z tego systemu, gra może wydawać nam się udręką, gdy jednak go opanujemy – na pewno staniami się zagorzałymi zwolennikami, by nie powiedzieć wielbicielami, tego typu rozrywki.

Wojtyński o Grabińskim



Zez

...Czułem, że tu nie można mówić o jakimś rozdwojaniu się – tu raczej zaszło zdwojenie, jakaś przekłeta przymieszka, tu wncił się jakiś intruz. Nosilem go w sobie, ustawicznie kalecząc się tą ohydą współbytnością; bezsilny, zrozpaczony świadomością zmiany, której usunąć nie mogłem. Każdy mój czyn wzbudzał we mnie wewnętrzną opozycję, przedstawiał mi się jako narzucony z zewnątrz obcą wolą, każde me słowo było kłamstwem nie popartym przez przekonanie, pozbawionym siły uczuciowej, jakąś pasożytniczą naroślą. Co gorsza, intruz wkraczał w zakres mych myśli, przekonań, starając się przerobić mnie na swój rytm do przyciesi.

Ilekcję chciałem postąpić w sposób zgodny z najgłębszą mą jaźnią i przybrać dawną postawę wobec świata i ludzi, coś mocnego jak rozkaz zwracało mnie na nową, nieznosną drogę, jakiś chichot wewnętrzny rozsadzał mi piersi, a w oddali błyskał skośną rysą piekielny zez...